ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400

NR 12 (179)
GRUDZIEŃ 2013

CENA 14,70 ZŁ
(w tym VAT 5%)

Sprawa Herberta Klose:

Złoto Wrocławia

czy złotousty świadek?

INDEKS 370101X ISSN 1505-6104

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GARRETT® METAL DETECTORS www.garrett.com

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

AT PRO

AT Gold

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

E-Trac

CTX 3030

Safari

NOWOŚĆ

MINELAB

Excalibur II

GPX - 5000

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS Detecting & Underground Locating Equipment

F75 LTD

CZ 3D

F2

F4

F5

F70

F75

Gemini-3.

CZ 21

1270

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Maxx

GMaxx II

Gold Bug

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80

viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

W NUMERZE

GRUDZIEŃ 2013

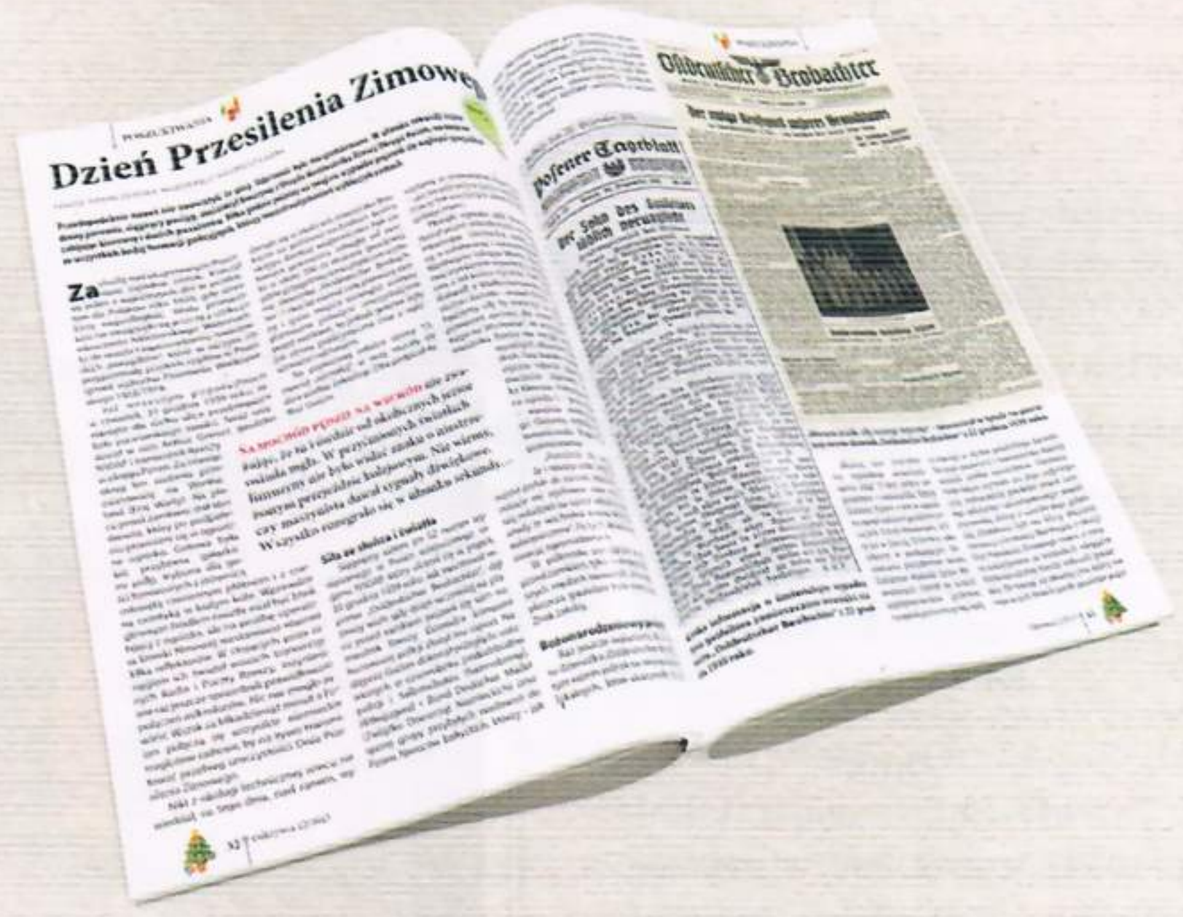

POSZUKIWANIA

3 **Wyprawa na „Martwą Drogę" – historia „Projektu nr 503"**
Łukasz Orlicki

9 **Krzeszów – klasztor zamieniony na obóz**
Pytając o wojenną przeszłość krzeszowskiego kompleksu klasztornego, jednym tchem wymienia się składowanie w nim słynnej „Berlinki" – 505 specjalnie zabezpieczonych skrzyń z najcenniejszymi zbiorami. W 1941 zaczęły zjeżdżać do klasztoru pierwsze grupy Żydów, kierowanych tam przez gestapo z Breslau. Zorganizowano dla nich obóz przejściowy. Okazuje się, że nie był to pierwszy z obozów. O jeszcze wcześniejszym, historia do tej pory milczała...
Janusz Skowroński, Roman Tomczak

15 **Nie wszystko „Złoto Wrocławia", co się świeci...**
Piotr Maszkowski

20 **Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 3)**
Krzysztof Krzyżanowski, Dariusz Wójcik

26 **Ukryte piekło**
Karny Obóz Pracy Treblinka I na niemieckich zdjęciach lotniczych
Widziane z góry (cz. 6)
Sebastian Różycki, Marek Michalski

29 **Skarb z Puszczy Bieniszewskiej**
Krzysztof Gorczyca

32 **Dzień Przesilenia Zimowego**
Prawdopodobnie nawet nie zauważyli, że giną. Uderzenie było niespodziewane. W ułamku sekundy rozpędzony parowóz, ciągnący pociąg, zmiażdżył limuzynę z Urzędu Namiestnika Rzeszy Okręgu Posen, na miejscu zabijając kierowcę i dwóch pasażerów. Kilka godzin później na miejscu wypadku pojawili się najlepsi specjaliści ze wszystkich bodaj formacji policyjnych...
Leszek Adamczewski, Dariusz Garba

TAJEMNICE HISTORII

38 **Historia karczmy Tischbierków w Olszowej**
Dariusz Pietrucha

45 **Republika Gniewska 1919-1920**
Krzysztof Korda

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

51 **Lubicie muzea?**
Izabela Kwiecińska

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

52 **Podziemia w Ludwikowicach Kłodzkich – wpuszczanie w kanał...**
Tomasz Rzeczycki

FORTYFIKACJE

56 **Obrotowy most kolejowy przy twierdzy Boyen**
Krzysztof Stachowski

60 **Fårösund i jego fortyfikacje**
Jacek Jarosz

KOLEKCJONERSTWO

64 **Kieszonkowa artyleria samurajów Boskiego Tenno**
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 7)
Piotr Galik

BATALIE I POTYCZKI

68 **Pogoń przeciw Orłowi**
Na gruzach Rzeczpospolitej: Powstanie Sejneńskie
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości grudnia w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
Walki o Wrocław 1945 r. – zdjęcia archiwalne: A. Baltermanc, w zbiorach arch. Redakcji;
zdjęcie współczesne: budynek byłego Prezydium Policji (do 1945 r.), obecnie Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu, arch. Redakcji.

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

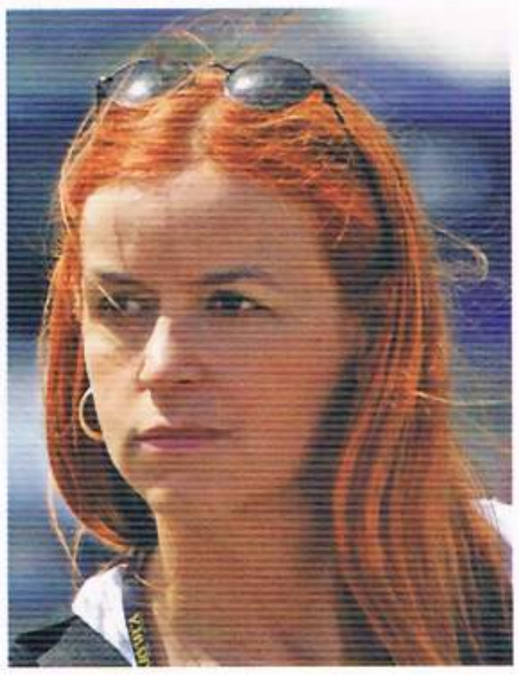

Przeżyliśmy w tym roku dużo, chyba sporo za dużo… Obawy o przyszłość, kataklizmy światowe, złe prognozy i wiele śmierci… Przewaga złych wiadomości, jakimi jesteśmy zasypywani, nad ilością dobrych – jest przerażająca. Potrzeba nam spokoju. Mam nadzieję, że żyjąc w świecie targanym wszelkimi możliwymi niepokojami, udało się Wam ustanowić własne, harmonijne, dobre dla nas tempo, zachować jeszcze wiarę w moc przesłania ładu, spokoju, moralnych i duchowych wartości, które są istotą świątecznych życzeń.

Święta Bożego Narodzenia dawniej nazywano Godami – co wyrażać miało potrzebę i nadzieję na życie w świecie zgody i „uładzenia" – światło Narodzenia przełamywało mrok nocy i odstraszało jej demony – budził się nowy porządek.

Zapomnijmy więc na chwilę o problemach i stwórzmy w Święta tę cudowną atmosferę przekazując ją na wszystkie nadchodzące dni. Pamiętajmy… Święta są w nas.

Niech mi zatem będzie wolno w imieniu swoim, zespołu redakcyjnego i Wydawcy naszego magazynu życzyć Wszystkim, aby nadchodzące Święta Bożego Narodzenia były niezapomnianym czasem spędzonym bez pośpiechu, trosk i zmartwień.

Aby odbyły się w spokoju, radości wśród Rodziny, Przyjaciół oraz wszystkich Bliskich Wam osób. Życzę dobrych i spokojnych Świąt, poczucia więzi i porozumienia z innymi. Poczucia sensu i bliskości, poczucia miłości. Aby nic nie było na siłę, za wszelką cenę, nadmiernym wysiłkiem, bez ładu, resztką sił i środków. Życzę Uspokojenia.

Nie przestańmy też marzyć. Też często – ze stratą dla siebie – o nich zapominamy, pochłonięci biegiem codzienności i natłokiem bieżących spraw. A warto marzyć – choćby w ich uniwersalne przesłanie, jakim jest marzenie o spokoju, ładzie moralnym, dobru i sensie życia. I spełnienia tych właśnie marzeń wszystkim Czytelnikom życzę najszczerzej!

Izabela Kwiecińska

Magdalena

Spokojnych
i szczęśliwych Świąt
Bożego Narodzenia!
życzą

Michał

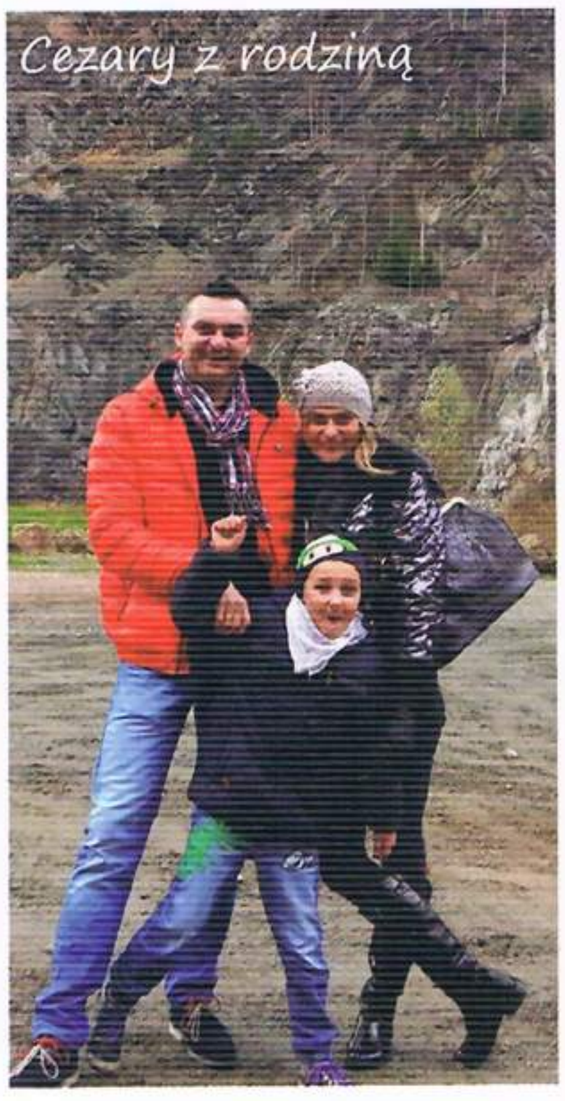

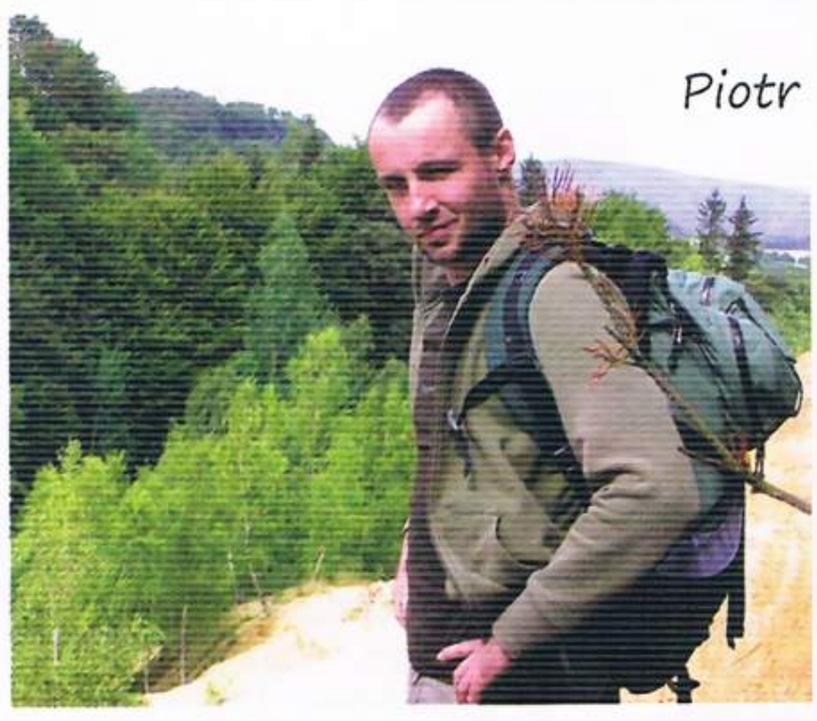

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Wyprawa na „Martwą Drogę” – historia „Projektu nr 503”

ŁUKASZ ORLICKI

Pozostałości linii telefonicznej i wysokiego napięcia.

W poprzednim numerze „Odkrywcy” (nr 11/2013) opublikowaliśmy pierwszą, pisaną na gorąco, relację z wyprawy na daleką północno-środkową Syberię. W rejon, gdzie przez 4 lata z rozkazu Stalina dziesiątki tysięcy więźniów GUŁAG-u pracowało przy jednym z najmniej znanych w Polsce projekcie – budowie transpolarnej magistrali kolejowej i wielkiego portu morskiego na rzece Jenisej. W kolejnych artykułach przedstawimy bardziej szczegółową historię projektu oraz efekty badań terenowych i źródłowych, które udało się uzyskać dzięki wyprawie „Dead Road 1953-2013”.

W 1933 r. zakończona została budowa sztandarowego projektu ZSRR – Kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Ta olbrzymia inwestycja prowadzona w zabójczym tempie i w chaosie, który sprzyjał niedokładnościom powodując w rezultacie śmierć dziesiątków tysięcy więźniów, ogłoszona została pełnym sukcesem. Bardzo szybko okazało się, że kanał zbudowano zbyt płytko, co znacznie ogranicza żeglugę. Jednak złudny, propagandowy efekt sukcesu sprawił, że wiara Stalina w skuteczność niewolniczej pracy pozostała niezachwiana aż do jego śmierci.

W latach 1945-53 sowiecki system obozów pracy znany pod nazwą GUŁAG przeżywał swój rozkwit. W 1950 r. liczba więźniów osiągnęła najwyższą liczbę w jego ponurej historii, przekraczając 2,5 mln osadzonych, pracujących głównie w kopalniach, przy wyrębie lasów i budowie najbardziej kosztowych, długotrwałych i katorżniczych inwestycji w historii ZSRR.

Wśród tych olbrzymich projektów, takich jak budowa Wielkiego Kanału Turkmeńskiego, kanału Wołga-Ural, Portu w Doniecku, podmorskiego tunelu Sachalin, znalazła się budowa portu i transpolarnej magistrali kolejowej – wiodącej przez strefę podbiegunową ze stacji Salechard do Igarki leżącej na północy Krasnojarskiego Kraju.

Do dziś w rosyjskiej literaturze nie ma pełnej zgodności, co do przyczyn powstania planu budowy tej linii kolejowej. Powód jest prozaiczny. Decyzje tego typu i tak znacznej wadze politycznej podejmowane były bezpośrednio przez Stalina, którego motywy nigdy do końca nie były znane, nawet jego najbliższym współpracownikom i podwładnym. Z tego też powodu niektóre z hipotez dotyczących przyczyn rozpoczęcia budowy mogą brzmieć zgoła fantastycznie.

W. A. Łamin w artykule pt. „Sekretnyj obiekt 503” pisał wprost, iż na koncepcję wybudowania w tym rejonie linii kolejowej wpływ miały zeznania wziętych do niewoli niemieckich generałów![1] Mieli oni opisywać swoje sprzeciwy wobec projektu Hitlera – wysadzenia dużego morskiego desantu, który przejąłby kontrolę nad ośrodkami wydobywczymi północnej Syberii. Wówczas to, wstrząśnięty tymi planami Stalin uzmysłowił sobie, że tysiące kilometrów północnych terenów pozbawione są jakiejkolwiek strategicznej drogi pozwalającej na prowadzenie obrony, czy przerzucenie posiłków w rejon np. kopalni Norylska. Abstrahując od kompletnego braku realności domniemanego niemieckiego planu, owładnięty licznymi paranojami i chorobliwie podejrzliwy przywódca ZSRR, zaczął dopatrywać się w tej wersji ziarenka prawdy…

Realnie o podjęciu tak olbrzymiej inwestycji zdecydowała z pewnością chęć

wybudowania w rejonie północno-środkowej Syberii dużego portu morskiego, pełniącego funkcje handlowe, być może i wojenne, połączonego jednocześnie z resztą kraju linią kolejową umożliwiającą transport surowców naturalnych Syberii. Niewykluczone, iż linia miała stanowić element większego przedsięwzięcia związanego z planami połączenia Uralu z Czukotką – na wysokości koła podbiegunowego. Niezależnie od tego Stalin wierzył, że system, który stworzył, jest w stanie doprowadzić do końca każde, nawet najtrudniejsze przedsięwzięcie.

Projekt nr 501 i 503

Ostatecznie, 28 IV 1947 r. została wydana decyzja rządu i ministra MBD CCCP (Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR) nr 00457 – o realizacji budowy 700 kilometrowej linii kolejowej ze stacji Czum-Pechora do planowanego portu morskiego w Zatoce Obskiej.

Inwestycji nadano kryptonim „СТРОЙКА no 501" – „Strojka nr 501" (co można tłumaczyć jako „budowę" bądź „projekt"). Postanowiono wykonywać ją zarówno od strony północnej, czyli przyszłego portu, jak i od południowej – ostatniej stacji kolejowej.

Zadaniem realizacji projektu obarczono Główny Zarząd Morskiej Drogi Północnej oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR. Teren, na którym planowano poprowadzić trasę oraz port był ekstremalnie trudny. Praktycznie bezludne i pozbawione jakichkolwiek dróg rejony tajgi i tundry przechodziły na dalekiej północy, w rejonie Zatoki Obskiej, w zupełne pustkowie.

Budowa kolei ruszyła, mozolnie pokonując wszelkie trudności.

Do końca 1947 r. zdołano ułożyć 118 km szyn. Pracowała przy tym stosunkowo niewielka liczba więźniów, z których praktycznie żaden nie pozostawił choćby najkrótszej relacji. Samo kierownictwo skarżyło się centrali na *„duże straty siły roboczej z powodu osłabienia fizycznego pracowników"*. W następnym roku świeże transporty więźniów ruszyły do pracy, tym samym udało się połączyć Czum oraz Łabytnangi linią o długości 192 km. Kolejnym problemem przed jakim stanęli zarządzający projektem była budowa portów. Pozbawieni możliwości transportu lądowego, jedynie drogą morską, mający do dyspozycji wyłącznie niewielkie barki przystosowane do żeglugi rzecznej, które, na domiar złego, wywracały się na smaganych wiatrami wodach zatoki, zdołali zorganizować dwie niewielkie bazy. W rejonie Nowego Portu i na Przylądku Kamiennym. Tam właśnie pracujący przy projekcie więźniowie zdołali przetrwać syberyjską zimę – w namiotach i niewielkich ziemiankach. Przygotowano również proste cumowiska i „składy", do których nie przypłynął jednak żaden statek. Budowa portu stanęła w momencie, gdy wyszło na jaw, że burzliwe wody Zatoki Obskiej są za płytkie i nie nadają się do żeglugi pełnomorskich statków. Ostatecznie uznano, że projekt należy znacznie zmodyfikować.

W styczniu 1949 r. odbyła się narada z udziałem Stalina, Berii oraz Frenkla – naczelnika Głównego Zarządu Więziennego Budownictwa Kolei. Podjęto decyzję – postanowienie Rady Ministrów ZSRR z 29 I 1949 r. – o zaprzestaniu budowy portu w Zatoce Obskiej oraz opuszczeniu linii kolejowej na Półwyspie Jamalskim. Postanowiono przenieść całość inwestycji ponad 500 km dalej na wschód, do Igarki.

Ta leżąca nad Jenisejem miejscowość wydawała się spełniać wszelkie warunki, mimo iż znajdowała się 500 km od Morza Karskiego. Rzeka jest głęboka i szeroka na odcinku prawie 1000 km, co gwarantowało swobodny dostęp do Igarki nawet pełnomorskim statkom o dużej wyporności. Port miał zostać połączony, zgodnie z planem, linią kolejową, której kierunek ostatecznie miał wyglądać następująco: Czum-Obskaja-Łabytnangi (do tego miejsca linię już wykonano)-Salechard-Nadym-Pur-Taz-Janow Stan-Jermakowo-Igarka. Ukończenie całości budowy planowano na około 1955 rok.

Definitywnie ustalono, że całkowita długość planowanej linii kolejowej – od stacji Salechard do Igarki – ma wynosić 1300 km! (czyli prawie tyle, ile dzieli Warszawę i Paryż), w dodatku prowadzonej w trudno dostępnym, błotnistym i poprzecinanym rzekami terenie.

Linia miała być jednotorowa z mijankami rozłożonymi co 10-15 km i stacjami w odległości ok. 50 km. Wszelkie przeszkody wodne zamierzano pokonać za pomocą drewnianych i betonowych mostów. Przez dwie największe rzeki znajdujące się na trasie magistrali, czyli Ob i Jenisej, planowano, w sezonie letnim, urządzić przeprawy promowe. W tym celu zaprojektowano i skonstruowano 4 olbrzymie promy parowe (mieszczące do 32 wagonów). Zimą pociągi miały kursować po ułożonym na lodzie torze.

Całość projektu podzielono na dwie budowy: „Projekt nr 501" – od Salechardu do rzeki Pur i „Projekt nr 503" – od Pur do końca trasy, miasta Igarki.

Nie zawracano sobie głowy szczegółowym rozplanowaniem trasy. Tym mieli się zająć kierownicy poszczególnych odcinków. Liczyło się tylko tempo prac i ilość położonych torów. Prace rozpoczęto w marcu 1949 r., nie oglądając się na plany, ani koszty.

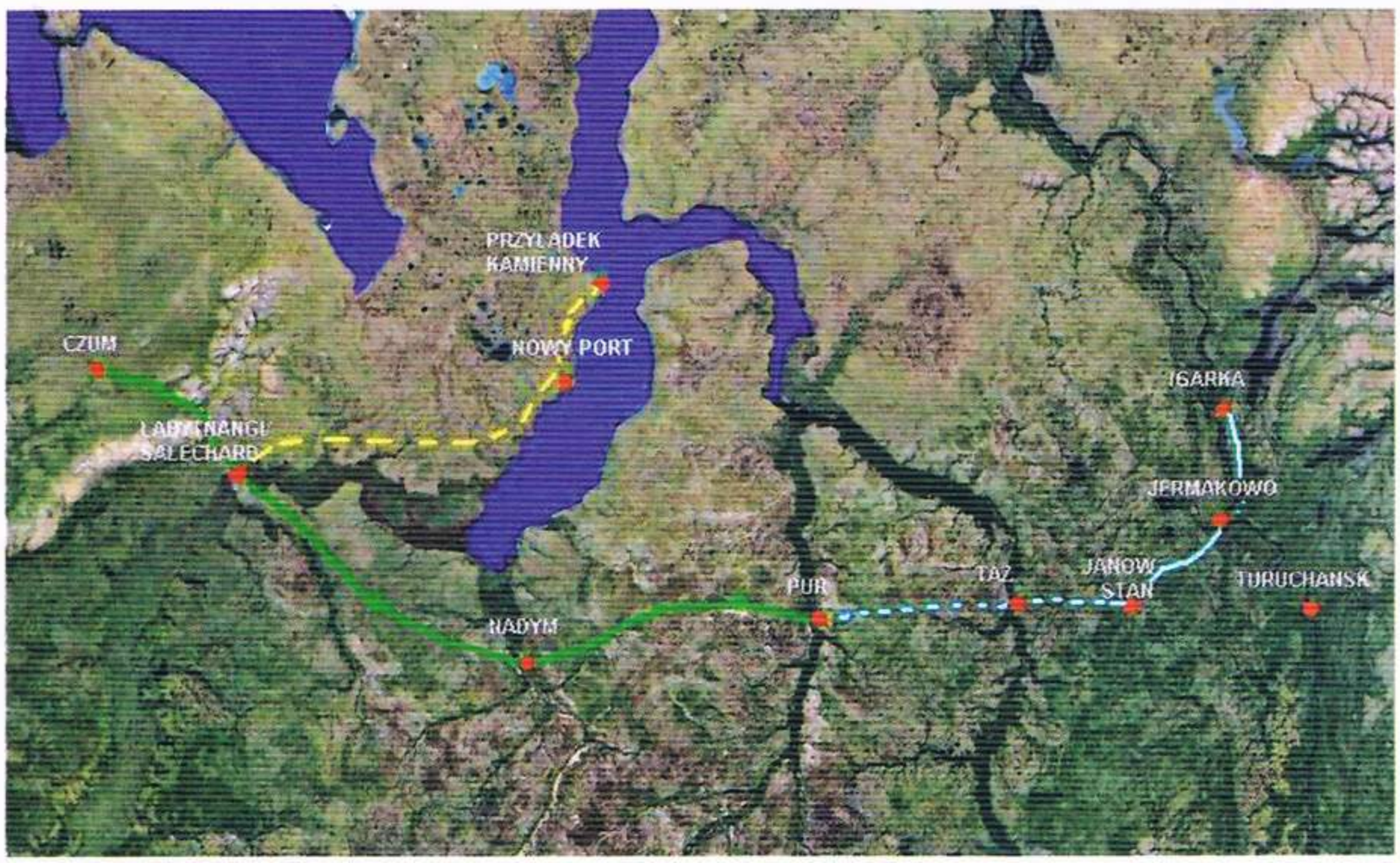

„Strojka 501-503". Legenda:
Linia ciągła – wykonana do 1953 r. trasa kolejowa.
Linia przerywana – planowana i nieukończona trasa kolejowa.
Projekt nr 501 – kolor zielony.
Projekt nr 503 – kolor jasnoniebieski.
Planowana w 1947 i zmieniona w 1949 roku trasa – kolor żółty.

Niewolnicy

Józef Duniec, po wielu latach, nie był w stanie przypomnieć sobie z jakiego dokładnie powodu został aresztowany. Po

prostu pewnej styczniowej nocy wyciągnięto go na zewnątrz domu, zaprowadzono do samochodu i wywieziono na śledztwo do Połocka. Po kilkumiesięcznym przesłuchiwaniu i udowadnianiu wrogiej postawy przeciwko ZSRR, usłyszał wyrok – wywózka do łagru. Wraz z innymi więźniami związano mu ręce i wepchnięto siłą do wagonów. Przez następne dni, a może tygodnie, wieziono ich gdzieś na północ i wschód. Głodowali, od czasu do czasu wrzucano do wnętrza wagonów jedynie zepsute, słone śledzie. Ci co je jedli, dostawali biegunki, a ponieważ pić dawano im jeszcze rzadziej, z wagonów słychać było wycie spragnionych i wyczerpanych chorobą więźniów.

Gdy transport dojechał do jednej z syberyjskich rzek, przeładowano więźniów na pokład wysokich barek. Ostatecznie, po wielu dniach koszmarnej podróży, której szczegóły zatarły się w pamięci, konwój dotarł do punktu docelowego – wchodzącego w obręb „Projektu nr 503" Jermakowa. Na miejscu „powitał" ich nieznany krajobraz, chmary krwiożerczych owadów, i naczelnik łagru, który w pierwszych słowach pozbawił ich jakiejkolwiek nadziei:

„Przywieziono was tu tylko po to abyście zdechli – szkoda na was kuli".

Leżące na lewym brzegu Jeniseju Jermakowo, w chwili rozpoczęcia prac nad magistralą kolejową było praktycznie niezamieszkałe, zajmowało jednak kluczową rolę w planach budowy magistrali. Właśnie do tego miejsca miały dotrzeć tory prowadzone z odległego Salechardu. W Jermakowie zamierzano wznieść olbrzymią stację przeładunkową, przystań dla promu przewożącego wagony przez Jenisej oraz parowozownię. O randze osady miał świadczyć fakt przeniesienia tutaj całego kierownictwa odcinka jenisejskiego.

Józef Duniec pamiętał, że choć nazywano to miejsce łagrem, to na samym początku nie było tam praktycznie żadnych zabudowań. Jedynie kilka mizernych domków należących do lokalnego maleńkiego sowchozu rybackiego i ogrodzone pole – zona z niewyciętymi w środku drzewami.

Jermakowo. Wiosenne roztopy.

Jermakowo ok. 1951 r., zejście w kierunku przystani. Na pierwszym planie niewielkie budynki, w tle podchodzący do wybrzeża statek.

Pierwsze transporty więźniów przybyłe w czerwcu 1949 r. do Jermakowa (razem ok. 1488 więźniów, wśród których były 593 kobiety) umieszczano w lichych namiotach. Solidniejsze obozy z barakami, drutami kolczastymi i całą okołoobozową infrastrukturą mieli zbudować sami zekowie (powszechnie stosowany skrót od słowa ros. zakluczennyj – więzień). Część więźniów rozpoczęła jednocześnie prace przy budowie nasypu przygotowywanego pod tory kolejowe.

Niemalże od chwili przybycia, pierwsze partie więźniów musiały zmierzyć się z niezwykle surowymi warunkami jakie panowały na miejscu. We wspomnieniach Polaka jednak pierwsze trudności aprowizacyjne, czy nawet ciężka praca nie były tak uciążliwe, jak wszechobecne, zapiekłe chmary owadów. Wylęgające się masami w błotnistej tajdze komary, sprawiały trudności nie tylko przy jedzeniu, przede wszystkim przy oddychaniu. Władze obozowe, świadome zagrożenia i utraty zdolności do pracy, przydzielały więźniom specjalne siatki chroniące twarz. Jednak oczka siatek były zbyt duże, aby mogły powstrzymać ataki drugiej zmory zeków – maleńkich meszek, których ugryzienia doprowadzały ludzi niemalże do szaleństwa. Wraz z nadejściem jesieni chmary owadów znikały, nadchodził jednak straszniejszy przeciwnik – mróz.

„Zima była sroga – wspominał Wiesław Krawczyński, więzień „Projektu nr 503" w obozie w Igarce. *Koło podbiegunowe znajduje się na 66°33' północnej szerokości geograficznej. Pierwszy raz w życiu przeżywałem tak niską temperaturę. Wyjście nocą na zewnątrz groziło zamarznięciem. Na szczęście w baraku było małe pomieszczenie, gdzie znajdowało się duże »naczynie« do załatwiania nocą potrzeb fizjologicznych. (…) rano wychodząc z baraku, a była to noc polarna i dopiero koło południa robiło się względnie jasno, wychodziło się jak gdyby w tunel. Po obu stronach ścieżki zalegały wysokie zwały śniegu. W zwykłych łagrach, w których baraki były wkopane w ziemię, więźniowie musieli się odkopywać, aby wyjść na zewnątrz, co nie było rzeczą łatwą z powodu braku należytego sprzętu.*

Najgorsze jednak były dnie, kiedy powstawała zamieć, niosąca śnieg z taką siłą, że nic nie było widać na metr przed sobą. Była to tak zwana »purga«. Srogi północny klimat odbierał życie wielu zesłańcom nie przystosowanym do niego, źle karmionym i źle odzianym. (…) klimat polarny to 47 dób z ciągłą nocą, sto dni z temperaturą poniżej 30°C, 130 dni z zamieciami, 90 dni z szybkością wiatru ponad 15 m na sekundę, wreszcie 250 dni z leżącym śniegiem. W obozach położonych jeszcze bardziej na północ, zakładano pomiędzy barakami,

Jermakowo. Jedno z pierwszych zdjęć z 1949 roku. Na pierwszym planie szkielet namiotu, w tle namiot już postawiony. Tak kwaterowano pierwsze grupy więźniów, które tu dotarły.

i do latryn liny, aby w czasie polarnej nocy więzień nie zgubił się. Pomimo tego znam wypadek, kiedy taki »dochodiaga« (więzień wycieńczony fizycznie, często chory z głodu i wyczerpania – przyp. Ł.O.) *nie mający sił, na skutek zawiei zgubił się. Na drugi dzień znajdowano tylko »sopel lodu« długości ofiary"*[2].

Wraz z upływem miesięcy do Jermakowa nadchodziły kolejne partie wyczerpanych podróżą zesłańców. Niektórzy mieli szczęście płynąć na statkach pasażerskich, gdzie warunki, mimo braku dostatecznego wyżywienia, były znośne. Jednak inne kontyngenty zeków upychano w prawdziwych „pływających trumnach".

Wiktor Ledniewskij pracował dla „Projektu 503" pływając na statkach „Timur Frunze" i „Wiktor Talalichin". Pamiętał straszne warunki panujące podczas rejsów. Statków pasażerskich z prawdziwego zdarzenia było mało, więc zdecydowano się na przerobienie trzech starych barek: „Jermacicha", „Anguticha" i „Fatjanicha". Każda z nich miała ok. 100 m długości. Wzdłuż kadłuba rozmieszczono 3 poziomy koi do spania. Otwory ładowni zamykano stalowymi płytami, w obawie przed ucieczkami. Na jednej barce mieściło się ok. 3 tys. więźniów płynących w olbrzymiej ciasnocie i fekalicznym smrodzie. Za „toalety" służyły wiadra rozmieszczone pod pokładem w pobliżu koi. Transporty odbywały się głównie wiosną i latem, bardzo często panowała wysoka temperatura. Zaduch, smród i brak wentylacji, a często i brutalność przewożonych tymi samymi transportami kryminalistów sprawiały, że wielu, szczególnie starszych więźniów, umierało. Zwłoki wynoszono na brzeg podczas krótkich przerw w rejsie.

Napływające rzeką z południa masy więźniów sprawiły, że Jermakowo, wraz z kilkoma dużymi obozami położonymi obok siebie, stało się praktycznie największym skupiskiem ludzkim w promieniu kilkuset kilometrów. W drugim, kluczowym dla „Budowy nr 503" miejscu, Igarce, również zaczęto tworzyć duże łagry z podobnymi zadaniami – rozbudowania infrastruktury, przygotowania przyszłego pełnomorskiego portu i wykonywania trasy kolejowej, tym razem biegnącej na prawym brzegi Jeniseju w kierunku południowym. Pod koniec 1949 r. w rejonie obu ośrodków znajdowało się już prawie 30 tys. więźniów i ok. 2500 robotników wolnonajemnych. Powstały prawdziwe miasteczka wypełnione wielonarodową masą zesłańców, pochodzących z każdego zakątka sowieckiego imperium oraz z krajów, które miały nieszczęście zostać pokonane, bądź znaleźć się w orbicie wpływów ZSRR.

Międzynarodowa mozaika

Poznanie składu narodowościowego więźniów „Projektu 503" było jednym z celów wyprawy „Dead Road 1953-2013". Po rozmowach z szefem krasnojarskiego oddziału Stowarzyszenia Memoriał i ludnością Turuchańska oraz niewielkiej wsi Farkowo, znajdującej się już niemalże na trasie przebiegu linii kolejowej, kwestia ta ciągle pozostawała otwarta. Wspominano nam o niemieckich jeńcach oraz „frontownikach", czyli żołnierzach Armii Czerwonej wziętych do niewoli przez Niemców, a po wyzwoleniu masowo zsyłanych do łagrów. Ostatecznie dopiero materiały zebrane w Igarce, jak również relacje Polaków uzyskane już po zakończeniu wyprawy w Fundacji Ośrodka „Karta", w Archiwum Historii Mówionej oraz we wrocławskim Ośrodku Pamięci i Przyszłości, pozwoliły przybliżyć nieco tę kwestię. Niestety, jedynie tylko w dużym przybliżeniu, bowiem do dziś nikomu nie udało się odnaleźć żadnego dokumentu precyzującego stany liczbowe więźniów pod kątem narodowości.

Z pewnością największą grupę stanowili sami Rosjanie i obywatele sowieckich republik, osadzeni z powodów politycznych, „frontowniki" oraz kryminaliści. Ci ostatni byli prawdziwą zmorą zesłańców, niejednokrotnie bardziej niebezpieczni niż strażnicy, czy warunki klimatyczne.

Osadzony w Jermakowie Sergo Łominadze wspominał, że największą grupę „inostrańców" (ros. cudzoziemców) stanowili obywatele republik bałtyckich – Litwini, Łotysze i Estończycy. Część z nich służyła wcześniej w oddziałach podlegających niemieckiemu dowództwu, część została aresztowana za różnego rodzaju „przestępstwa" przeciwko władzy sowieckiej. Wśród współwięźniów Łominadze w obozie w Jermakowie było również sporo Niemców – jeńców wojennych.

Z kolei znajdujący się w Igarce Wiesław Krawczyński wspominał także inne, liczne grupy narodowościowe: Ukraińców, Białorusinów, Węgrów, Mołdawian, Czechów, Żydów, Tatarów i oczywiście Polaków. Do nich dochodzili przedstawiciele „niepokornych" republik sowieckich, jak Czeczenia, czy mało licznych przedstawicieli innych państw europejskich: Grecji, Francji. Wśród więźniów panowało znaczne zróżnicowanie zarówno pod kątem przeszłości, jak i wysokości wyroku. Często bywało tak, że w jednym obozie, a nawet i w jednej roboczej brygadzie, pracowali dawni wrogowie – członkowie UPA, polscy AK-owcy, żołnierze Waffen SS, Żydzi, czeczeńscy górale, oficerowie Armii Czerwonej, jak również zupełnie zapomniani jeńcy japońscy.

Wojciech Borsuk płynący jedną z barek przewożących więźniów z Krasnojarska w rejon budowy kolei, wspominał, że wśród jego towarzyszy znajdował się wyższy sowiecki oficer marynarki, skazany za nieumyślne zatopienie okrętu. Przez całe dnie toczył on długie przyjacielskie dyskusje z równym mu stopniem oficerem niemieckiego Wehrmachtu. Mimo różnic narodowościowych i odmiennej przeszłości wśród więźniów „503-trojki" nie dochodziło do większych konfliktów. A jeśli tak, to miały one raczej marginalny charakter.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z „błatnymi" lub „urkami" nazywanymi tak wg obozowej gwary recydywistami, kryminalistami i pospolitymi przestępcami, którzy w warunkach obozowych wyzbyli się praktycznie wszelkich ludzkich odruchów. Cała olbrzymia literatura wspomnieniowa i naukowa dotycząca historii GUŁAG-u pełna jest opisów działań tej najbardziej znienawidzonej grupy więźniów. Wytatuowani, ordynarni i bardzo brutalni kryminaliści stworzyli swoją własną, wewnętrzną hierarchę – swój własny świat. Posiadający wysokie wyroki, nie bali się niczego i nikogo, bowiem za kolejne przewinienia, takie jak np. pobicia, a nawet zabójstwo, mogli co najwyżej otrzymać powiększenie wyroku. Każdy kto stanął im na drodze, nie mógł liczyć na litość. Ich okrucieństwa i bezwzględność budziły strach wśród współwięźniów.

W przypadku „Budowy nr 503" (lata 1949-53) sytuacja „urków" uległa nieco zmianie, w porównaniu z czasem przed- i w trakcie wojny, gdy stanowili praktycznie niezależną siłę, z grubsza tylko podporządkowującą się obozowym władzom. Tym razem wśród więźniów „politycznych" masowo pojawili się ludzie przyzwyczajeni do przemocy, potrafiący się zorganizować. Frontowi żołnierze, członkowie różnorodnego podziemia, konspiratorzy, partyzanci, często trzymający się razem z powodów przynależności narodowej bądź wspólnych przeżyć. Również władze obozowe, którym zależało na efektywności pracy i budowaniu kolejnych odcinków torów, starały się przeciwdziałać samowoli „błatnych".

Józef Duniec wspominał, iż początkowo w Jermakowie obecność „złodziejaszków" dawała się mocno we znaki. Jednak wraz z kolejnymi, upływającymi miesiącami sytuacja ulegała poprawie. „Błatnych" umieszczano w osobnych, mniejszych obozach lub rozbijano na mniejsze grupy, które wysyłano w głąb tajgi. Czasami inni więźniowie brali sprawę w swoje ręce. Sergo Łominadze pamiętał sytuację, gdy stosunkowo niewielka, ale bardzo brutalna grupa około 25 „urków" terroryzowała jeden z obozów w Jermakowie. Znęcali się nad współwięźniami i odmawiali pracy, nie przejmując się zbytnio karami, ani próbami dyscyplinowania. Próbowano ich odesłać do innego łagpunktu, za każdym razem odmawiano ich przyjęcia. Dopiero pewnego dnia Łominadze, który przebywał przez kilka godzin poza obozem, zastał opatrywanego przez strażników mężczyznę z obciętym uchem. Była to jedna z licznych ofiar gwałtownego starcia, do jakiego doszło na terenie obozu. „Błatni" zostali w brutalny sposób spacyfikowani przez więźniów – żołnierzy kilku różnych armii. Ci, którzy przeżyli, zostali odseparowani i wywiezieni do innych obozów.

Pod koniec 1949 r. sporządzono raport, w którym na terenie całego projektu odnotowano 8, jak to określono, gangsterskich porachunków – co oznaczało duże starcia, w których padały śmiertelne ofiary, 156 chuligańskich wybryków, 503 złamania regulaminu oraz 329 przypadków kradzieży – co stanowi niewielką, jak na warunki obozowe liczbę, spowodowaną prawdopodobnie brakiem zgłoszeń władzom obozowym tego rodzaju przestępstw.

W głąb tajgi

W kolejnych latach kierujący projektem zintensyfikowali wysiłki podlegających sobie obozów. Obok rozrastających się głównych ośrodków, Jermakowa i Igarki, zaczęto tworzyć tzw. „kolonie",

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

rozmieszczane w głębi tajgi na trasie linii kolejowej. Do końca marca 1950 r. utworzono ich 29. „Kolonie", nazywane tak w nomenklaturze administracji, były po prostu niewielkimi obozami, gdzie wysyłano ok. 50-60 osobowe grupy więźniów (na ogół z długimi wyrokami) z zadaniem przygotowania baraków dla większej ilości zeków.

Powtarzał się znany już schemat.

Pierwsze grupy pozbawione wystarczającego wsparcia, żywności, mieszkające w namiotach, bądź niewielkich ziemiankach kopanych z trudnością w przemarzniętym gruncie, ponosiły duże straty w wyniku chorób, wypadków i odmrożeń. Dopiero po wybudowaniu solidnych baraków i nadejścia kolejnych partii więźniów sytuacja ulegała poprawie, a niewielkie „kolonie" zyskiwały miano łagpunktów, stając się obozem z całą infrastrukturą – strażniczymi wieżyczkami, drutem kolczastym i barakami. Od tego momentu koncentrowano się na budowie linii kolejowej, sypano ręcznie nasyp, kładziono tory, budowano przepusty i kładki. Po prawie 4 latach od rozpoczęcia budowy, na początku 1953 r., otwarto ruch pociągów na lewym brzegu Jeniseju – od stacji Jermakowo do Janow Stan. Łącznie, od stacji Jermakowo w kierunku Salechardu ułożono ok. 160 km szlaku, po którym mogły przejechać pociągi.

Prowadzono też roboty w bardziej odległej części szlaku, budując most przez rzekę Taz. Położono tutaj ok. 20 km torów wraz z odgałęzieniami do stacji postojowej oraz kopalni piasku. Moskwa naciskała na pośpiech, kierownictwo budowy starało się zintensyfikować wysiłki, aby sprostać kolejnym setkom kilometrów nieprzyjaznego terenu. W międzyczasie udało się rozplanować niemalże całą trasę, bowiem grupy więźniów wraz z robotnikami wolnonajemnymi ułożyły na całej długości przyszłej magistrali linię wysokiego napięcia i telefoniczną.

Do dnia 1 I 1953 r. na budowie linii Salechard-Igarka wykonano: 22,4 mln m^3 robót ziemnych, pomocniczych prac murarskich wszystkich typów 70 tys. m^3, rusztowań budowlanych 43 400 m^3. Do budowy mostów zużyto 14 500 ton stali. W kierunku budowy płynęły kolejne statki z więźniami, zestawami torów, parowozami i parkiem maszynowym, gdy nastąpił zupełnie niespodziewany przez nikogo koniec...

Śmierć, która cieszy

5 III 1953 r. we wszystkich obozach „503-trojki" ogłoszono komunikat o śmierci Stalina. Reakcje były różne, podobnie, jak w tysiącach innych obozów GUŁAGU. Najczęściej udawany smutek, czasem milczenie lub nieliczne oznaki radości. Jednak w sercach wszystkich więźniów z pewnością dominowała nadzieja na odmianę losu. Przez pierwszą połowę marca praca przy budowie kolei przebiegała swoim rytmem, brygady wychodziły do pracy, przygotowywano kolejne odcinki torowiska, wytyczano miejsca pod nowe, i rozbudowywano stare obozy.

Tymczasem na Kremlu sprawy nabierały tempa.

Dzierżący władzę Ławrientij Beria, z trudem ukrywający satysfakcję w obliczu śmierci „Przywódcy Narodu", energicznie zabrał się za reformę systemu. Do chwili swojego aresztowania wprowadził wiele zaskakujących zmian – częściową amnestię dla więźniów, zakaz stosowania tortur w śledztwie. Rozpoczął przygotowania do zmiany polityki międzynarodowej, zaprzestania sowietyzacji republik nadbałtyckich, Ukrainy... a nawet NRD. Co więcej, nosił się z zamiarem zlikwidowania całego systemu GUŁAG-u. Do dziś nie udało się odpowiedzieć na pytanie: jaki był cel człowieka odpowiedzialnego za największe zbrodnie okresu stalinowskiego? Jedno nie pozostawia wątpliwości – jako długoletni szef NKWD był najlepiej zorientowany w braku efektywności gospodarczej systemu niewolniczej pracy oraz kosztach, jakie przynosiły sztandarowe inwestycje będące oczkiem w głowie Stalina.

22 III 1953 r. nakazał więc wstrzymanie realizacji ponad 20 z nich, m.in. Wielkiego Kanału Turkmeńskiego, kanału Wołga – Ural, Portu w Doniecku, podmorskiego tunelu Sachalin oraz budowy portu morskiego i linii kolejowej Salechard-Igarka.

Rozkaz przesłano drogą telegraficzną. W efekcie, na całej trasie projektu 503 od Igarki do rejonów dzikiej tajgi pomiędzy Janow Stan i rzeką Taz, w jednej chwili zaprzestano prac, prowadząc jedynie konserwację dotychczas wykonanej linii.

26 V 1953 r. zdecydowano się na likwidację całej budowy, ewakuację w całości obozów oraz głównych ośrodków Jermakowa i Janow Stan, wywiezienie parku maszynowego, zaopatrzenia, narzędzi itd. Całość ewakuacji zaplanowano przeprowadzić do 1 IX 1953 roku.

Jak się okazało, nie było to takie proste.

Praktycznie z marszu zrezygnowano z planowanej wywózki parowozów, materiałów i składów znajdujących się na zachód od Janow Stan. Ewakuację więźniów i wywózkę materiałów z bliższych rejonów szybko opanował chaos podsycany kosztami całego przedsięwzięcia. Ostatecznie w opuszczonych obozach i na szlaku pozostawiono większość maszyn, wyposażenia obozów i prawie cały park maszynowy, w tym kilkadziesiąt parowozów, setki wagonów, traktorów i ciężarówek. Dodatkowo w tajdze i tundrze pozostało 252 km gotowej linii kolejowej, nie licząc odnóg do kopalni piasku i żwiru oraz łącznic, ogromnej liczby mostów, budynków, mijanek.

Zaledwie kilka miesięcy po wydaniu decyzji o zaprzestaniu prac w rejonie „Budowy nr 503", na miejscu pozostało jedynie kilka osób – konserwatorów linii telefonicznej Salechard-Igarka, którą udało się zamontować obok planowanej trasy. Koszty budowy całego przedsięwzięcia sięgnęły kilkuset milionów rubli. Cdn.

ZDJĘCIA ARCHIWALNE: ZBIORY WŁADYMIRA PENTJUCHOWA, PRZEKAZANE PRZEZ STOWARZYSZENIE MEMORIAŁ – ODDZIAŁ W KRASNOJARSKU. FOT. WSPÓŁCZESNE: DEAD ROAD 1953-2013.

Przypisy:

[1] W. A. Łamin, „Sekretnyj obiekt 503", [w:] „Nauka w Syberii", 1990, nr 3, str. 5

[2] W. Krawczyński, „Relacje z zesłania" [w:] „Zesłaniec – Organ Rady Naukowej Związku Sybiraków", nr 31, str. 83.

Wiesław Krawczyński miał bardzo dużo szczęścia. Został wcielony do obozowej orkiestry, co umożliwiło mu nieco lepsze warunki bytowania i przede wszystkim zwolnienie od najcięższych prac.

Literatura i źródła:

1. „Strojka nr 503 (1947-1953). Dokumenty, materiały, Issledowanja". Wypusk 1, 2, 3. Krasnojarsk 2000-2012
2. A. Applebaum, „Gułag", Warszawa 2005
3. www.memorial.krsk.ru
4. Relacje Józefa Duńca i Wojciecha Borsuka pochodzą ze zbiorów Archiwum Historii Mówionej Fundacji Ośrodka „Karta".

Po 73 latach ponownie w krzeszowskim klasztorze. Od lewej Marta Zjawin (Radetz), Janina Menich (Leś) i Olga Guła (Gąsior) w towarzystwie autora. Fot. R. Tomczak.

Krzeszów – klasztor zamieniony na obóz

JANUSZ SKOWROŃSKI,
WSPÓŁPRACA ROMAN TOMCZAK

Pytając o wojenną przeszłość krzeszowskiego kompleksu klasztornego, jednym tchem wymienia się składowanie w nim słynnej „Berlinki" – 505 specjalnie zabezpieczonych skrzyń z najcenniejszymi zbiorami muzycznymi, rękopiśmiennymi i graficznymi Preussische Staatsbibliothek z Berlina, które przewieziono do Grüssau z pierwotnego miejsca ukrycia – zamku Fürstenstein (Książ) koło Wałbrzycha. To miało miejsce w 1944 roku, choć wrocławskie archiwalia miejskie dostarczono do Krzeszowa już jesienią 1943 roku. Dwa lata wcześniej, bo jesienią 1941 roku, zaczęły zjeżdżać do klasztoru pierwsze grupy Żydów, kierowanych tam przez gestapo z Breslau. W klasztorze zorganizowano dla nich obóz przejściowy. Okazuje się, że nie był to pierwszy z obozów. O jeszcze wcześniejszym, historia do tej pory milczała...

W miesiąc po wybuchu II wojny światowej, 7 X 1939 roku, Hitler podjął istotne kroki wobec ludności niemieckiej zamieszkałej za granicą. W Berlinie opublikowano dokument „Dekret Führera i kanclerza Rzeszy o umocnieniu niemieckości". Stanowił on podstawę prawną do sprowadzenia do Rzeszy ludności pochodzenia niemieckiego, nie posiadającej obywatelstwa, zamieszkałej poza granicami Rzeszy. Dało to początek zakrojonej na szeroką skalę akcji wysiedleńczo-kolonializacyjnej pod nazwą „Heim ins Reich" (powrotu do Rzeszy, powrotu do domu). Dekret Hitlera wymieniał Niemców mieszkających w krajach nadbałtyckich, Rosji i Rumunii. Północną część tej ostatniej stanowiła kraina zwana Bukowiną.

Cóż to za kraina?

W XVIII wieku tak zaczęto nazywać obszar leżący na południowo-zachodnich kresach Rzeczypospolitej, za Czeremoszem, a pomiędzy Karpatami Wschodnimi (od zachodu) i środkowym Dniestrem (od wschodu). W tym znaczeniu posługiwano się określeniem Bukowina do czasu zajęcia jej przez Austrię w Küczük Kajnardży w 1774 roku. Na mocy tego układu Austria otrzymała Bukowinę. Wojska austriackie wkroczyły do niej rok później. Na mocy tejże aneksji, Austriacy wytyczyli granice Bukowiny podczas kilkunastoletnich rządów wojskowych, a potem wcielono ją do Galicji, jako jeden z jej najsłabiej zaludnionych powiatów o powierzchni ok. 10 500 km kw. W roku 1849 Bukowinę odłączono od Galicji. Utworzono z niej odrębny kraj koronny z własnym rządem i sejmem, ale nadal powiązany z galicyjskimi strukturami sądowniczymi i prokuratorskimi. Odtąd Bukowinę urzędowo nazywano księstwem.

Ten stan rzeczy pozostawał do końca I wojny światowej, po której traktat wersalski, m.in. za sprawą bukowińskich Polaków, oddał Bukowinę wraz z Besarabią (dzisiejszą Mołdawią) Rumunom, którzy połączywszy wszystkie swoje ziemie w jedną całość, nazwali państwo Wielką Rumunią. Bukowina funkcjonowała w dotychczasowym kształcie w ramach państwa rumuńskiego aż do 1940 roku. Była wielonarodowościową mieszaniną kultur i obyczajów. Większość ludności bukowińskiej posiadała obywatelstwo rumuńskie

Kartka propagandowa akcji „Heim ins Reich" (1940).

i pochodziła częstokroć z rodzin mieszanych – Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Słowacy, Rumuni. Mieszanina języków była tam na porządku dziennym.

W ściśle tajnym protokole, podpisanego 23 VIII 1939 roku w Moskwie paktu Ribbentrop-Mołotow – jak wiemy – była mowa o Polsce i *„rozgraniczeniu interesów Niemiec i ZSRR mniej więcej wzdłuż linii Narwii, Sanu i Wisły na obszarze państwa polskiego"* (w pkt. I). Jednakże pkt. III tegoż tajnego dokumentu traktował o Europie Południowo-Wschodniej, gdzie *„strona radziecka podkreśla swoje zainteresowanie Besarabią. Ze strony niemieckiej stwierdza się zupełnie désintéressement* [brak zainteresowania] *odnośnie tego terytorium"*. Co ciekawe, nigdzie w tajnym dokumencie nie było mowy o sąsiedniej Bukowinie. Nie było o niej mowy również w tzw. II pakcie Ribbentrop-Mołotow – już po kapitulacji Warszawy – zawartym 28 IX 1939 roku. Ten jedynie porządkował strefy wpływów w okupowanej Polsce.

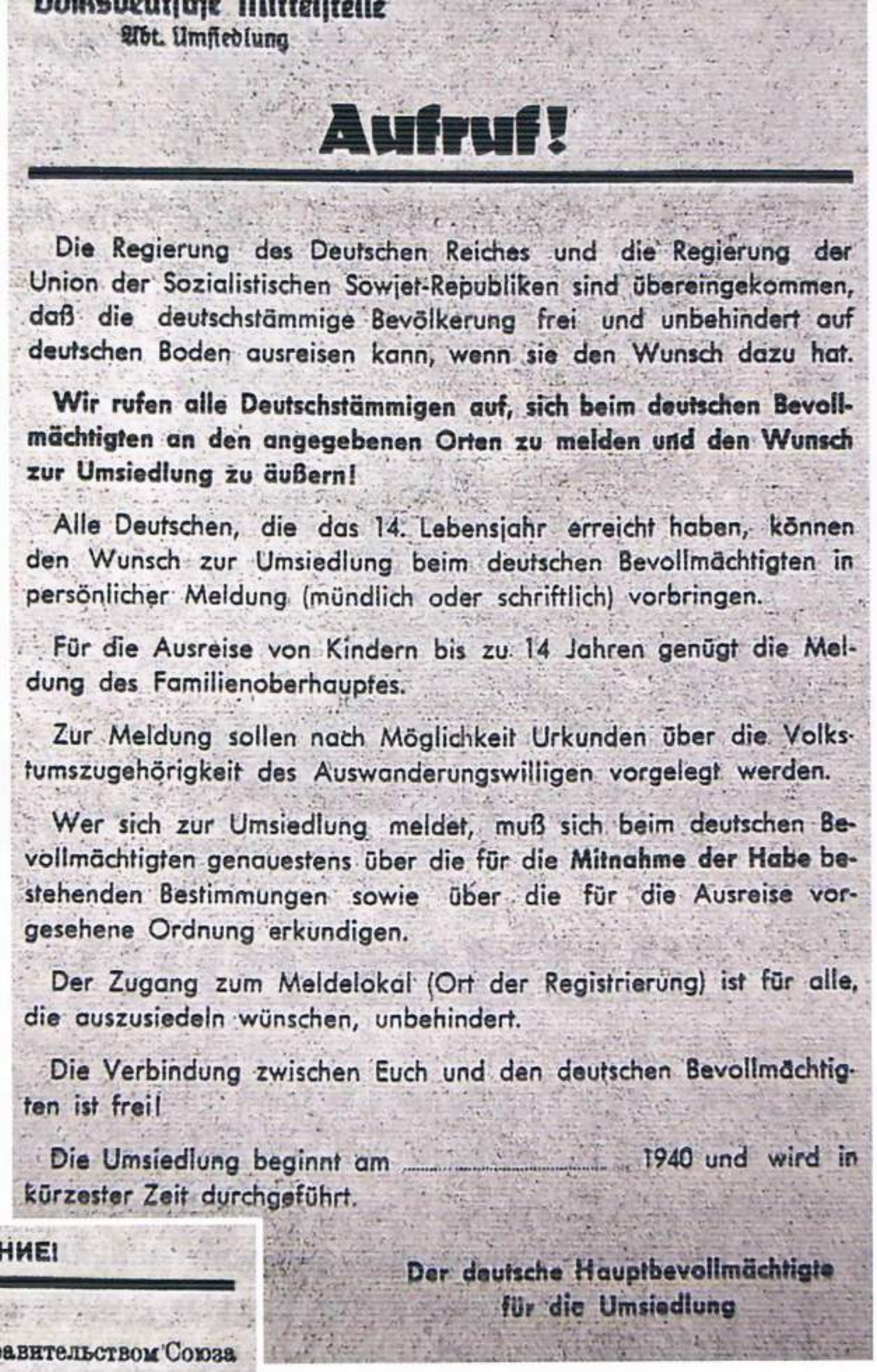

Deutsche Mittelstelle
Abt. Umsiedlung

Aufruf!

Die Regierung des Deutschen Reiches und die Regierung der Union der Sozialistischen Sowjet-Republiken sind übereingekommen, daß die deutschstämmige Bevölkerung frei und unbehindert auf deutschen Boden ausreisen kann, wenn sie den Wunsch dazu hat.

Wir rufen alle Deutschstämmigen auf, sich beim deutschen Bevollmächtigten an den angegebenen Orten zu melden und den Wunsch zur Umsiedlung zu äußern!

Alle Deutschen, die das 14. Lebensjahr erreicht haben, können den Wunsch zur Umsiedlung beim deutschen Bevollmächtigten in persönlicher Meldung (mündlich oder schriftlich) vorbringen.

Für die Ausreise von Kindern bis zu 14 Jahren genügt die Meldung des Familienoberhauptes.

Zur Meldung sollen nach Möglichkeit Urkunden über die Volkstumszugehörigkeit des Auswanderungswilligen vorgelegt werden.

Wer sich zur Umsiedlung meldet, muß sich beim deutschen Bevollmächtigten genauestens über die für die **Mitnahme der Habe** bestehenden Bestimmungen sowie über die für die Ausreise vorgesehene Ordnung erkundigen.

Der Zugang zum Meldelokal (Ort der Registrierung) ist für alle, die auszusiedeln wünschen, unbehindert.

Die Verbindung zwischen Euch und den deutschen Bevollmächtigten ist frei!

Die Umsiedlung beginnt am ..... 1940 und wird in kürzester Zeit durchgeführt.

Der deutsche Hauptbevollmächtigte
für die Umsiedlung

ОФИЦИАЛЬНОЕ ИЗВЕЩЕНИЕ!

Между правительством Германии и правительством Союза С. С. Р. достигнуто соглашение о том, что германское население может, изъявив на то желание, свободно и беспрепятственно выехать на территорию Германии.

Мы призываем всех лиц германской национальности, желающих переселиться, явиться к германским представителям в указанные пункты.

Немцы, начиная с 14 летнего возраста могут сделать личное заявление (в устной или письменной форме) о желании эвакуироваться Уполномоченному Германской стороны. В отношении выезда детей до 14 лет достаточно заявления главы семьи.

Личное заявление о желании выехать должно быть, по возможности, сопровождено документами, подтверждающими национальность желающего выехать.

Лицо, подавшее заявление о выезде должно подробно выяснить у Уполномоченного условия вывоза имущества и порядок выезда.

Для всех желающих эвакуироваться вход в место регистрации беспрепятственный. Сношение между Вами и представителями Германии свободно.

Переселение начинается ..... и будет закончено в кратчайший срок.

Представитель Правительства

Obwieszczenia organizacji VoMi (w j. niemieckim i rosyjskim) informujące o szczegółach ewakuacji z Bukowiny.

Werner Lorenz stał na czele Volksdeutsche Mittelstelle.

Jednakże Związek Radziecki już 28 VI 1940 roku zajął nie tylko teren Besarabii. Działając metodą faktów dokonanych, niespodziewanie wkroczył zbrojnie również na północną Bukowinę. Włączył ją do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, jako czerniowiecki obwód administracyjny. Dla zamieszkałej tam ludności nastąpiła tzw. pierwsza okupacja radziecka, trwająca aż do napaści Niemiec na ZSRR 22 VI 1941 roku, kiedy to Rosjanie wycofali się z Bukowiny[1].

W międzyczasie (5 IX 1940) Niemcy podpisały w Moskwie umowę radziecko-niemiecką o przesiedleniach ludności z północnej Bukowiny i Besarabii. A później kolejny dokument – z Rumunią, o przesiedleniach z południowej Bukowiny i Dobrudży. Traktat niemiecko-radziecki głosił m.in., *„że chęć przesiedlenia może być wyrażona ustnie bądź pisemnie; przesiedlenie jest dobrowolne; nie może być przy tym stosowany żaden pośredni lub bezpośredni nacisk"*.

Na wyjazd dzieci do lat 14 wystarczyła jedynie zgoda rodzica (uznawanego za głowę rodziny), dzieci starsze zgłaszały swój wyjazd (pisemnie lub ustnie) niemieckiemu pełnomocnikowi. Do przesiedleń wyznaczono czas pomiędzy 15 IX a 15 XI 1940 roku. Niemcom spieszyło się, gdyż chcieli rozwiązać problem przesiedleń przed nadejściem srogiej rosyjskiej zimy. Wydrukowano dwujęzyczne plakaty, gdzie – w poszczególnych miastach i wsiach bukowińskich – pozostawiono jedynie miejsce na wpisanie daty rozpoczęcia całej operacji. Na samej tylko Bukowinie Niemców zaskoczyły rozmiary akcji. Jeszcze w roku 1930 w trakcie przeprowadzonego tam spisu powszechnego, pochodzenie niemieckie deklarowała mniejszość licząca 75 533 osoby, to dziesięć lat później przesiedlono aż 95 770 osób.

Zadano sobie pytanie: skąd nagle w ciągu tych kilku lat „pojawiło się" ponad 20 tysięcy Niemców, którzy opuścili Bukowinę?

Przepisy dotyczące wysiedleń nie były szczelne. Wystarczyło, że jedno z dziadków było pochodzenia niemieckiego, aby życzenie wyjazdu było spełnione. W wielonarodowej Bukowinie małżeństwa mieszane (choćby polsko-niemieckie) nie należały do rzadkości. Strach przed Rosją Radziecką i możliwością zsyłki na Syberię był wśród bukowińskich Polaków duży. Zapewne

docierały do nich wieści o pierwszych deportacjach Polaków na Sybir rozpoczętych już w lutym 1940 roku. Ci, którzy prowadzili własne zakłady, warsztaty czy należeli do miejscowej inteligencji, w oczach władzy radzieckiej uchodzili za „kułaków". Im wywózka na Syberię groziła w pierwszej kolejności. Uzasadnione obawy o przyszłość powodowały, że i oni, pomimo braku deklarowanego obywatelstwa, starali się wybierać wyjazd w przeciwnym kierunku.

Przebywające w obozie kobiety zapamiętały, że z tego okna roztaczał się widok na klasztorny ogród.

Akcja „Heim ins Reich" była do tego doskonałą okazją, zdarzało się, że i odpowiednio „argumentowaną", bowiem w grę często wchodziły pieniądze. Lepiej zapłacić niż stracić. Problemu nie było także z językiem, bo na niemiecki przechodziło się tu płynnie.

Od roku 1940 naziści zaczęli wywłaszczać setki kościołów. Zakazywano rekolekcji, pielgrzymek czy procesji, gdzie gromadzili się wierni. Zamykano gazety katolickie, przedszkola i biblioteki parafialne. Zabroniono przyjmowania do zakonów. Nie ominęło to także krzeszowskiego klasztoru, który prawie w całości zarekwirowało SS. Nie pomógł nawet sam Franz von Papen, którego podczas wojny odsunięto na placówkę dyplomatyczną w Turcji, a którego zdjęcia z wizytacji klasztoru i praktyk religijnych w 1935 roku, kiedy to benedyktyni obchodzili 200. rocznicę konsekracji kościoła Najświętszej Marii Panny, można dziś podziwiać w krzeszowskich archiwaliach. Benedyktyński konwent musiał zmieścić się w jednej, skromnej części skrzydła. Nie było to trudne, bo 40 z zakonnych braci zaciągnięto wkrótce do służby wojskowej w Wehrmachcie. 15 z nich nie przeżyło wojny.

Za przesiedlenia Niemców odpowiadała organizacja VoMi, czyli SS-Hauptamt **Vo**lksdeutsche **Mi**ttelstelle (Główny Urząd Kolonizacyjny dla Niemców etnicznych w ramach SS). VoMi dbała nie tylko o interesy Niemców (lub uznawanych za Niemców) poza granicami III Rzeszy, nie będących jednak obywatelami III Rzeszy. Realizowała także plany germanizacyjne, związane z hitlerowskim poszerzaniem tzw. przestrzeni życiowej. Miała przeprowadzać selekcję rasową i germanizację obywateli uznanych za Volksdeutschów. Na czele organizacji stał Obergruppenführer SS Werner Lorenz. Wśród rozległej, zbrodniczej działalności VoMi (m.in. tworzenie „piątych kolumn", brutalne wysiedlanie ludności etnicznej z terenów państw podbitych przez III Rzeszę czy germanizację dzieci, w tym polskich), skupmy się na przesiedleniach do Rzeszy obywateli zamieszkałych na terenie Rumunii, a konkretnie interesującej nas Bukowiny.

Skrupulatny Lorenz opublikował w 1942 roku propagandowy raport-książkę („Der Zug der Volksdeutschen aus Bessarabien und dem Nord-Buchenland"), w której podsumowywał 8-tygodniową akcję przesiedleńczą ludności z Bessarabii i Bukowiny.

„Wielkie Niemcy przyjmują swoich synów z odległych stron i kierują na miejsca wyznaczone przez Führera w ramach budowy niemieckiej przyszłości" – pisał we wstępie do raportu. Ogółem zorganizowano blisko 900 obozów, w różnych regionach Rzeszy, przyłączonej doń Austrii czy Czechosłowacji. Na mapie założonych obozów przesiedleńczych nie zabrakło Dolnego Śląska.

Jak pamięta Rozalia Krasowska (obecnie Kozakiewicz) z Panki koło Storożyńca, w ich wsi zapisy chętnych na wyjazd do Niemiec w 1940 roku prowadził doktor Eipert. *– Kto mógł i chciał, zapisywał się do Niemiec. Adwokaci, profesorowie... Niemcy nie za bardzo dociekali, kto jest kto... Nie było sprzeciwu, tylko z jedną zmianą. Ja nazywałam się odtąd Rosa Krasowski, z „i" na końcu.* Pani Rozalia miała z wyjazdem łatwiej, bo choć nieżyjący już ojciec był Polakiem, to mama była Niemką. *– 5 listopada 1940 roku mama, ja i rodzeństwo wyjechaliśmy ostatnim transportem ze Storożyńca, wagonami osobowymi. Najpierw z Hliboki do Storożyńca. Miałam wówczas 17 lat. Po pięciu dniach dojechaliśmy do Striegau na Dolnym Śląsku, dzisiejszego Strzegomia. Tam poznaliśmy pierwszy obóz dla nas, przesiedleńców z Bukowiny. Zorganizowany został na 1500 osób. Byliśmy w nim przez tydzień. Spaliśmy w bardzo dużej sali, same sienniki na podłodze, koce. Pod kocem ubierało się i rozbierało. Dwa rzędy głów, dwa rzędy nóg, tak ciasno było na sali. (...) Porozdzielano nas między różne obozy.*

Podobny przypadek opisuje Olga Gąsior (obecnie Guła) pochodząca z bukowińskiej Nowej Żadowy: *– W 1940 roku wyjechaliśmy do Niemiec. Moi rodzice byli małżeństwem mieszanym – Rudolf Gąsior, Polak i Stanisława z domu Staats, która miała niemieckie pochodzenie. Było nas sześcioro dzieci. Początkowo rodzice nie chcieli wyjeżdżać z Bukowiny. Ale gdzieś około września mama dowiedziała*

się, że jak tu zostaniemy, to mogą nas wywieźć aż na Sybir. Ojciec miał trochę zadziorny charakter, co nie podobało się, zwłaszcza miejscowym Ukraińcom i też nie bardzo chciał zostać w Nowej Żadowie. Dopiero w listopadzie wszyscy wsiedliśmy do pociągu, który nam podstawiono i po długiej jeździe, w nocy dotarliśmy aż do Grüssau na Dolny Śląsk. Dziś to jest Krzeszów. Tam zamieszkaliśmy w klasztorze. Miejsce to zostało naszym nowym domem, teraz obozem dla przesiedleńców, umsiedlungslagrem[2]. W Grüssau przebywali miejscowi zakonnicy, w brązowych habitach. Przenieśli się do oranżerii obok. Ale modlili się w kościele, my wraz z nimi. Sam klasztor zajęło już SS. Obóz był pod strażą i liczył około 850 przesiedleńców z Bukowiny. Zajęliśmy pokój przejściowy, w drugim ulokowano rodziny Smajdów i Happichów. Pełno materacy porozkładano na podłodze, ciasno się zrobiło. Ojciec nie mógł usiedzieć na miejscu, wyrwał się po cichu, nielegalnie, do miejscowego młyna, do jakiejś pracy. Kiedy powrócił do obozu, sprawa wydała się. Lagerführer nie mógł się nadziwić, jak ojciec tak sam zdołał opuścić obóz. Dostał za karę kilka dni wewnętrznego aresztu, na najwyższym piętrze, chyba klasztornym strychu. Z naszych wysiedleńców zorganizowano straż wewnętrzną, która pilnowała ojca. Nawet zagrożono nam, że jak będzie tak dalej postępował, to wszyscy trafimy do Auschwitz. Mnie i siostrze pobierano krew, robiono badania, zdjęcia – czy nadajemy się na „właściwą", germańską rasę. Ojcu się to nie podobało, jak to wszystko zobaczył, chciał koniecznie wracać na Bukowinę. Ale powrotu już nie było… Ostatecznie po trzech miesiącach trafiliśmy do kolejnego lagru. Blisko, bo do Landeshut[3]. Był już marzec 1941 roku. Ojcu kazano pracować w kopalni węgla kamiennego, w Gottesberg[4]. Przyjeżdżał do domu od czasu do czasu. Najmłodsza moja siostra Weronika urodziła się już w Landeshut. Tam mieszkaliśmy w ciężkich warunkach, po trzy rodziny w jednym pokoju. W Landeshut poszłam do szkoły.

Z krzeszowskich ksiąg parafialnych można się wiele dowiedzieć. Pani Marta odszukała w jednej z nich wpis o swoim chrzcie w 1940 roku.

Jeszcze inne były losy typowo polskiej rodziny Lesiów. Pani Janina Leś (obecnie Menich) tak to zapamiętała: *– Oboje rodzice byli Polakami. Ojciec miał w Nowej Żadowie piekarnię. W 1940 roku opuściliśmy Bukowinę. Dopiero po latach dowiedziałam się, jak do tego wyjazdu doszło. W naszej Nowej Żadowie pracował niejaki pan Nowakowski, Polak. Ojciec został zaliczony do tzw. kułaków, no bo przecież był piekarzem. Nowakowski przekazał ojcu wiadomość, że jesteśmy na liście NKWD do wywózki na Syberię. Tato nie mógł „kombinować" z nazwiskiem. Nic z tego nie wyszło, w końcu zapłacił za wpisanie nas na listę wyjeżdżających do Niemiec. Wiadomo – pieniądz może wszystko. Kiedy siedzieliśmy już na furmance, mama rzekła do siostry, aby nie oglądała się, bo będzie bardzo żałować. I tak wyjechaliśmy z Bukowiny. Polska rodzina z niemieckimi i półniemieckimi wysiedleńcami. Między sobą rozmawialiśmy po polsku, ale wśród obcych jedynie po niemiecku. Zwłaszcza pilnowano mnie, najmłodszą, abym przypadkiem nie „wygadała się" po polsku. Nazwiska nie zmieniliśmy, ale chyba zamiast Leś byliśmy już Lesch.*

Zanim Lesiowie trafili do klasztoru Grüssau, kilka dni spędzili w innym obozie przesiedleńczym. Urządzonym tuż obok, w pobliskim przysiółku Betlejem[5]. Jak wiadomo, to energiczny opat Bernard Rosa, który tu nastał w 1660 roku, postanowił zmienić opactwo w „nową Jerozolimę", tworząc kalwarię i przysiółek. Ale Janina Leś inaczej zapamiętała tę nazwę: *– Boże, gdzie ja jestem. Tu przecież urodził się Pan Jezus! Mama strasznie przeżywała ten nasz wyjazd, płakała. Chciała koniecznie wracać na Bukowinę. Tam została jej mama, moja babcia Anna Wilusz. A tu niemiecka orkiestra grała na nasze powitanie. Decyzję o wyjeździe z Bukowiny mama wybaczyła ojcu później. Dotarło do niej, jakie to okropności i morderstwa dzieją się na Bukowinie. W Grüssau ojciec zaczął pracować, bo na miejscu w klasztorze była piekarnia. Ojciec pracował także w kuchni obozowej. „Herr Lesch, ty tu będziesz całym szefem!" chwaliła ojca szefowa kucharek. Najpierw dostaliśmy w klasztorze duży pokój dla kilku rodzin, potem zamienili na mniejszy, ale tylko dla naszej czteroosobowej rodziny. W pokoju były piętrowe łóżka. Mama od razu go posprzątała, bo wyglądał okropnie. Nawet lagerführer ją pochwalił, jak ma tu czysto. Ci przed nami, to byli dopiero brudasy! Karolina, moja siostra, dostała pracę w Landeshut, w fabryce odzieży. Karolina bez przerwy płaka-*

Kogo przedstawia ten ślubny obraz? – pyta siostra przełożona. Benedyktynki odnalazły go w klasztorze, do którego przybyły ze Lwowa w 1946 roku.

ła, także nie mogła pogodzić się z tym, że opuściliśmy naszą Bukowinę.

Na dole była stołówka, tam jedliśmy posiłki. Dzieciom, które ładnie zjadły, dawano dla zachęty po batoniku. Nie mogłam tego jeść, byłam przyzwyczajona do bułeczek i ciastek, wypieków ojca. W naszym obozie wiele par brało śluby. Po szerokich klasztornych schodach schodzili do głównego kościoła. A on bardzo mi się podobał, taki był piękny. U nas nie było takich. Moja siostra, kiedy wracała po tygodniu z pracy w Landeshut, to po klasztornym placu jeździła rowerem.

Kiedy po 73 latach kobiety opowiadają swoje historie siostrom benedyktynkom z Krzeszowa, sprowadzonym tu ze Lwowa w 1946 roku, przełożona nieoczekiwanie przynosi zdjęcie ślubne młodej pary. Cóż może robić w klasztorze? Jedyne wytłumaczenie jest takie, że należeć może do przebywających w nim w latach 1940-41 Bukowińczyków. Czy można odkryć coś więcej? Pewnie tak, bo niebawem panie zaproszone przez siostry, bezbłędnie wskazują klasztorne pokoje, w których mieszkały.

Kolejna z mieszkanek krzeszowskiego obozu to Marta Radetz (obecnie Zjawin). Jej historia jest także niezwykła: *– Kiedy wyjeżdżaliśmy z Bukowiny mama była ze mną w ciąży. Za kilka dni miałam się urodzić. A urodziłam się w Landeshut (dzisiejszej Kamiennej Górze) w dosyć niezwykłych okolicznościach. Moi rodzice, Maria z domu Smajda i Józef Radetz, trafili w październiku 1940 roku z Bukowiny do Grüssau. Brat Klemens, dziadkowie Ferdynand i Karolina. Dziadek był stelmachem w Nowej Żadowie, jednocześnie pełnił funkcję wójta. Dziadkowie posiadali duże gospodarstwo. W jednym pokoju klasztoru w Grüssau zamieszkały nas trzy rodziny, także moja chrzestna z rodziną. Wielki to był honor dla komendanta obozu, gdyż byłam pierwszym dzieckiem tam urodzonym. Mama opowiadała, że komendant posłał po mnie do szpitala samochód. A później na moje chrzciny podarował ojcu beczkę piwa. Ale wtedy nie zawsze były powody do śmiechu. Kiedy mama była chora po porodzie, a ojciec nad nią płakał, lagerführer Schulz powiedział do niego: „Nie płacz, znajdziemy ci nową, lepszą żonę, Niemkę". Ale tato nie chciał o tym słyszeć. W naszym domu mówiło się po polsku. Tato nauczył się polskiego, czytał nam nawet bajki po polsku. W klasztorze przebywaliśmy do marca 1941 roku.*

Betlejem pod Krzeszowem. W tej restauracji i budynku mieszkalnym mieścił się w 1940 roku obóz przejściowy (Umsiedlungslager Nr 120) dokąd na początku trafiła rodzina Lesiów.

Obie panie, Olga i Janina, starsze od Marty, zgodnie potwierdzają ten fakt: *– Dobrze pamiętamy ten dzień, kiedy na korytarz ktoś wniósł dziecko, noworodka. Ależ to była radość, jak Martę przywieźli ze szpitala w Landeshut. Pierwsze dziecko w obozie! To lagerführer osobiście przyniósł ją od bramy na własnych rękach.*

Krzeszowski ksiądz proboszcz Marian Kopko, kiedy słyszy tę niesamowitą historię udostępnia nam zachowaną księgę urodzin. Pani Marta może osobiście sprawdzić swój zachowany wpis do niej. W listopadzie 1940 roku chrztu dokonywał krzeszowski zakonnik, ojciec Ferdynand. Jak podają klasztorne kroniki, był specjalistą od języków słowiańskich, znał polski i czeski, odprawiał msze i spowiadał w tych językach. Co ciekawe, w tej samej księdze kilka stron dalej pani Marta dokonuje kolejnego odkrycia: siedem miesięcy później – 29 VI 1941 roku w krzeszowskim kościele ten sam benedyktyn udziela sakramentu chrztu… kuzynce pań Olgi i Marty – Getrudzie Smajda. To ważna data, bo mówiąca, że w połowie 1941 roku Umsiedlungslager Nr 119 Grüssau nadal funkcjonował.

Odkrywcza żyłka nie pozwala przejść obojętnie obok ślubnego zdję-

W numerze październikowym (10/177) z 2013 roku ogłosiliśmy kolejny konkurs smsowy. Zadanie konkursowe polegało na podaniu prawidłowej odpowiedzi na pytanie:

Ile lat miał najmłodszy pirat w załodze „Czarnego Sama", John King?

Od naszych Czytelników otrzymaliśmy kilkadziesiąt poprawnych odpowiedzi.

Prawidłową odpowiedzią jest: **11 lat**

Zwycięzcami konkursu są:

– Barbara Zalewska
– Krzysztof Urban
– Oskar Prichła
– Maciej Papiński
– Krzysztof Zdunczyk
– Artur Muzyka
– Stefan Sekulski
– Paweł Brzezicki
– Mieczysław Kałuża
– Zdzisław Zagórda

Nagrodzeni otrzymali ciekawe pozycje książkowe.

Wszystkim Uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Zapraszamy do wzięcia udziału w następnych.

Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu.

Pamiętajcie nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Janina Menich (Leś, w środku w drzwiach) bezbłędnie wskazała klasztorny pokój krzeszowskiego klasztoru (Umsiedlungslager Nr 119), do którego przeniesiono jej rodzinę z Betlejem.

cia pokazanego przez benedyktynki. Nic prostszego, ksiądz proboszcz wyciąga osobną księgę, tym razem ślubów z lat 1940-41. Trzeba jedynie sprawdzić czy są w niej nowożeńcy z Bukowiny. Po chwili okazuje się, że tak. I to konkretnie wszyscy z tej samej Nowej Żadowy, skąd przybył transport „powracających do domu" w ramach hitlerowskiej akcji przesiedleń. W klasztornym obozie pobrały się aż cztery pary: Filip Hofmeister i Hedwig Godschald (8 II 41), Josef Küfner i Hilda Hofmeister (także 8 II), Wenzel Reitmeier i Olga Maueitz (9 II) oraz krawiec Sigmund Heindl i Franziska Gründl (9 II). Ostatnia z panien młodych pochodziła z… obozu przesiedleńczego nr 120 w Betlejem. A cała ósemka była katolikami. Każda z osób posiadała nadany niepowtarzalny numer przesiedleńczy – w układzie 99/99/99 – co odnotowano w księdze ślubów.

Ten okres krzeszowskiego klasztoru był do tej pory praktycznie słabo zbadany[6]. Klasztorne kroniki podają liczbę ulokowanych osób w opactwie krzeszowskim (850) i w leśnej restauracji Betlejem (250). Przesiedleńcy byli różnych wyznań – po 1/3 rzymsko-katolickiego, greko-katolickiego i protestanckiego. Już 30 VIII 1940 roku główne skrzydło klasztoru zajęła organizacja VoMi. Cztery dni później wszystkie budynki klasztoru zajął SS-Obersturmführer Albert Ringmann, który zorganizował tam główną siedzibę dla podległych mu sześciu podobozów VoMi. Przebywające w nim kobiety podają inne nazwiska komendantów – Fischer (który nie nosił munduru SS) i Schulz. Ale – być może – są to nazwiska komendantów podobozów. – *Nasz lagerführer w obozie w Grüssau bardzo się dziwił, że my, takie małe dzieciaki, znamy tyle języków obcych. A na Bukowinie to było normalne* – dodaje pani Olga. Kroniki klasztorne wzmiankują, że klasztor z bukowińskich przesiedleńców opustoszał całkowicie pod koniec sierpnia 1941 roku.

Po wyjeździe ludności bukowińskiej z Grüssau, klasztor przejęło gestapo z Breslau. 19 IX 1941 r. starosta, dr Fienbrantz z Landeshut (Kamiennej Góry), pisał do znanego historyka sztuki Günthera Grundmanna:

„Gdy wróciłem z urlopu otrzymałem okropną wiadomość dotyczącą okręgu Landeshut. Jak przekazał mi Kreisleiter NSDAP, Gauleiter zadecydował, że budynki klasztoru w Grüssau, które przejściowo zajmowane były przez Niemców z Buchenlandu [Bukowiny], *zostaną przez nich opuszczone i zapełnione Żydami. Ma być ich od 800-1200; mają być oni zgrupowani we Wrocławiu. Nie muszę wyjaśniać, jak niezwykle obciążająca jest to sprawa. Jak poinformował mnie Kreisleiter, protesty nie zdały się na nic".*

W dalszej części listu starosta prosi Grundmanna o wsparcie, by Żydów usunąć z klasztoru. W Krzeszowie od 5 października 1941 do lutego 1943 r. w budynkach klasztornych funkcjonował obóz przejściowy dla Żydów – tzw. Sammellager. Zarządzany był przez organizację Reichsvereinigung der Juden in Deutschland. Z tego obozu Żydzi kierowani byli do obozu koncentracyjnego w Terezinie w Czechach.

A co stało się z Bukowińczykami?

Janinę Leś z rodziną ewakuowano do kolejnych obozów – na Górę Św. Anny[7], do Bergstadt, dzisiejszej Leśnicy, na koniec do Toszka. Radetzowie znaleźli się w obozie w Schneidemühl (Pile), a Gąsiorowie w obozie w Landeshut (Kamiennej Górze). Bardzo tęsknili za swoją Bukowiną, dokąd nie wszystkim było dane powrócić. Udało się nielicznym. I tylko na krótko, bo w latach 1945-46 z Bukowiny musieli wyjechać ponownie. Tym razem w ramach polskich ewakuacji na Ziemie Zachodnie. Chichot historii ponownie kazał powrócić im… na Dolny Śląsk.

Zaś rodzina Rozalii Krasowskiej ze Storożyńca, która z obozu Striegau nie trafiła do krzeszowskiego klasztoru, znalazła się w zamku o znajomej nazwie Fürstenstein. Ale to temat na zupełnie inną historię…

Fotografie ze zb. autora i sióstr benedyktynek z Krzeszowa, którym serdecznie dziękuję. A także ks. proboszczowi Marianowi Kopko za możliwość skorzystania z zachowanych akt parafialnych.

Przypisy:

[1] Wśród ludności polskiej zamieszkałej na Bukowinie utarło się na ten temat powiedzenie: „Od l'eta do l'eta – już nie było sowieta".

[2] W dokumentach kościelnych Krzeszowa odnotowany jako Umsiedlungslager Nr 119

[3] Po wojnie Kamienna Góra.

[4] Po wojnie Boguszów-Gorce.

[5] W dokumentach kościelnych Krzeszowa obóz nosił nazwę Umsiedlungslager Nr 120, Betlehem.

[6] W 2013 roku interesującą próbę badawczą podjął młody krzeszowski historyk Krystian Michalik, pisząc pracę „Działalność benedyktynów w Krzeszowie w okresie nazizmu".

[7] O działalności VoMi na terenie klasztoru franciszkańskiego na Górze św. Anny (Annaberg) wzmiankował niedawno na łamach „Odkrywcy" Dariusz Pietrucha (por. „Odkrywca" nr 6/2013).

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Jest współautorem książki „Bukowina ocalona od zapomnienia", która ukaże się w grudniu br.

„Kloze lubił mówić często w przenośni, tak że wypowiedzi miały dwojaki sens, że nie można było zorientować się, co chce przez to powiedzieć, i tym często mnie mglił".

Doniesienie Ag. Źródło „Gladus" z 2 II 1953 r.

Nie wszystko „Złoto Wrocławia", co się świeci…

PIOTR MASZKOWSKI

Z dzisiejszej perspektywy, na podstawie interpretacji materiałów archiwalnych zgromadzonych na temat Herberta Klose, licznych protokołów przesłuchań, doniesień agenturalnych i analiz prowadzących sprawę funkcjonariuszy bezpieki, nie sposób ustalić obiektywną wersję jego życiorysu. Dotyczy to zwłaszcza tajemniczego epizodu związanego z akcją ukrywania wrocławskich depozytów, w której rzekomo miał brać udział. Przez 27 lat dochodzenia nie udało się zweryfikować tej historii jakimkolwiek wiarygodnym materiałem źródłowym. Mimo to sprawa do dziś rozbudza wyobraźnię kolejnych pokoleń eksploratorów i dziennikarzy, nie tracąc nic ze swojej atrakcyjności.

Jakiś czas temu w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej udało się odnaleźć wyjątkowo intrygującą teczkę. Jednak tym razem jej osobliwość wynikała nie tyle ze względu na zawartość, a raczej specyficznego „aktotwórcę" i czas jej założenia.

Sygnowana jest bowiem przez Zarząd III Inspektoratu Wojskowych Służb Informacyjnych, który rozpoczął bliżej nieokreśloną sprawę 22 lipca 1997 r. i zakończył równo rok później. To czego dotyczy pośrednio, zdradza jej tytuł: *„Teczka nr 28. dot.: zainteresowania rejonami DOLNEGO ŚLĄSKA przez przedstawicieli niemieckich fundacji krypt. »Karkonosze«".*

Czyż nie intrygujący tytuł? Zwłaszcza w kontekście ram chronologicznych z jakimi do tej pory się nie spotkaliśmy, bowiem sięgających okresu III RP.

Kryptonim wydawał się jednak brzmieć znajomo. Jest bowiem identyczny z opisem teczki zagadnieniowej, w której zgromadzone są materiały dotyczące *„poszukiwań ukrytych rezerw III Rzeszy Niemieckiej"* prowadzonych w Sudetach przez Szefostwo Wojskowej Służby Wewnętrznej w latach 1982-1985. Innymi słowy – słynnego „Złota Wrocławia".

Czy obie sprawy mają ze sobą coś wspólnego?

Zapewne tyle, że WSI odziedziczyło materiały po reorganizacji wojskowych służb specjalnych w 1989 roku, w tym komórki kontrwywiadu wojskowego jaką wcześniej była WSW. Warto zwrócić uwagę, że lata 1997-1998 to apogeum sprawy poszukiwań m.in. „złotego pociągu", w którego weryfikację zaangażowany był również Urząd Ochrony Państwa. Najwyraźniej tematem interesowały się również wszędobylskie służby wojskowe. Niestety, szczegóły tego są do dzisiaj nieznane. Jednak materiał z interesującej nas teczki dotyczy zupełnie innej sprawy. Zawiera bowiem *„Analizę informacji i materiałów dotyczących ukrycia pod koniec wojny na stoku Śnieżki tzw. »Złota banku wrocławskiego«"*. Teoretycznie więc temat mający niewiele wspólnego z mitycznym składem kolejowym zasypanym pod górą Sobiesz w Piechowicach. Może poza tym, że w jego wagonach, wg. obowiązującej do dzisiaj hipotezy, miały znaleźć się także depozyty z Breslau. To ewidentnie efekt połączenia znanej od lat 50. sprawy „Złota Wrocławia" z historią wspomnianego „złotego pociągu", która wypłynęła na początku lat 90. – do dziś dwóch największych legend skarbowych Dolnego Śląska.

Podobna manipulacja ma miejsce w opracowaniu znalezionym w teczce WSI. Zawiera zbiór analiz z 1988 roku, opracowany przez emerytowanego już wówczas byłego majora SB Stanisława Siorka. Autor w latach 70. i 80. zawodowo zajmował się m.in. sprawami ukrytych depozytów poniemieckich na terenie Sudetów, inspirując władze PRL do ich poszukiwań. Po zakończeniu służby kontynuował prywatnie swoją działalność, dzieląc się wiedzą z eksploratorami i dziennikarzami, którzy chętnie podejmowali podrzucane przez niego historie. Sam również znany był z licznych, często niezwykle kontrowersyjnych hipotez.

Jedną z nich była karkołomna próba powiązania wspomnianego już „Złota Wrocławia" ze sprawą zaginięcia „Bursztynowej Komnaty". Nie wdając się w opisane już na naszych łamach szczegóły tej nieudolnej manipulacji faktami („Odkrywca" nr 3/2011), WSI najwyraźniej uznały owo opracowanie za… wartościowe. Świadczy o tym nadana temu materiałowi kategoria B-10, oznaczająca dokumentację niearchiwalną – mającą znaczenie praktyczne i przeznaczoną do obowiązkowego przechowywania, w tym przypadku przez okres 10 lat – więc

Ostrzyca

Wielisławka

do 2008 roku. W 2006 WSI została jednak rozwiązana, a teczkę, ocenioną przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego jako dawno nieaktualną, przekazano do IPN. Tak czy inaczej szokujący wydaje się fakt, iż tak absurdalne treści uznawano do współczesnych nam czasów za wartościowy operacyjnie materiał.

Niezależnie od wszystkiego trzeba przyznać, że historia „Złota Wrocławia" zrobiła na tle wielu innych, jakże podobnych spraw, wręcz oszałamiającą karierę.

Służby specjalne PRL analizowały ją od początku lat 50. przez dwie kolejne dekady, co w latach 80. zaowocowało wszczęciem poszukiwań poniemieckich depozytów bankowych prowadzonych w Sudetach przez grupy operacyjne Ministerstwa Obrony Narodowej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Choć rezultaty tych działań były mierne, przyczyniły się do narodzin jednej z największych legend skarbowych naszego kraju. Przyjrzyjmy się zatem tej sprawie i prześledźmy od początku, na czym mógł polegać jej fenomen.

Początek – kryptonim „Wartownik"

Obecnie mamy możliwość prześledzić ją w całości na podstawie opasłych tomów dokumentacji archiwalnej przechowywanej w Instytucie Pamięci Narodowej. Możemy przebijać się przez pisane przyciężkim językiem protokoły przesłuchań, plany operacyjnych przedsięwzięć, doniesienia tajnych współpracowników zgromadzone w toku dochodzenia, jakie, z krótkimi przerwami, prowadzone było niemal przez 27 lat! Możemy również oddać się fascynującej lekturze kilkuset artykułów prasowych, parunastu rozdziałów książek, i co najmniej dwóch monografii. Wreszcie, obejrzeć przynajmniej tuzin programów telewizyjnych… To gigantyczna ilość materiału będącego efektem esbeckiej determinacji, dziennikarskiej dociekliwości i eksploracyjnej pasji – a więc swoistej mieszanki wybuchowej.

Wszystko zaczęło się za sprawą pewnego Niemca, mieszkańca wsi Sędziszowa na Dolnym Śląsku, który na początku lat 50. znalazł się w *„zainteresowaniu operacyjnym"* Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Złotoryi. Niejaki Herbert Klose został wówczas objęty sprawą ewidencyjno-obserwacyjną na podstawie typowych dla tego okresu podejrzeń o *„zdecydowanie wrogi stosunek do PRL"*.

W toku dochodzenia wyszły na jaw okoliczności, które sprawiły, że z krótkimi przerwami postępowanie wobec niego trwało do 1977 roku, zakończone przekazaniem do archiwum kwestionariusza osobowego o kryptonimie „Wartownik".

Analizując tę historię musimy zdawać sobie sprawę, że zaledwie cząstkowo dotyczyła wiedzy Herberta Klose na temat ukrytych depozytów. Kwestia ta wyszła dopiero w toku toczonego postępowania, za sprawą doniesień tajnych współpracowników i jego… gadulstwa.

Główne przyczyny rozpoczętej 2 czerwca 1950 roku sprawy były zupełnie inne. O wiele poważniejsze…

Według doniesień agenturalnych miał kontaktować się z przedstawicielami ambasady szwajcarskiej i amerykańskiej, co ówcześnie było już wystarczające, by podejrzewać go o prowadzenie działalności szpiegowskiej. Pośrednio sugerowali taki fakt również tajni współpracownicy, którzy donosili UB o zainteresowaniu Klosego szczegółami produkcji i warunkami pracy w kopalni miedzi „Lena" w Wilkowie. Podejrzewany był również o przynależność do nielegalnej organizacji niemieckiej, której co prawda istnienia bezpieka nie była w stanie udowodnić, niemniej nie przeszkadzało to objąć jej domniemanych członków rozpracowaniem środowiskowym (krypt. „Baza"), które *„obejmowało grupę Niemców zatrudnionych w kopalni „»Lena« oraz grupę Niemców zatrudnionych w P.G.R. Złotoryja"*. W toku dochodzenia wyszły na jaw również dalsze niekorzystne dla Klosego sprawy. Podejrzenia budził fakt uzyskania przez niego w 1947 roku obywatelstwa polskiego, rzekomo nielegalnie, i to w czasie największego nasilenia akcji wysiedlania Niemców. Nielegalnie leczyć miał również zwierzęta, wykonując zawód weterynarza – na podstawie sfałszowanych zaświadczeń potwierdzających kwalifikacje zawodowe. Miał także zataić informacje o bezprawnym przekroczeniu granicy przez znane mu osoby oraz udzielać schronienia na terenie swojego gospodarstwa *„podejrzanym i uzbrojonym osobnikom nie powiadamiając o tym MO"*. Wiele z donosów dotyczyło jego niejasnej przeszłości zarówno w czasie wojny, jak i tuż po jej zakończeniu, sugerujących również przynależność do zbrojnego podziemia poniemieckiego, nie mówiąc już o głoszeniu przez niego haseł i poglądów rewizjonistycznych.

Po trzech latach, na początku 1953 roku UB uznało, że w związku z wciąż niewystarczającym materiałem dowodowym, niejasnymi i sprzecznymi ze sobą faktami dotyczącymi jego przeszłości i bieżącej działalności, w celu ich wyjaśnienia korzystniejsze będzie zwerbowanie go, niż postawienie przed sądem. Stwierdzono, na podstawie zbieranych od trzech lat informacji, że posiada doskonałe predyspozycje na tajnego współpracownika, który dysponuje szerokimi kontaktami w środowiskach niemieckich zarówno w kraju, jak i zagranicą.

Mimo przedstawienia mu licznych materiałów kompromitujących i *„intensywnych przesłuchań"*, Klose odmówił.

W śledztwie od niemal samego początku pojawił się pewien szczególny wątek, który wyszedł na jaw podczas ustalania życiorysu Herberta Klose. Dotyczył jego wojennej przeszłości, służby jaką pełnił w jej trakcie oraz tajnych operacji, w których miał rzekomo uczestniczyć. Z doniesień tajnych współpracowników zaczęły wyłaniać się intrygujące fakty, jak ten, uzyskany ze źródła o ps. „Jerzy" z 1952 roku (pisownia oryginalna):

„Opowiadał, że był w wojsku niemieckim jako lekarz weterynarii, lecz pod koniec wojny został przydzielony do biura zachowania sprzętu wojennego, gdzie siedziba była we Wrocławiu (…). Kiedy Armia Polska wkroczyła do Wrocławia Kloze zapakował wszystkie dokumenty i około 50 kg złota zabranego więź-

niom do koców. W piwnicach tegoż domu była studnia, odsuwał deski i rzucił do studni, a sam przebrał się na cywila i przyjechał do Sędziszowej do żony i tu przebywa. Opowiadał, że w jego stodole stały samochody wojskowe, na których były załadowane kasy z okolicznych banków i takowe są ukryte w dawnej kopalni złota pod Willenbergiem".

Z czasem podobnych informacji, z niezależnych od siebie źródeł, zaczęto pozyskiwać znacznie więcej. Oznacza to, że Klose niespecjalnie utrzymywał je w tajemnicy, choć jak podkreślano, szczegółów nigdy nie zdradzał. W lutym 1953 roku wątek skarbowy wzbudził na tyle duże zainteresowanie, że postanowiono go poddać *„intensywnemu przesłuchaniu"* w tej sprawie, jak i doprecyzować jego życiorys. Wyobrażamy sobie, że w realiach wczesnych lat 50. oznaczało to, że nie przebierano w środkach, by wydobyć od niego interesujące informacje. W efekcie istotnie są intrygujące, momentami nawet aż za bardzo. Szkoda tylko, że wraz z lekturą kolejnych zeznań nie następuje ich doprecyzowanie. Dzieje się rzecz zupełnie odwrotna, co wprawia wręcz w osłupienie.

Klose bowiem ewidentnie manipuluje faktami, wycofuje się z wcześniejszych wersji, lub modyfikuje je, by z czasem, po kilku dniach, całkowicie zmienić swoje zeznania.

Ów chaos informacyjny znajduje następnie odzwierciedlenie w licznych analizach zebranych materiałów, dokonywanych przez funkcjonariuszy UB, a później SB. Ich interpretacje są często równie zaskakujące i wprowadzają tyleż samo zamieszania, co ewidentne mataczenia Klosego. Każdy z ambitnych śledczych wg. własnego mniemania uznawał wybrane przez siebie fakty za istotne, chcąc zapewne zabłysnąć przed przełożonymi i wykazać wyższość swojego kunsztu nad poprzednikami.

Rezultat był fatalny, a skutki tych działań odczuwamy do dzisiaj.

Właściwie pewne są dwa fakty.

Herbert Klose, kimkolwiek by nie był, i w jakiejkolwiek formacji w czasie wojny by nie służył, z pewnością mógł być weterynarzem. Niezależnie czy wykształconym, czy też domorosłym, zajmował się z powodzeniem leczeniem bydła i bezsprzecznie mu to dobrze wychodziło. Uznajmy również, że zgodnie z podawanym przez siebie życiorysem, na pewnym etapie swojego życia rozpoczął kształcenie w tym kierunku.

Możemy również bez specjalnych oporów przyjąć, że urodził się 7 października 1919 roku w Kotlarce w powiecie Milicz, jako syn Roberta i Emmy z d. Schmidt, choć do końca nie wiadomo z jakiego dokumentu urzędowego pochodzą te dane. Przyjmijmy je za pewnik. Na tym właściwie koniec, ponieważ choć opowiedział sporo na temat najbardziej interesujący, czyli swojej służby w trakcie II wojny światowej, żaden z elementów opowieści nigdy nie został zweryfikowany jakimkolwiek materiałem źródłowym potwierdzającym jej przebieg.

Do dyspozycji mamy więc tylko jego słowa, oraz mniej lub bardziej zbieżne doniesienia tajnych współpracowników. Czyli tak naprawdę mamy niewiele… i mnóstwo tajemnic.

Nas najbardziej interesuje motyw akcji ukrycia wrocławskich depozytów, w której miał uczestniczyć, o czym zresztą dość szczegółowo opowiedział śledczym. Co prawda szybko wszystkiemu zaprzeczył. Na początek potrzebujemy jakiegokolwiek punktu zaczepienia. A więc zaczynamy tym razem trochę inaczej niż zwykle, od przedstawienia głównych bohaterów spektaklu, który rozegrał się pod koniec 1944 roku.

Osoby dramatu…

BUNDESARCHIV
Zentralnachweisstelle
Ablagestelle 6
52076 Aachen
1. Ausfertigung
Personal-Nachweis

SS Brigadeführer Generalmajor der Polizei Otto Ullmann

Prezydent policji wrocławskiej w latach 1943-1945.
Po kapitulacji Festung Breslau trafił do niewoli radzieckiej, gdzie spędził 10 lat. Zmarł w 1955 roku.

BUNDESARCHIV
Zentralnachweisstelle
Ablagestelle 6
52076 Aachen
1. Ausfertigung
Personal-Nachweis

Uhlenau, Ollenhauer, graf von Hollerai

Tajemnicza postać, raz pułkownik czasem major, niekiedy cywil… Zmieniał mundury (piechoty lub artylerii) częściej niż rękawiczki, posiadał nieograniczoną władzę. Miał być odpowiedzialny za wywóz i ukrycie depozytów.
Klose uważał, że nie był wojskowym, raczej wysokiej rangi urzędnikiem administracji cywilnej. Zaś w *„(…) książce adresowej mieszkańców Wrocławia ustalono, że Uhlenhau Otto, starszy radca państwowy i radca budowlany, zamieszkiwał we Wrocławiu przy ul. Opi(t) zstr. 50 II p. Podobnych nazwisk nie ustalono".*
Podobno przeżył wojnę, ukrywał się krótko przed tropiącą go UB na Dolnym Śląsku. Miał uciec do Niemiec Zachodnich, lub zamieszkać w Berlinie Zachodnim. Na jego trop nigdy nie natrafiono.

BUNDESARCHIV
Zentralnachweisstelle
Ablagestelle 6
52076 Aachen
1. Ausfertigung
Personal-Nachweis

Kapitan Eugen (Egon, Eugeniusz) Wolf vel Herbert Strauss

Kapitan weterynarii wrocławskiej policji. Miał pochodzić ze Świerzawy lub jej okolic, jednak wg danych metrykalnych nikt w powiecie złotoryjskim o takich personaliach się nie urodził. Posiadał liczną rodzinę oraz narzeczoną w Zgorzelcu. Wg Klosego był bezpośrednim uczestnikiem ukrycia złota pod Śnieżką, w której Klose miał nie brać udziału, w związku z wypadkiem i późniejszym leczeniem.
Pseudonim „Wolf" nosił również szwagier Klosego – zresztą jego imiennik – Herbert Strauss, podpułkownik SS, jednak jest to zapewne przypadkowa zbieżność.

BUNDESARCHIV
Zentralnachweisstelle
Ablagestelle 6
52076 Aachen
1. Ausfertigung
Personal-Nachweis

Oberinspektor Wiktor Alfred Foerster

Jedyna potencjalnie autentyczna postać tej historii, która związana była z prezydium policji wrocławskiej i tamtejszym gestapo. Niestety, w świetle przebiegu jego służby – nie w czasie akcji ukrywania depozytów. Po wojnie sądzony za zbrodnie wojenne, odsiadywał w Polsce wyrok 6 lat więzienia. W lutym 1953 r. podczas przesłuchania zaprzeczył jakoby znał Herberta Klose.

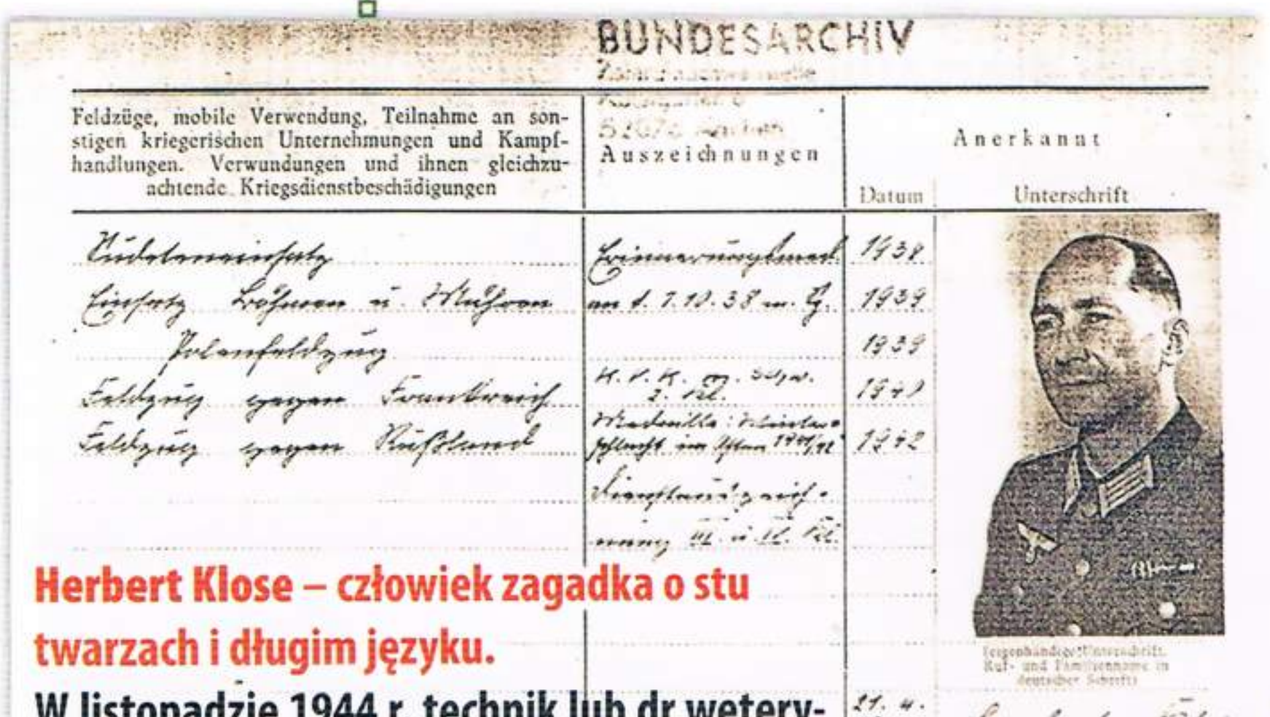
BUNDESARCHIV

Feldzüge, mobile Verwendung, Teilnahme an sonstigen kriegerischen Unternehmungen und Kampfhandlungen. Verwundungen und ihnen gleichzuachtende Kriegsdienstbeschädigungen	Auszeichnungen	Anerkannt Datum	Unterschrift
Ostfeldzug	Ehrenwinkel	1938	
Einsatz Lothringen u. Holland	am 1.7.10.38 m. E.	1939	
Polenfeldzug		1939	
Feldzug gegen Frankreich	H.V.K. II. Kl.	1941	
Feldzug gegen Russland	Medaille Winterschlacht im Osten 1941/42	1942	
	Kriegsverdienstkreuz II. u. II. Kl.		
		27.4.1944	

Eigenhändige Unterschrift, Ruf- und Familienname in deutscher Schrift

Herbert Klose – człowiek zagadka o stu twarzach i długim języku.

W listopadzie 1944 r. technik lub dr weterynarii przy prezydium wrocławskiej policji w stopniu kapitana. Wcześniej wachmeister (sturmann) w SS Schutzpolizei, awansowany na stopień porucznika po odbyciu służby we Francji i Holandii, kursant wrocławskiej Verwaltungpolizei.

Duże skłonności do ulegania wypadkom i przedłużających się rekonwalescencji w… kluczowych momentach swojego życia.

Pod koniec wojny osiedlił się w Sędziszowej na Dolnym Śląsku, gdzie zamieszkał w gospodarstwie swojej żony Gerdy. W drugiej połowie lat 40. prowadził nielegalną praktykę weterynaryjną. Lubił wypić. Wówczas, zresztą nie tylko, rozpowiadał o swojej służbie we wrocławskiej policji i tajnej misji ukrycia depozytów. Sugerował wielokrotnie, że część z nich jest ukryta pod pobliską górą Wielisławką i na Śnieżce. Najprawdopodobniej błędnie dobierał sobie znajomych, gdyż wielu z nich donosiło na niego bezpiece, oskarżając o rozliczne przestępstwa.

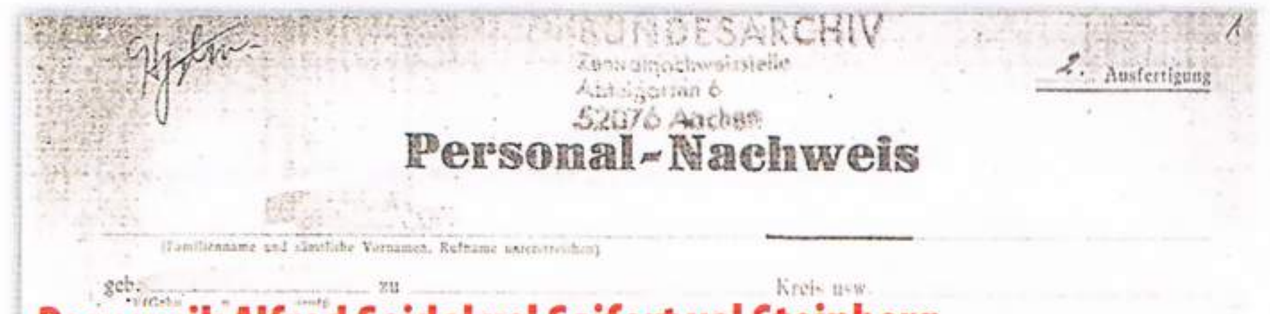
BUNDESARCHIV

Zentralnachweisstelle
Abteilung 6
52076 Aachen

2. Ausfertigung

Personal-Nachweis

(Familienname und sämtliche Vornamen, Rufname unterstrichen)

geb. zu Kreis usw.

Porucznik Alfred Seidel vel Seifert vel Steinberg

Wymieniony przez Klosego z imienia i nazwiska uczestnik ukrycia depozytów na Śnieżce. Miał poinformować go później, że depozyty zostały ukryte *„w wydrążonych tunelach w okolicy Sędziszowa”*. Z kolei niejaki Gustaw Seidel wg TW. „Bartkowiaka” w 1952 r opowiadał, jakoby widział w marcu lub kwietniu 1945, jak Klose przybył do Sędziszowej w mundurze SS, wraz grupą Łotyszy z tej formacji i prowadził działania dywersyjne w okolicy. Informacja ta 20 lat później zyskała swoje miejsce w analizach Służby Bezpieczeństwa: *„Ponadto pewne materiały sugerują, że figurant został mianowany przez Abwehrę szefem grupy dywersyjno-sabotażowej na powiat Złotoryja”*.

Zbieżność nazwisk najprawdopodobniej przypadkowa.

W poszukiwaniu skrytki…

Jeżeli przyjęło się sądzić, że Niemcy byli specjalistami w ukrywania depozytów, ta sprawa jest jednoznacznym zaprzeczeniem owej obiegowej opinii. Zresztą nie tylko ta, bowiem gigantyczne zasoby berlińskiego Reichsbanku, choć w miarę sprawnie ewakuowane ze stolicy upadającej Rzeszy do kopalni Merkers, szybko i właściwie przez przypadek wpadły niechronione w ręce Amerykanów.

Akcja ukrycia wrocławskich depozytów zupełnie jej nie przypomina. Zapewne została zlecona osobom z zaufanego kręgu oficerów prezydium policji wrocławskiej, jednak kompletnie do tego zadania nieprzygotowanych. Pomijając bowiem fakt, w istocie zabawny, że wśród nich znaleźli się dwaj kapitanowie służby weterynaryjnej, jakimi byli Klose i niejaki Wolf, to powierzenie kierownictwa tak specyficznej i istotnej misji tajemniczemu majorowi – nie znającemu kompletnie terenu, zakrawa o kpinę. Nawet jeżeli przyjąć, że zmianę lokalizacji schowka wymusiła sytuacja wojenna, o czym wyraźnie wspomina Klose w zeznaniu z lutego 1953 r. cytując słowa prezydenta wrocławskiej policji zlecającego mu wyszukanie skrytek: *„Mamy zadanie przechować ważne rzeczy. Miejsca, które do tego celu zostały wyznaczone zostały zajęte przez wojska amerykańskie i trzeba na tym terenie takie miejsca znaleźć”*.

Zważywszy na fakt, że była to połowa listopada 1944 roku, zastanawiające jest, jakie obszary III Rzeszy miał na myśli? Chyba nie zajętej Francji, Belgi i Holandii, czy nawet bezpośrednio zagrożonych zachodnich rubieży przedwojennych Niemiec, z utraconym już wtedy Akwizgranem, czy objętym krwawymi walkami lasem Hürtgen na granicy niemiecko-belgijskiej.

Pierwszy dzień poszukiwań, które opisuje Klose, przypomina raczej niedzielną przejażdżkę konną za miasto niż tajną operację. Wzięło w niej udział pięciu uczestników, zaś jej celem, jak miał zdradzić major, było *„wyszukanie gór”*. Mimo widocznego z każdego miejsca wokół Wrocławia stożka Ślęży czy też wzgórz trzebnickich, celu wyprawy nie osiągnięto. Następnego dnia podjęto kolejną próbę. Tym razem w kierunku *„autostrady legnickiej”*. Rezultaty tego rekonesansu jak wyżej – niezadowalające. Dowodzący major był wyraźnie rozczarowany brakiem odpowiednich miejsc. Wówczas kapitanowie Klose i Wolf zaproponowali mu udanie się w znane im wcześniej rejony Świerzawy, a zwłaszcza wsi Sędziszowa, gdzie znajdowała się poryta starymi sztolniami góra Wielisławka.

Gdy, jeszcze tego samego dnia, przybyli tam taksówkami, dokonali pobieżnego rozpoznania wejść do tamtejszych wyrobisk. *„Major (…) powiedział, że na wszelki wypadek będzie się Willenberg nadawał”*.

Obejrzeli jeszcze nieodległą Ostrzycę oraz Grodziec, lecz miejsca te nie wzbudziły już w majorze specjalnego zainteresowania. W związku z tym postanowili kontynuować swoje poszukiwania, podążając tym razem w kierunku Jeleniej Góry i pobliskich Cieplic. Uwagę majora najwyraźniej przykuł najwyższy szczyt Karkonoszy. Ekipa weszła więc na Śnieżkę. Schodząc *„major pokazał miejsce, które wg niego najbardziej odpowiadało na wykonanie schowka i zakopanie zakopanie złota”*. Co go natchnęło przy rzekomym braku znajomości tego terenu, pozostaje tajemnicą do dziś. Tak czy inaczej uczestnicy rekonesansu wrócili do Wrocławia.

Nie wiadomo, co było potem, gdyż ciąg dalszy tej historii jest coraz bardziej zagmatwany. Wykluczające się wzajemnie relacje Klosego nie pozwalają ustalić, czy brał bezpośrednio udział w akcji ukrywania depozytu, czy też znał ją jedynie z opowiadań jej uczestników.

Klose miał bowiem wypadek. Spadł nieszczęśliwie z konia, co wykluczyło go na dwa tygodnie z uczestnictwa w akcji. Czy nastąpiło to w jej trakcie, czy też przed – tego nie da ustalić.

„Złoto Wrocławia"

Nadszedł czas na zdefiniowanie, z czego miał się składać depozyt. W zeznaniu Klosego czytamy, że poszukiwania schowka miały na celu: *„(…) ukrycie złota służącego jako podkład pod niemiecką walutę (…)"*, które, jak twierdził mjr Ollenhauer, gdyby *„(…) zginęło, to byłby to już koniec niemieckiego państwa"*.

Fragment ten stał się po latach trzonem historii o „Złocie Wrocławia", jako depozycie ewakuowanych zasobów banków wrocławskich (z czasem i dolnośląskich).

Oczywiście teza ta jest mocno przesadzona, bowiem depozyty z jednego miasta, czy też regionu, nie mogły mieć aż tak wielkiego znaczenia dla upadającej III Rzeszy. Ponadto, jak twierdził Herbert Klose, miało być *„(…) ściągane złoto od ludności cywilnej oraz ze sklepów jubilerskich, które również trzeba będzie ukryć. Złoto to było faktycznie ściągane, tak że zabierano złoto i dawano pokwitowania"*.

Z czasem i ten element zeznania doczekał się rozwinięcia w postaci rzekomego apelu władz rozwieszanych na słupach ogłoszeniowych w Breslau, z sugestią deponowania przez mieszkańców ich najcenniejszego majątku, w celu zabezpieczenia na czas spodziewanych wkrótce działań wojennych. Nigdy jednak tej hipotezy nie udało się potwierdzić, nikt też nigdy nie zgłaszał jakichkolwiek roszczeń w powyższej sprawie. Klose twierdził jednak zupełnie coś odwrotnego, w dodatku zaskakująco sypiąc szczegółami – jak z rękawa (pisownia oryginalna):

„Złoto było złożone w skrzyniach, w piwnicy prezydium. Skrzynie były żelazne i hermetycznie zamykane gumami. Również skrzynie były zamaskowane w ten sposób, aby nikt się nie zorientował, co w nich się znajduje, to było numerowane i było mówione, że znajdują się tam ważne akta, które zostaną ewakuowane do Drezna. (…) Wszystkich skrzyń żelaznych, hermetycznie zamykanych było 56. Były wykonane przez jedną firmę, tzn. jednego modelu, lecz różnej wielkości. Waga każdej skrzynki wynosiła 50-200 kg, z tym że sama skrzynka była bardzo ciężka. W późniejszym okresie, w miarę ściągania złota od ludności cywilnej, skrzynek takich przybywało (…). Również do tej piwnicy w późniejszym okresie ludność cywilna przekazywała paczki z papierami wartościowymi, które miały być wysłane w głąb Niemiec" oraz *„(…) ważne akta Verwaltungspolizei"*.

Po 15 grudnia 1944 r. skrzynie miały być systematycznie wywożone przez wojsko do schowków pod Śnieżką, Wielisławką, Ostrzycą, Grodźcem i dodatkowo, w okolice Wrocławia. Tam zapewne leżą ukryte do dziś, albo i nie… bo Herbert Klose, kilka dni po złożeniu zeznania, wyparł się wszystkich powyższych rewelacji… Cdn.

ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI

REKLAMA

JÜRGEN OSTERHAMMEL

HISTORIA XIX WIEKU

PRZEOBRAŻENIE ŚWIATA

Die Zeit: Jedna z najważniejszych książek historycznych ostatnich dekad, wielkie osiągnięcie.

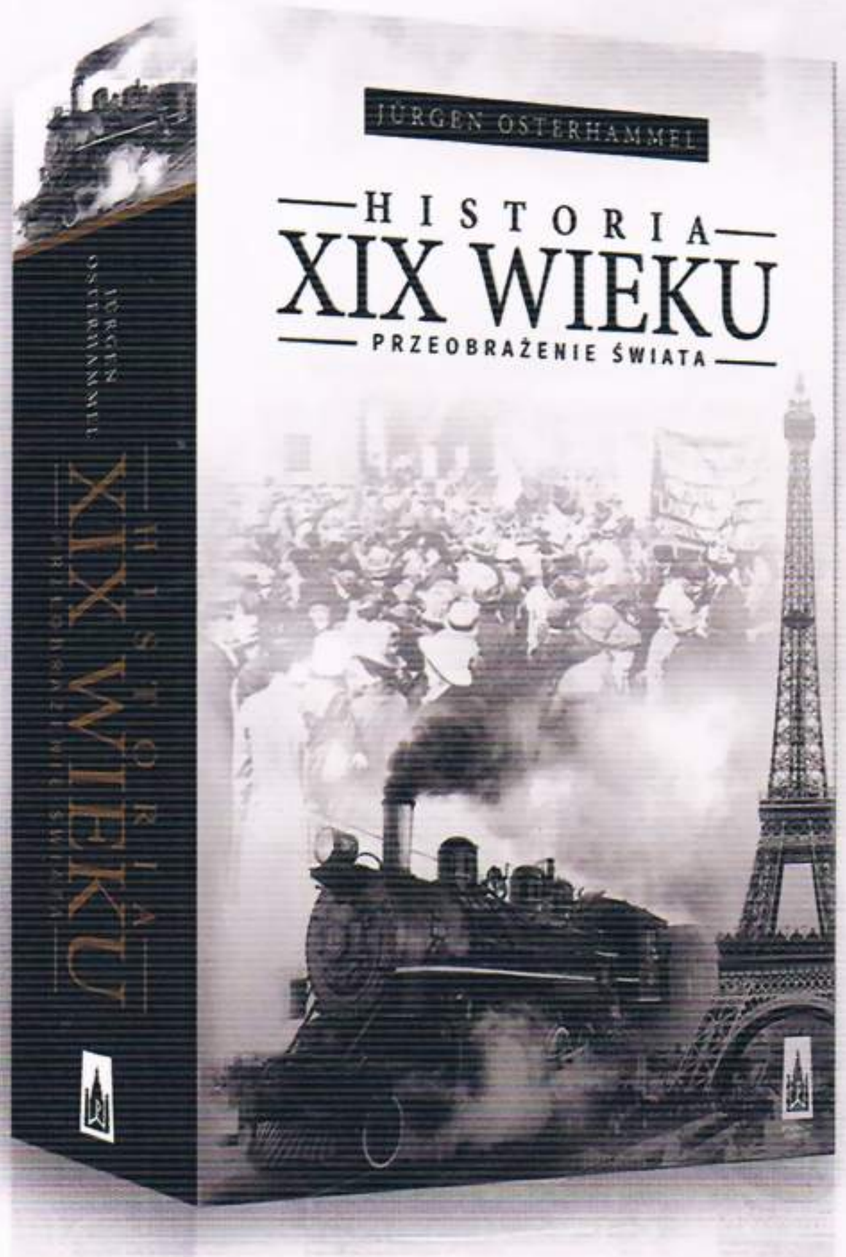

To nie tylko wybitna praca historyczna, ale przede wszystkim wciągająca lektura.

WWW.WYDAWNICTWOPOZNANSKIE.COM

Chrystus w kopalni, czyli co ma Rubens do hematytu (cz. 3)

KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK

Minęło kilka miesięcy od czasu naszej pierwszej publikacji o kopalni „Carl Friedrich Gustaw" i próby sprawdzenia hipotezy o ukryciu w niej w czasie wojny cennych dzieł sztuki, w tym tytułowego „Chrystusa upadającego na krzyżu" Rubensa. Istnieje szereg wiarygodnych relacji, z których wynika, że szkic flamandzkiego artysty faktycznie był przez pewien okres przechowywany w dolnośląskim Sichowie, a jego dalsze losy nie są jasne. Ponieważ istniały przesłanki, jakoby cenne dzieło zostało ukryte w pobliżu tej miejscowości, podjęliśmy wraz z Grupą Eksploracyjną Miesięcznika „Odkrywca" próbę eksploracji powyższej kopalni zlokalizowanej we wsi Stanisławów na Dolnym Śląsku, aby rozstrzygnąć, czy byłoby możliwe ukrycie czegokolwiek w takim miejscu.

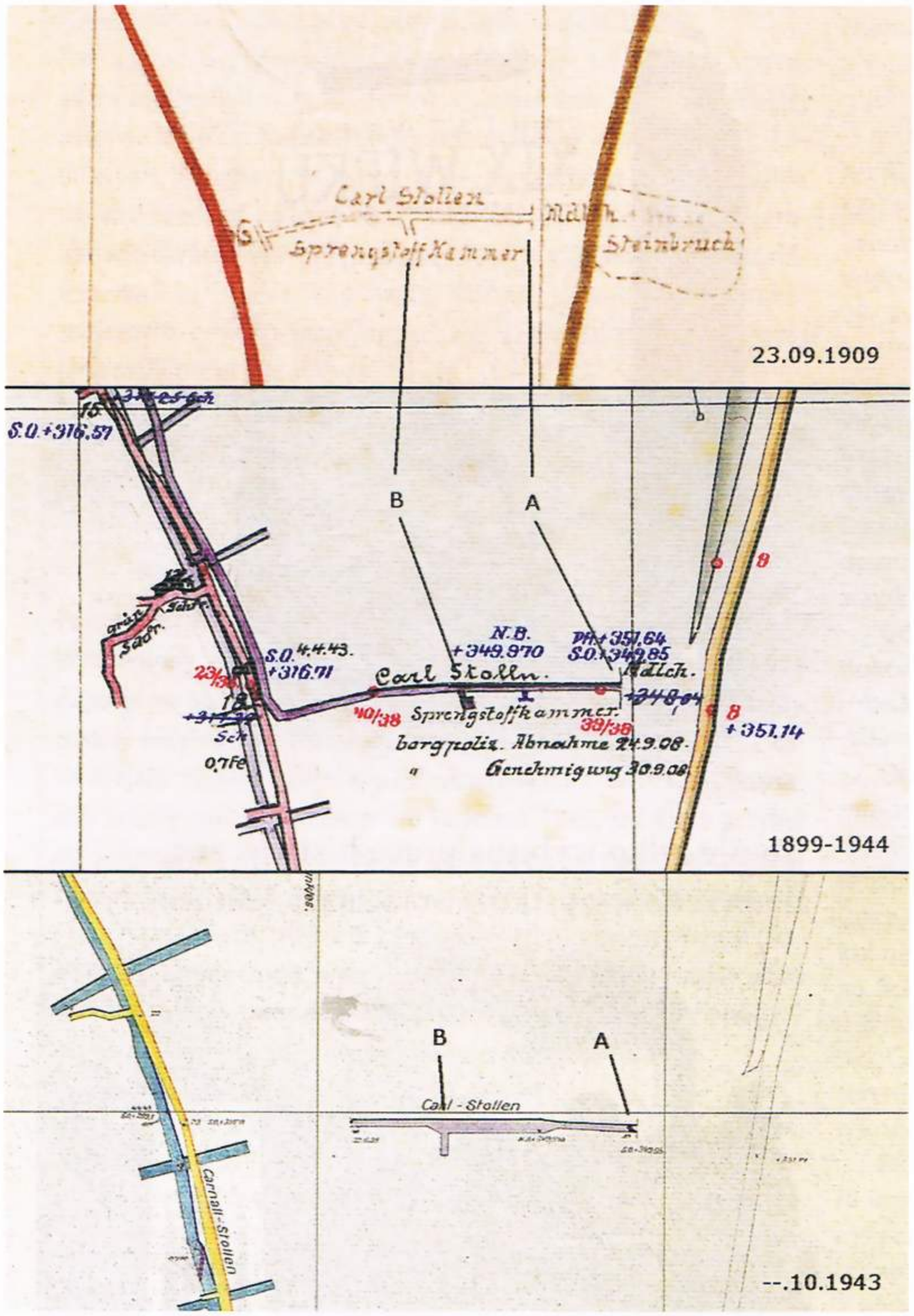

Rys. 1 Porównanie sztolni „Carl" na mapach górniczych z trzech różnych okresów. Literą „A" oznaczono wlot sztolni, literą „B" – komorę materiałów wybuchowych. Oprac. Autorów na podstawie zbiorów PIG W-w.

W części I naszej historii („Odkrywca", nr 6/2013) opisaliśmy losy zaginionych dzieł sztuki oraz historię kopalni do końca 1945 roku. W części II („Odkrywca", nr 8/2013) kontynuowaliśmy dzieje kopalni po wojnie, opisaliśmy nasze próby penetracji jej głównego szybu zwanego „Hochberg" oraz przedstawiliśmy wyniki poszukiwań zapomnianych szybów naniesione na archiwalnych mapach. Zweryfikowaliśmy także (negatywnie) możliwość zdobycia głównej sztolni „Carnall". Pozostała nam ostatnia możliwość wejścia do kopalni i jednocześnie zagadka do rozwiązania: dawna sztolnia transportowa „Carl" kończąca się zawałem, który chcieliśmy sforsować. Jak się okazało, największa niespodzianka spotkała nas właśnie tam.

Sztolnia „Carl"

Nieprzypadkowo na koniec naszej przygody z kopalnią zostawiliśmy sobie sztolnię „Carl". Wlot tej sztolni znajduje się pomiędzy szybem „Hochberg" a sztolnią „Carnall". Jak przytacza Maciej Madziarz w swoim naukowym opracowaniu o kopalni *„ze względu na korzystne warunki terenowe zasadniczymi wyrobiskami udostępniającymi złoże hematytu eksploatowanego w kopalni (…) były trzy sztolnie: »Gustaw«, »Carl« oraz »Carnall« (…)"*. Dr Madziarz nie bez powodu podał nazwy sztolni w tej kolejności, ponieważ odpowiadało to rozmieszczeniu wyrobisk – patrząc od strony Stanisławowa. W dalszej części czytamy, że *„środkowa sztolnia »Carl« (…) służyła przede wszystkim do transportu podsadzki (…). Obudowę kamienną, murowaną posiadały jedynie szczególnie trudne do utrzymania odcinki wyrobisk, zwłaszcza początkowe"*. Z opracowania dowiadujemy się także, że budowę sztolni zapoczątkowano krótko po 1856 r. (data rozpoczęcia drążenia pierwszej „w kolejności" sztolni „Gustaw"), oraz, że sztolnia „Carl" udostępniała część złoża zwanego „Carllager". Co istotne, *„materiał podsadzkowy* (potrzebny do wypełnienia wyeksploatowanych wyrobisk – dop. K.K., D.W.) *dostarcza-*

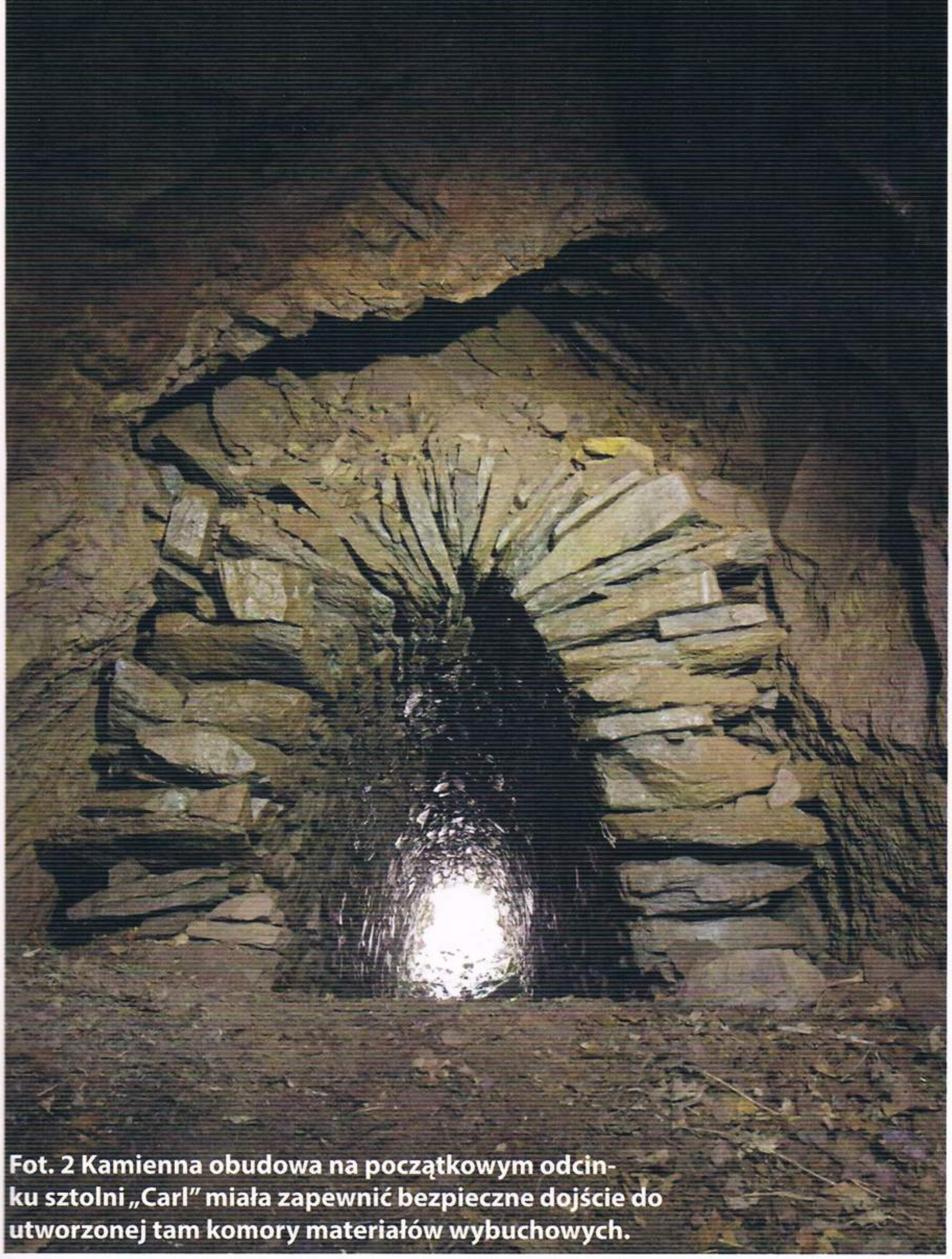

Fot. 2 Kamienna obudowa na początkowym odcinku sztolni „Carl" miała zapewnić bezpieczne dojście do utworzonej tam komory materiałów wybuchowych.

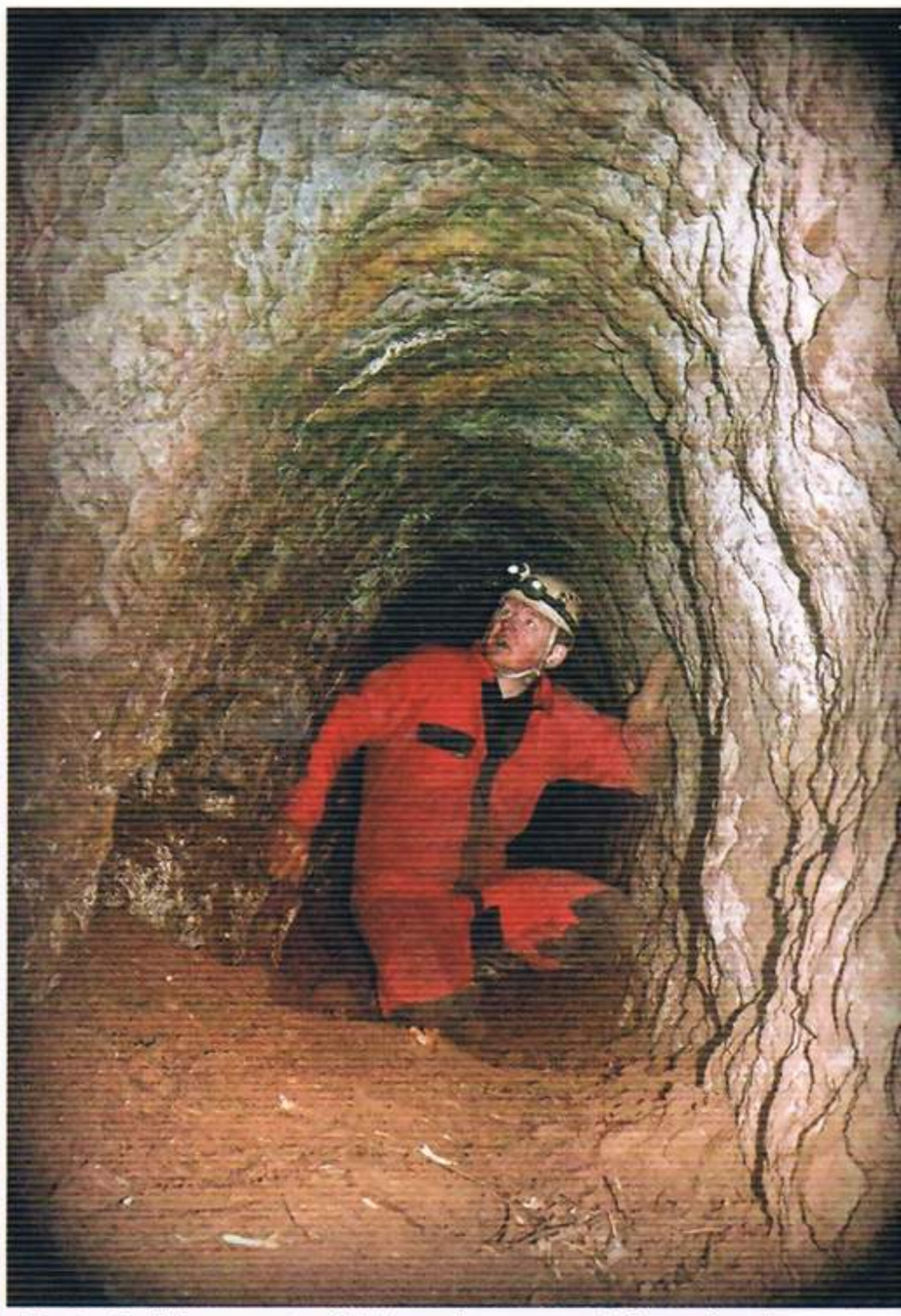

Fot. 3 Krzysztof Krzyżanowski ogląda ociosy sztolni w poszukiwaniu otworów wiertniczych.

no sztolnią »Carl«, w pobliżu której zlokalizowano łom materiału podsadzkowego, doskonale dziś jeszcze widoczny w terenie (»Bergmühle«). Na likwidowane poziomy eksploatacyjne urobek zsypywany był z poziomu sztolni »Carl« przez przeznaczone do tego zadania szybiki".

Jak więc widać, prócz krótkiej wzmianki o orientacyjnej dacie zapoczątkowania sztolni, jej funkcji i obudowie, informacji nie było zbyt wiele. W ostatniej fazie aktywności kopalni, która przypadła na lata II wojny światowej, w ogóle już się nie wspomina o tym wyrobisku, tak jakby w pełni straciło na znaczeniu. Postanowiliśmy w pierwszej kolejności skonfrontować te fakty z posiadanymi przez nas mapami.

Co mówią mapy?

Pierwszy dokument, na którym odnaleźliśmy interesującą nas sztolnię datowany jest na 23 IX 1909 rok. Jest to Lageplan zwecks Untersuchung des Erzganges durch Bohrlöcher, czyli plan sytuacyjny poszukiwań żył kruszcowych za pomocą otworów wiertniczych, w skali 1 do 2000. Widać na niej, prócz kilku szczegółów, schematyczne zabudowania Stanisławowa, drogi gruntowe prowadzące w stronę Leszczyny i Sichowa, sztolni „Carnall" oraz sztolni „Carl". Nie można oprzeć się wrażeniu, że tą ostatnią naniesiono na plan nieco okazjonalnie – jakby miała małe znaczenie – nie jest opatrzona kolorem, jakim zwykło się oznaczać wyrobisko na danym poziomie, od połowy też oznaczono ją przerywaną linią (rys. 1). Zwróćmy jednak uwagę, że naprzeciw wylotu sztolni jest, wspomniany przez dr. Madziarza, *„łom materiału podsadzkowego"* (na tym fragmencie jako Steinbruch) oraz, mniej więcej pośrodku, komora materiałów wybuchowych (Sprengstoffkammer). Tym samym pewne jest, że łomik, dość pokaźnych wszak rozmiarów, powstał przed 1909 r., co odpowiadałoby informacji z naukowego opracowania o początkach sztolni „Carl". Warto także odnotować, że sztolnia kończy się wyraźnym **rozwidleniem** – korytarze rozchodzą się wyraźnie w dwóch kierunkach.

Kolejna mapa to publikowana już w naszym cyklu mapa z 1899 r., aktualizowana do 1944 r., a więc obrazująca niejako przemiany zachodzące w kopalni. Powtarzamy do znudzenia informację o „aktualizacji", ponieważ oznacza ona, że niektóre obiekty naniesione na mapę nie istniały jeszcze w 1899 r., gdyż powstały w końcowym okresie tworzenia mapy i odwrotnie – te z początku okresu mogły z czasem stać się niedostępne lub podsadzone.

Najczęściej poszczególne zmiany oznaczane były latami, w których je naniesiono, lub można o nich wnioskować z dat dziennych umieszczonych na dokumencie. Fragment odnoszący się do sztolni „Carl" był bogaty w szczegóły: podobnie jak poprzednio widać wlot sztolni („A") i komorę materiałów wybuchowych („B") – rys. nr 1, środkowy plan. Mapa jest o wiele dokładniejsza, tak więc widzimy, że komora ma kształt odwróconej chorągiewki i dodatkową informację o jej odbio-

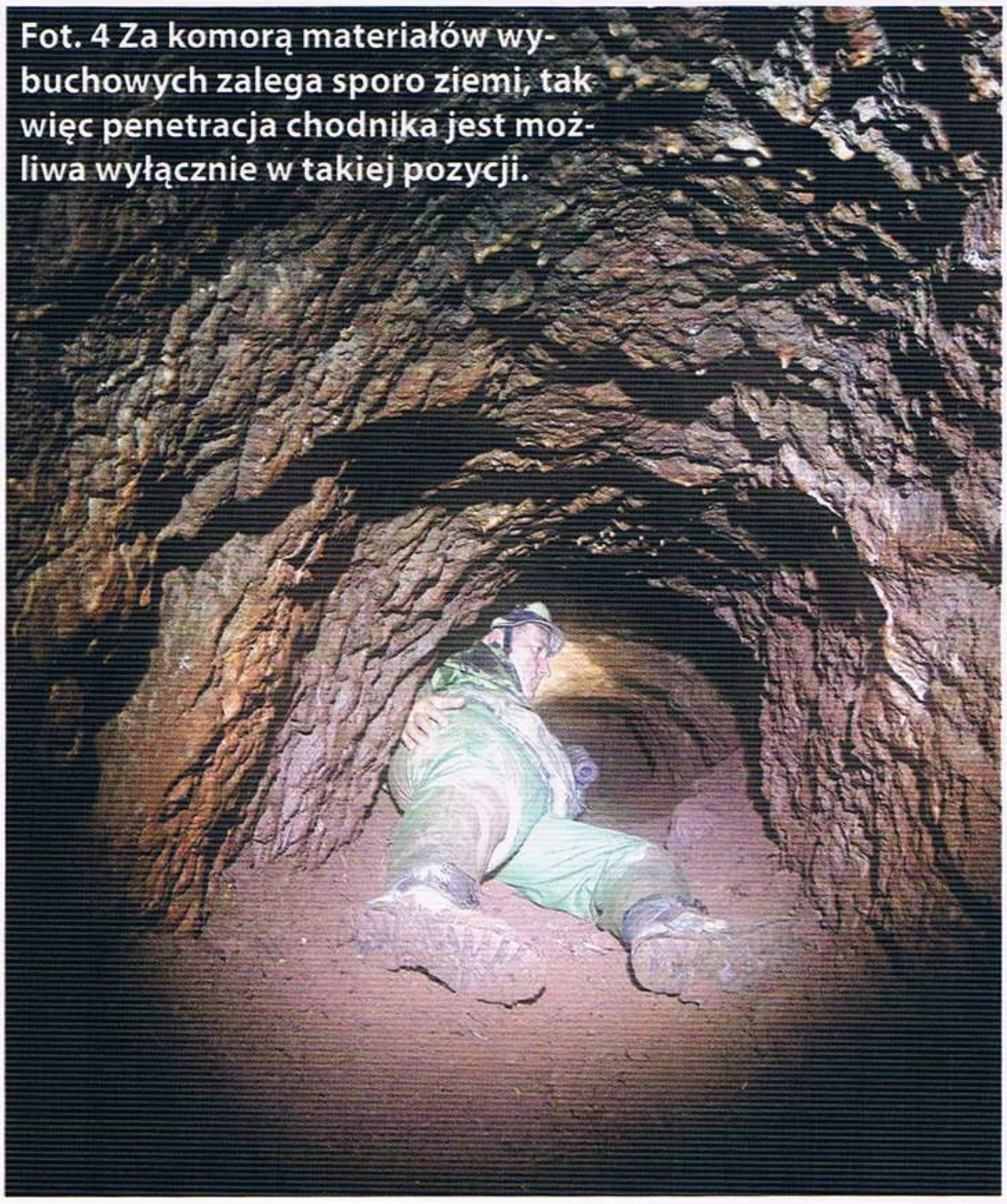

Fot. 4 Za komorą materiałów wybuchowych zalega sporo ziemi, tak więc penetracja chodnika jest możliwa wyłącznie w takiej pozycji.

Fot. 5 Zdjęcie wykonane w czasie próby spenetrowania dalszej części chodnika. W trakcie tej operacji udrożniono ok. 10 metrów wyrobiska. Zdj. P. Trzęsicki.

rze przez policję górniczą (tzw. bergpoliz. Abnahme) w dniu 24 IX1908 r. – rok przed sporządzeniem wyżej opisanego planu. Dowiadujemy się też, że 6 dni później urzędnicy oficjalnie zezwolili na używanie komory do składowania materiałów wybuchowych (Genechmigung). Innym detalem jest mały, niebieski symbol przypominający odwróconą literę „T". Mierniczy naniósł w ten sposób na plan… reper, stały znak służący do pomiaru wysokości i samą wysokość poziomu sztolni (349,970 m). W końcowej części sztolni nie widać natomiast rozwidlenia (!), gdyż korytarz skręca wyłącznie na północ.

Ostatni dokument kartograficzny pochodzi z października 1943 r., z końcowego etapu funkcjonowania kopalni pod rządami niemieckich górników – rys. nr 1, plan dolny. Ponownie widzimy wlot („A") i boczną komorę („B"), jednakże w innym kształcie; zresztą cały chodnik wygląda tak, jakby jego początkowa i końcowa część była węższa. Powiększając ten fragment mapy dostrzeżemy także kilka dodatkowych szczegółów, jak poziom wlotu sztolni i repera, które zgodne są z mapą wcześniejszą. Co ciekawe jednak, naniesiona na plan sztolnia urywa się nagle kilkanaście metrów za komorą, w miejscu, gdzie mierniczy naniósł drobnymi cyframi datę dzienną: „22 czerwca 1938".

Pora na wyciągnięcie wniosków.

Wiemy, że sztolnia w 1899 r. była dostępna na całej swojej długości, tj. do szybika zsypowego służącego do transportu podsadzki na niższe poziomy. 10 lat później, w 1909 r., tylko do tajemniczego rozwidlenia za komorą. Przypuszczalnie ta część była już częściowo podsadzona, na co wskazuje przerywana linia na pierwszym planie. Sztolni używano wyłącznie jako drogi dojścia do komory materiałów wybuchowych, którą formalnie udostępniono rok wcześniej. W 1943 r. można było swobodnie dojść wyłącznie do miejsca oznaczonego datą przez mierniczego, dalej chodnik nie był drożny lub był zawalony.

Zatem jest mało prawdopodobne, aby ktokolwiek chciał ukrywać cenne dzieła sztuki w krótkiej sztolni zakończonej zawałem, choć teoretycznie było to możliwe.

Pozostało nam zbadanie obiektu w terenie.

Eksploracja

Pierwsze oględziny sztolni pod kątem niniejszego opracowania wykonaliśmy pod koniec marca 2013 r., w czasie wyprawy, której głównym celem było zbadanie szybu „Hochberg". Wlot sztolni był częściowo zawalony, ale można było wejść do środka bez specjalnych problemów. Bardzo szybko rozwiązała się zagadka dotycząca różnych szerokości sztolni, które zauważyliśmy na mapie z 1943 roku. Pierwsze kilkanaście metrów chodnika zostało wzmocnione kamienną obudową o elipsoidalnym przekroju, wykonaną z naturalnego kamienia układanego na sucho, na kształt muru (fot. 2). Sądzimy, że zrobiono ją w celu zabezpieczenia dojścia do komory materiałów wybuchowych. Za obudową chodnik wykuty był w caliźnie, i po kilku dalszych metrach docierał do bocznej komory (dawnego składu materiałów wybuchowych), której kształt najbardziej odpowiadał temu z mapy 1899-1944. Już pobieżne oględziny wykazały, że w komorze zachowały się ślady po zamontowanych tu półkach i drzwiach. Za komorą można było swobodnie przejść jeszcze kilkanaście metrów – chodnikiem o przekroju mniej więcej 1×1,8 metra (fot. 3) – jednak potem na spągu było coraz więcej ziemi, poziom po którym szliśmy podnosił się i trzeba było przejść do trybu „kolanowego", następnie „poziomego", czyli czołgania się, a po paru dalszych metrach, było już zbyt ciasno, by przemieszczać się dalej (fot. 4). Stało się jasne, dlaczego na planie z 1943 r. chodnik urywał się kilkanaście metrów za komorą materiałów wybuchowych.

Nasz pomiar wykazał, że ówczesnemu mierniczemu nie za bardzo pasowało penetrowanie chodnika na kolanach, bo odcinek nakreślony na mapie był nieco krótszy, niż w rzeczywistości.

Po tych pierwszych oględzinach podjęliśmy próbę odkopania dalszej części wyrobiska.

Swoją hipotezę oparliśmy na założeniu, że zbędny z punktu widzenia chodnik został podsadzony na odległości kilku metrów, ewentualnie zrobiono w nim tamę, by odciąć go od reszty kopalni. Wiadomo przecież, że skład materiałów wybuchowych musi być chroniony, mieć najlepiej jedno wejście, i to jeszcze zamknięte solidnymi drzwiami. Jeśli nasza teza była słuszna, można było się spodziewać, że przebrniemy przez zawał, dotrzemy do skrętu chodnika na północ (a może rozwidlenia, jak sugerowała najstarsza mapa?), i tym sposobem uda nam się spenetrować dalszą część kopalni.

Jak się okazało, plan sprawdził się tylko częściowo.

Właściwą część badań zaplanowaliśmy na maj. W Stanisławowie było słonecznie, ciepło i zielono, tymczasem my przebieraliśmy się w podziemne wdzianka i kaski. Ze względu na liczbę uczestników, a także wąski przekrój sztolni, postanowiliśmy podzielić się na dwie grupy: pierwsza miała przekopywać zawał, druga natomiast wykonać pomiary i dokładnie zbadać teren przed sztolnią i w jej wnętrzu, m.in. przy pomocy detektora metali. Leżąc na ziemi rozpoczęliśmy mozolne wyciąganie ziemi z końcowej części sztolni (fot. 5), ze względu na przestrzeń, mając do dyspozycji wyłącznie krótkie saperki i wiaderka. Przygotowaliśmy do naszej akcji specjalnie skonstruowany pojemnik, który po napełnieniu ziemią był ciągnięty w chodniku linkami – system, jak się okazało, bardzo wydajny i prosty w obsłudze. Dość szybko dotarły do nas pierwsze informacje sprzed wlotu sztolni: koledzy detektoryści odnaleźli dość dużo drobnych artefaktów, głównie związanych z wojenną przeszłością tego lasu.

Jak wspominaliśmy we wcześniejszych częściach naszej historii, w maju i czerwcu 1945 r. w tej okolicy stacjonowały wojska I Frontu Ukraińskiego, które ostrzeliwały teren wzgórza Rosocha z budynkiem niemieckiej radiostacji. W promieniu kilkunastu metrów od sztolni było więc dość dużo łusek, fragmentów taśm broni maszynowej i bliżej niezidentyfikowanych elementów, co mogło świadczyć, że w jej pobliżu żołnierze mieli swoje stanowisko. Najciekawszym jednak znaleziskiem były dwie łyżki z alpaki (stop miedzi, niklu i cynku), leżące płytko pod powierzchnią ziemi. Zostały spakowane do woreczka i poddane gruntownemu czyszczeniu po zakończeniu akcji.

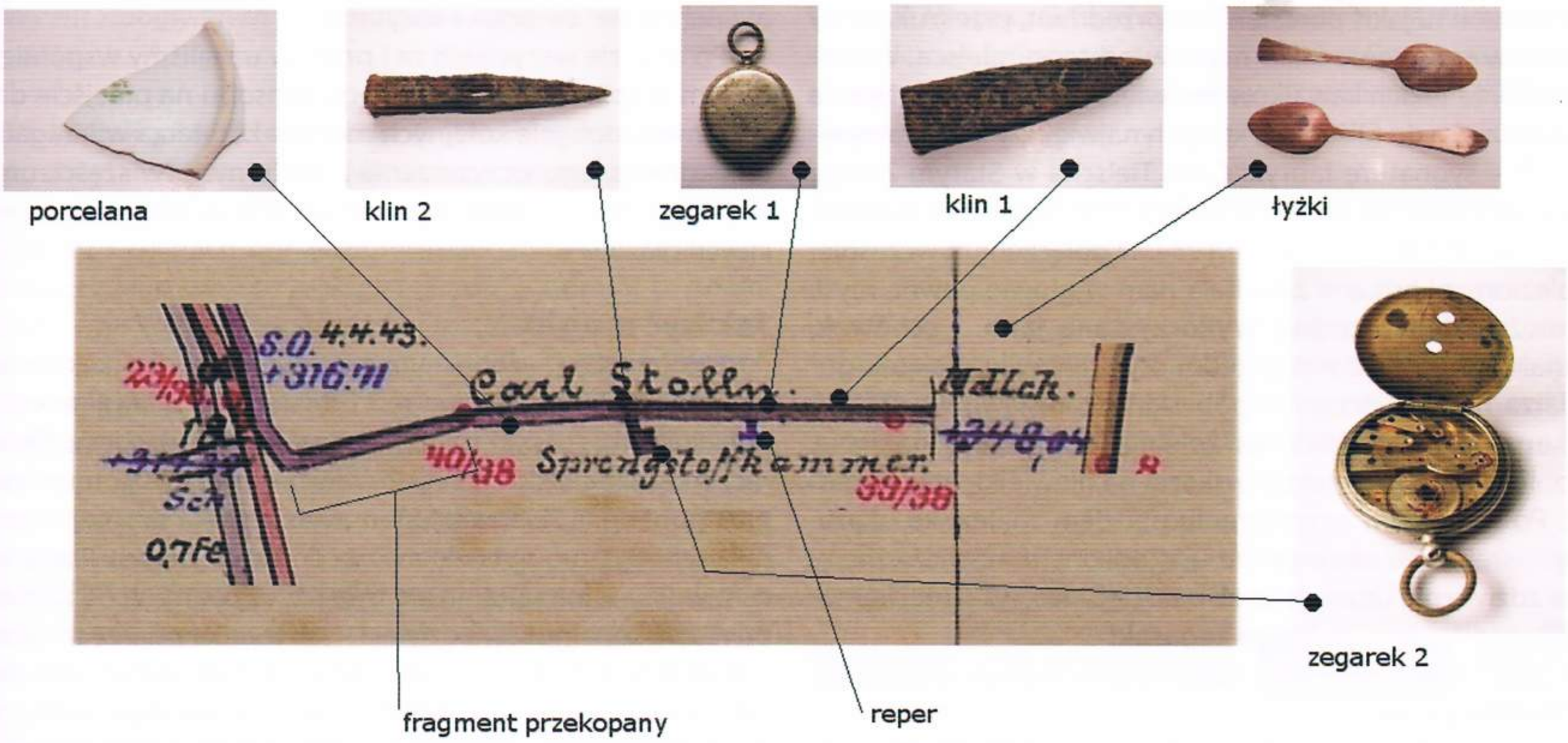

Plan sztolni „Carl" pochodzący z mapy 1899-1944 (zbędne szczegóły usunięto). Na planie nanieśliśmy miejsce odnalezienia poszczególnych „skarbów".

Ekipa wewnątrz sztolni uwijała się dość sprawnie, zdobywając kolejne centymetry zasypanej sztolni. W pewnej chwili saperka uderzyła w jakiś twardy przedmiot, wydając przy tym głuchy odgłos. Szybkie odgarnięcie warstwy ziemi ujawniło drewnianą belkę wbitą pionowo w świetle chodnika, a poniżej deski przybite do owej belki **od wewnątrz** kopalni. Sprawdzała się więc nasza hipoteza o tamie, która została zbudowana w tej części chodnika, chroniąc dostęp do komory **od kopalni**. Postanowiliśmy ponownie, dokładnie zmierzyć odkopywany przez nas chodnik biorąc za punkt odniesienia boczne wejście do komory. Z pomiaru jednoznacznie wynikało, że… jesteśmy metr, najwyżej dwa od zakrętu chodnika! Przeszkodą była tkwiąca dokładnie pośrodku gruba belka! Tymczasem zza naszych pleców, druga ekipa donosiła o kolejnych odkryciach!

Fot. 7 Odnaleziony w kopalni zegarek, po oczyszczeniu. Na kopercie zawarto informację o ilości kamieni zegarkowych wykonanych pierwotnie z kamienia szlachetnego – rubinu.

Czas na odkrycia

Okazało się, że oprócz wojennych pamiątek, na zewnątrz, pod warstwą ziemi, sztolnia kryła kilka niespodzianek. Tuż za kamienną obudową odnaleziono żelazny klin, narzędzie górnicze służące do urabiania skały. Kilka metrów dalej – historyczny, górniczy reper, który był naniesiony na wcześniej opisywane mapy. Kolejny klin ukrywał się na skrzyżowaniu chodnika z boczną komorą. Oba znaleziska zostały oczyszczone i poddane konserwacji, co pozwoliło zbliżyć się im do ich pierwotnego wyglądu. Interesujące znalezisko pokazało się nieco dalej; w pierwszej kolejności zalśnił w świetle latarki niewielki, biały fragment. Po bliższym zbadaniu okazało się, że jest to centymetrowy kawałek porcelany. Przeczuwając, że ktoś rozbił tu jakiś porcelanowy przedmiot, przeszukaliśmy chodnik w promieniu kilku metrów od tego miejsca. Wkrótce wyszło, że takich kawałków jest więcej, fragmentów talerza lub podstawka do filiżanki, z których największy zawierał symbol „C.T." – sygnaturę fabryki Carla Tielscha w Starym Zdroju (Altwasser), obecnie dzielnicy Wałbrzycha. Sygnatura zawierała oznaczenie roku produkcji – 1934. W połączeniu z wcześniej odnalezionymi łyżkami zaświtała nam w głowie pewna myśl: być może sztolnia została **wykorzystana jako**… **schowek**, a odnalezione przez nas przedmioty stanowiły majątek gospodarza mieszkającego w pobliskim Stanisławowie. W tym przekonaniu utwierdziło nas kolejne, zaskakujące odkrycie. W pobliżu komory detektor wskazał na niewielki, obły przedmiot. Po wstępnym oczyszczeniu pędzlem znalezisko okazało się… srebrnym zegarkiem z uszkodzonym mechanizmem! Nasze zdziwienie urosło jeszcze bardziej, kiedy w samej komorze „wyszedł"… jeszcze **jeden zegarek!**

A więc dwa niemieckie zegarki, łyżki i porcelana jednoznacznie wyglądały jak depozyt pozostawiony w sztolni przez przedwojennych mieszkańców. Ponieważ przedmioty były zniszczone (zegarki rozebrane, łyżki wygięte, porcelana rozbita), uznaliśmy, że schowek został spenetrowany przez nieznane osoby, być może żołnierzy Frontu Ukraińskiego, którzy spędzili w tej okolicy dwa miesiące.

Zachęceni tymi odkryciami przystąpiliśmy do forsowania blokującego dostęp do kopalni drewnianego pnia. Po naradzie uznaliśmy, że jedynym na to sposobem będzie metoda inwazyjna, czyli przepiłowanie belki. Pojawiła się obawa, że być może belka podtrzymuje jakiś głaz lub inne rumowisko, i po naszej ingerencji wszystko pięknie runie na nasze głowy. Przyznaję, że sporo czasu analizowaliśmy zagrożenie, posiłkując się nawet specjalną kamerą dostarczoną przez jedną ze współpracujących z nami firm. Wydawało się, że belka zwyczajnie „stoi" na spągu, obita deskami i przysypana ziemią. Rozpoczęliśmy więc piłowanie, które poszło nadzwyczaj sprawnie: belka puściła. Ze względów bezpieczeństwa postanowiliśmy usunąć ją „na odległość", przy pomocy liny. Nic nie runęło, nic się nie zapadło, dalsza część sztolni stała otworem. Poszerzyliśmy jeszcze trochę otwór, dzięki czemu można było wcisnąć się kolejny metr dalej. Chodnik za belką był zniszczony (podsadzony?), o czym świadczyły sporych rozmiarów kawałki skał zsuwające się do środka. Poruszanie się za obciętą belką było dość trudne, miejsca starczało wyłącznie na górną część tułowia, przenośną lampkę i kask. Operowanie saperką nie było łatwe, brakowało już zupełnie miejsca na pojemnik do wyciągania ziemi. Ku naszemu zdziwieniu jednak, prawy ocios uciekał wyraźnie na północ, niechybny znak świadczący o tym… że dotarliśmy do zakrętu! Potwierdzało to nasze wcześniejsze pomiary. W świetle latarki widać było szczelinę zawaloną sporymi głazami. Zdecydowaliśmy się więc na ponowne użycie kamery wziernikowej, umieszczonej na giętkim, kilkumetrowym przewodzie. Jeden z nas manewrował kamerą, podczas gdy druga osoba obserwowała obraz na niewielkim monitorze. Za skałami widać było… zniszczony korytarz, co samo w sobie sensacją nie było (vide: rys. 1, środkowa ilustracja i widoczny tam dalszy ciąg korytarza). Problemem było to, że drogę blokowały sporych rozmiarów głazy, których nijak nie dało się ruszyć! Z jednej strony blokowało nas wąskie gardło chodnika, z którego wcześniej wycięliśmy belkę, z drugiej ciężar skał, który nie pozwalał na ich „wepchnięcie" do środka korytarza.

Po analizie wszystkich za i przeciw uznaliśmy wspólnie, że na tym etapie nie mamy dobrego sposobu na przejście dalej, ponieważ zdobycie kolejnych metrów korytarza wymagałoby dokładnego jego oczyszczenia z wielu metrów sześciennych ziemi i gruzu i, dopiero w kolejnym etapie, usunięcie zalegających głazów.

Jak być mogło…

Sztolnia „Carl" w obecnym stanie jest dość krótka, ma zaledwie kilkadziesiąt metrów. Jest oddalona od Stanisławowa ok. pół kilometra i ukryta między drzewami gęstego lasu. Okolica raczej rzadko uczęszczana, ponieważ główną oś komunikacyjną z pobliskim Sichowem stanowiła szeroka droga położona na wschód, którą obecnie można dojechać do wsi. Przed końcem wojny sama sztolnia nie była już używana, w odróżnieniu od reszty kopalni, która działała – jak wynika z naszych ustaleń – w zasadzie do końca wojny. Miejsce było dobre, aby ukryć kilka najcenniejszych przedmiotów z rodzinnego domu; zrobił to najpewniej gospodarz z pobliskiego Willmansdorf, zakopując przedmioty w dawnej komorze materiałów wybuchowych, gdzie były jeszcze drzwi. Wlot sztolni próbował zawalić, ale ciężko było to zrobić w sposób trwały, ponieważ w chodniku była solidna, kamienna obudowa.

Potem trzeba było uciekać na Zachód, a w maju 1945 r. pojawili się żołnierze Frontu Ukraińskiego.

Zasadzili się w lasach na północ od Stanisławowa, ostrzeliwując broniącą się Rosochę. Z pewnością zauważyli dawny łom na zboczu oraz obwalone wejście do sztolni. Z pobudek czysto wojskowych (przechowanie broni, miejsce do nocowania etc.) mogli wejście oczyścić, a w środku bardzo szybko spostrzegli ukryty depozyt. Mało wartościowe rzeczy porzucili: kilkuletnią porcelaną rozbili o ocios chodnika, z zegarków zerwali koperty, a łyżki, które okazały się zaledwie imitacją srebra, porzucono przed wlotem. Bardziej wartościowe przedmioty zostały spakowane do plecaków żołnierzy i ślad po nich zaginął…

Co w takim razie ze szkicem Rubensa, na którym Chrystus upada pod krzyżem?

Cóż, wydaje się mało prawdopodobne, aby został ukryty w tej właśnie kopalni. W sierpniu 1944 r., kiedy do Sichowa przyjechał transport wypełniony polskimi zabytkami, kopalnia pracowała na dobre, zatrudniała dużą liczbę ludzi, więc ukrywanie czegokolwiek w takich warunkach nie mogło gwarantować sukcesu. Największa sztolnia, która mogła nadawać się do tego celu („Carnall") była penetrowana przez Rosjan (1945 r.), pracowników zakładów R-1 w Kowarach (1948 r.),

ekspedycję polskich geologów (1950 r.), a nawet mieszkańców Stanisławowa (po 1950 r., zgodnie z relacją świadków). Gdyby takowy depozyt został tam ukryty, z pewnością natrafiono by na jakieś ślady w czasie którejkolwiek z tych wypraw…

Gdzie zatem szukać szkicu?

Niech za odpowiedź posłuży informacja, która 4 listopada obiegła świat (podajemy za portalem tvn24.pl „Płótna warte miliony…"): *„Pomiędzy stertami rozkładającego się jedzenia, w szarym bloku w Monachium znajdowało się ponad 1,5 tys. obrazów, dzieł Picassa, Matisse'a i Chagalla, wartych ponad miliard euro. Kolekcję zgromadził nazistowski współpracownik Hildebrand Gurlitt, który zbiory przekazał swojemu synowi. To właśnie jego zatrzymały niemieckie władze. Według ekspertów, nawet 90 procent zrabowanych przez nazistów dzieł nie zostało jeszcze odzyskanych…".*

P.S. W trakcie opracowywania materiałów do niniejszego tekstu zapytaliśmy p. Adama Mroziuka, mistrza zegarmistrzostwa ze Świebodzic, czy może powiedzieć coś więcej o pochodzeniu i cechach odnalezionych zegarków. *„Oba zegarki pochodzą z tego samego regionu i okresu"* – odpisał p. Adam. *Regionu – nie kraju – ponieważ bardzo trudno jest ustalić dokładne pochodzenie zegarka w przypadku niesygnowanych mechanizmów (…). Tak skonstruowane mechanizmy mogą pochodzić z dwóch krajów: z Francji lub Szwajcarii. Przemysł zegarmistrzowski rozwijał się najprężniej tam, gdzie stykały się granice tych krajów i technologia manufakturowego wytwarzania zegarków, jak i późniejszej seryjnej produkcji, była bardzo zbliżona (…). Z pewnością nie są to zegarki pruskie – niemieckie. Napisy umieszczone na wewnętrznym deklu zegarka męskiego* („Cylinder Quatro Rubis" – dop. K.K., D.W.– fot. 7) *są w języku francuskim i informują, że zegarek miał wychwyt cylindrowy, rodzaj mechanizmu sprzęgającego przekładnie z regulatorem balansowym, i był wyposażony w 4 kamienie. Jedna z tych informacji jest ważna, ponieważ poniekąd świadczy o wartości zegarka – zamożności właściciela. Cena zegarka w tamtych czasach zależała od kilku elementów, a jednym z nich jest ilość kamieni. Cztery kamienie to mało i plasują mechanizm zegarka wśród tańszych i popularnych. Koperta wykonana jest ze srebra i widoczne są na niej ślady dawnego mechanicznego zdobienia – giloszowania. Tak bardzo mocno zatarte giloszowanie świadczy o tym, że zegarek był używany bardzo intensywnie i z pewnością nie był oszczędzany. (…) Oba zegarki miały białe, emaliowane tarcze oraz były nakręcane kluczykiem (…).* [Drugi odnaleziony] *zegarek damski, prawdopodobnie w złotej kopercie, był zegarkiem zdecydowanie droższym nie tylko ze względu na cenny kruszec. Mechanizm tego zegarka – również z wychwytem cylindrowym – miał więcej kamieni, z ocalałych pozostałości mechanizmu można przypuszczać, że było ich od 6 do 8 sztuk. Rzadko zdarzało się, aby do złotych kopert montowano tanie mechanizmy.*

Cóż takiego cennego w tych zegarkowych kamieniach, że warto było umieszczać tę dziwną informację w widocznym miejscu, na prawie każdym zegarku kieszonkowym? Kamienie zegarkowe to bardzo małe »tulejki lub krążki« działające jako łożyska ślizgowe, wykonane są z najprawdziwszego twardego kamienia szlachetnego – rubinu. Wykonanie rubinowych łożysk było bardzo pracochłonne i skomplikowane, szczególnie w XVIII-XIX wieku kiedy nie używano jeszcze maszyn z napędem elektrycznym. Proszę sobie wyobrazić jak trudno jest wykonać krążek z twardego i kruchego rubinu o średnicy 1mm z wypolerowanym otworkiem 0,12 mm…".

Jeśli ktoś z Czytelników posiada informacje na temat kopalni lub innych faktów związanych z powyższym tematem, prosimy o kontakt: mediator.wroclaw@wp.pl

Autorzy dziękują za pomoc w opracowaniu artykułu P. Trzęsickiemu, K. Mrozowi, G. Czechowi, W. Cichockiemu, M. Arjanowi, K. Budakiewiczowi, S. Strękowi. A. Mroziukowi oraz Grupie Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca". Dziękujemy także za gościnność Państwu Korolewskim ze Stanisławowa.

ZDJĘCIA, OPRACOWANIE PLANÓW I ILUSTRACJI: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK

Literatura:
1. M. Madziarz, „Historyczna technika eksploatacji rud żelaza na przykładzie kopalni »Carl Friedrich Gustaw« w Stanisławowie, [w:] „Dzieje Górnictwa…" pod red. P. Zagożdzona i M. Madziarza, Wrocław, 2009

Działania GEMO wspomagane są przez stale współpracujące z GEMO firmy specjalistyczne:

Dräger GRALmarine HELIKON-TEX.com ARPOL www.arpol.net.pl

Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik

Miłośnicy górnictwa i wszelakich podziemi wytwarzanych przez ludzi. Obszar głównego zainteresowania: historyczne kopalnie w Sudetach. W ciągu 10 lat swojej działalności zbadali setki obiektów głównie na Dolnym Śląsku, a swoją pasję opisali w kilku książkach oraz ponad 100 publikacjach prasowych i naukowych. Prywatnie: prawnik – humanista i ekonomista – umysł ścisły.

REKLAMA

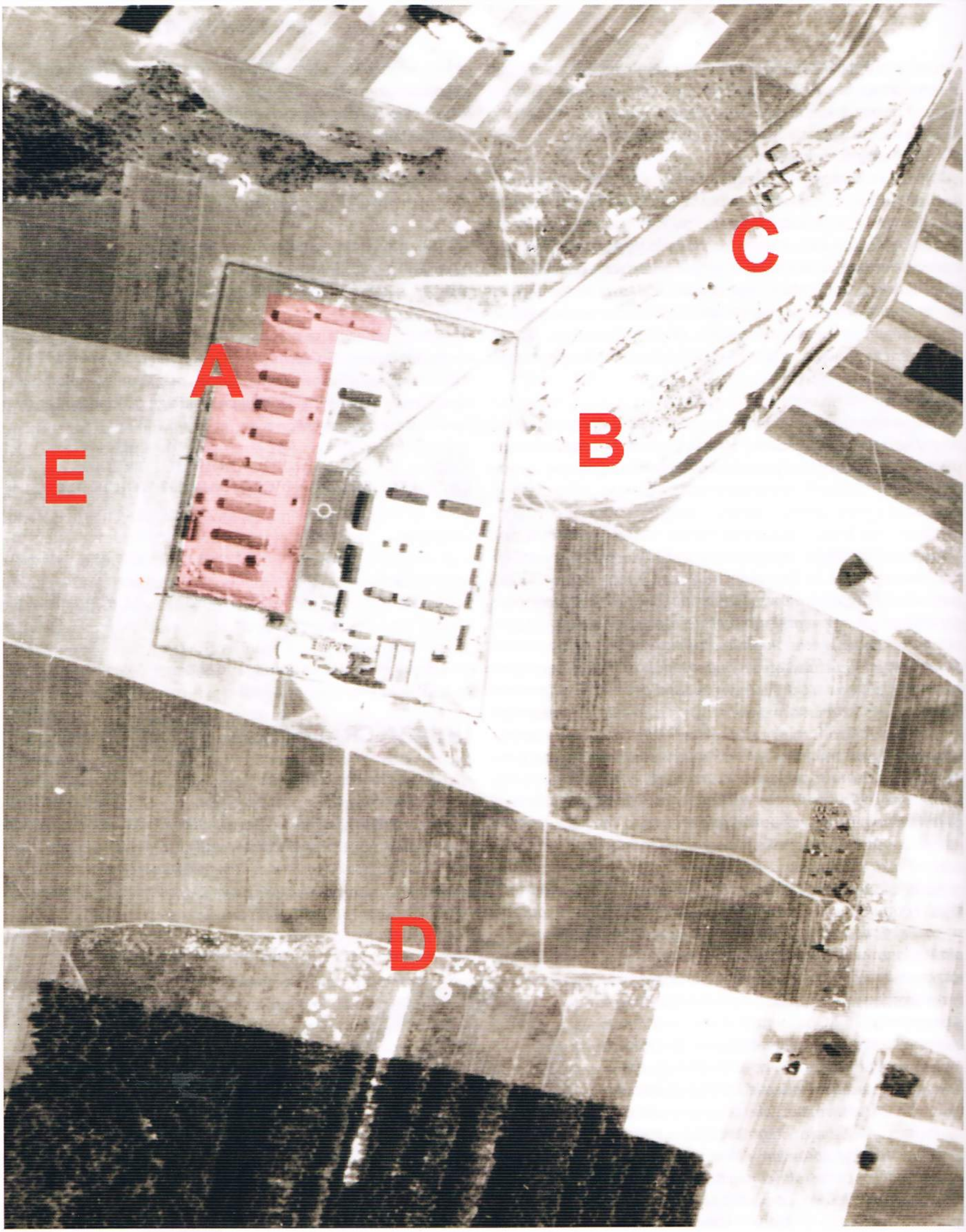

Opis techniczny zdjęcia:
Lokalizacja: Treblinka – powiat ostrowski, województwo mazowieckie.
Format zdjęcia: 30×30 cm, kamera Rb30, ogniskowa kamery 200.72 mm, pokrycie podłużne ok. 30%
Data wykonania zdjęcia: 15 maja 1944 rok, godzina 7:20
Skala zdjęcia: 1:27 000, wysokość lotu (przybliżona): 5500 metrów. Każdy z fotogramów pokrywa obszar o wymiarach około 9×9 kilometrów.
Informacje dodatkowe: na zdjęciach można znaleźć odręcznie naniesione dane dotyczące stopnia i nazwiska obserwatora – Hptm. Kästner.

Karny Obóz Pracy Treblinka I na niemieckim zdjęciu lotniczym

Ukryte piekło

SEBASTIAN RÓŻYCKI, MAREK MICHALSKI

Podstawowe informacje dotyczące tego, jak odczytywać czarno-białe zdjęcia lotnicze z okresu II wojny światowej, zostały podane w „Odkrywcy" nr 9/2012 roku. Artykuł zawierał m.in. kilka wskazówek dotyczących poszukiwania na fotogramach obiektów ukrytych pod powierzchnią Ziemi.

Do tej grupy obiektów można również zaliczyć groby masowe. Poszukiwania nieistniejących już cmentarzy, śladów masowych egzekucji i grobów w oparciu o analizę zdjęć lotniczych są opisane w literaturze polskiej, jak i zagranicznej (patrz: spis literatury, poz. 2, 3, 4, 5).

Do identyfikacji masowych mogił mogą być wykorzystane m.in. tony szarości zaliczane do tzw. bezpośrednich cech rozpoznawczych (patrz: spis literatury, poz. 1). Ukryte ślady celowego odwrócenia gleby mogą być widoczne na zdjęciach jako:

» ciemniejsze tony, które mogą informować o większej wilgotności terenu w miejscu grobów – ziemia w tym miejscu nie przepuszcza takich ilości wody jak obszar wokół,

lub

» jaśniejsze tony, które mogą informować o szybszym wysuszeniu gleby w miejscu grobu – w porównaniu z terenem otaczającym.

Ślady niewielkich deformacji powierzchni nad grobami mogą rzucać cienie ujawniające doły lub zapadnięcia wierzchniej warstwy gleby (patrz: spis literatury, poz. 3). Do identyfikacji zmian w ukształtowaniu terenu najlepszym materiałem są stereopary zdjęć lotniczych(dwa zdjęcia lotnicze tego samego terenu wykonane w odległości kilkuset metrów, jedno od drugiego. Oglądane w stereoskopie dają wrażenie plastycznego modelu terenu), które w większości przypadków są dostępne w archiwach przechowujących fotogramy z lat 1939-1945. Groby otwarte są dość dobrze czytelne na czarno-białych zdjęciach lotniczych i charakteryzują się tonami kolorów w zakresie od jasno-białego do białego. Większość cech wymienionych powyżej, może być już widoczna na zdjęciach w skali ok. 1:34000 (patrz: spis literatury, poz. 3).

Poszukując zdjęć uwidaczniających miejsca masowego pochówku, skupiliśmy się na obszarach, na których zlokalizowane były miejsca masowych egzekucji oraz mordów, w szczególności w pobliżu funkcjonujących obozów zagłady oraz obozów karnych. Wydawać by się mogło, iż w tym celu powinniśmy korzystać ze zdjęć lotniczych wykonywanych w czasie wojny przez aliantów. Niestety, w większości przypadków nie ma to pokrycia w rzeczywistości.

Czy zatem zdjęcia niemieckie wykonane przez lotników Luftwaffe mogą być przydatnym materiałem historycznym, ukazującym tragedie związane z funkcjonowaniem obozów, a tym samym służyć do rozpoznawania miejsc masowych pochówków? Chcąc ukryć ślady funkcjonowania obozów, obszary te powinny zostać wykluczone przez aparat państwowy III Rzeszy i niedostępne dla samolotów.

Tak się jednak nie działo.

Niemieckie zdjęcia lotnicze nadal służą do badania i wyjaśniania wielu tajemnic związanych z funkcjonowaniem „fabryk śmierci". Przykładem może być niemieckie zdjęcie lotnicze wykonane w lipcu 1944 r. przedstawiające dworzec kolejowy w Auschwitz i okoliczny most kolejowy nad Sołą, niejako „przy okazji" dokumentujące również obóz w Auschwitz. Innym przykładem tego rodzaju zdjęć niemieckich jest seria fotografii dla obozów w Treblince.

W miesiącu sierpniu upłynęła kolejna, tym razem już 70. rocznica wybuchu buntu więźniów przeciwko swoim oprawcom w niemieckim, nazistowskim obozie zagłady zlokalizowanym w okolicach Treblinki. Fakt ten, jak również ukazanie się publikacji autorstwa dr. Edwarda Kopówki oraz Joanny Zasłony pt. „Raport o stanie zachowania Miejsca Pamięci w Treblince" skłonił nas do wyboru właśnie okolic Treblinki, jako miejsca godnego opisu, w celu przypomnienia tragicznych losów zlokalizowanego tutaj jednego z niemieckich, nazistowskich karnych obozów pracy.

Obozy Treblinka I – karny obóz pracy oraz Treblinka II – obóz zagłady, znajdowały się w pobliżu ważnej linii kolejowej Białystok-Warszawa. Niemieckie lotnictwo bardzo często wykonywało loty rozpoznawcze wzdłuż tej linii, m.in. od połowy do końca roku 1944. Tylko dzięki temu zachowała się dość pokaźna liczba zdjęć przedstawiających obszar obu obozów[1]. Nie dotarliśmy do zdjęć z okresu, kiedy funkcjonował obóz zagłady Treblinka II. Udało się to w przypadku karnego obozu pracy Treblinka I. Dysponujemy dwoma zdjęciami: jedno z okresu funkcjonowania obozu (maj 1944), a drugie z września 1944 roku, już po likwidacji obozu.

Przedstawiane w niniejszym opracowaniu zdjęcie Treblinki I zostało wykonane 15 maja 1944 roku.

Karny obóz pracy w Treblince powstał na podstawie zarządzenia niemieckiego starosty powiatowego Ernsta Gramssa w roku 1941. Działalność karnego obozu pracy usankcjonowana została zarządzeniem gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwika Fischera w dniu 15 listopada 1941 roku. W kolejnych latach Gramss zaprowadza na terenach podległych jego jurysdykcji terror, uderzający najliczniej w Żydów i Polaków. Szczególną uwagę przywiązuje do morderczego wyzysku polskich rolników, na których w Generalnej Guberni nałożone zostają przymusowe kontyngenty. Z biegiem upływającego czasu represje przybierają coraz ostrzejsze formy. Gramss przeprowadza rekwizycje, często stosując akty przemocy w postaci tortur. Aresztowanych wysyła do obozów pracy, w tym, do obozu Treblinka I lub do Rzeszy, jako przymusowych robotników.

Komendantem karnego obozu pracy Treblinka I został SS-Hauptsturmführer Theo van Eupen. W okresie swojego istnienia obóz był rozbudowywany, tak, aby w roku 1944 osiągnąć swój stan zabudowy przedstawiony na prezentowanym fotogramie. Szacuje się, że przez obóz „przeszło" około 20 tys. więźniów, z czego około 10 tys. poniosło tam śmierć (patrz: spis literatury, poz. 6). Obóz został zlikwidowany pod koniec lipca 1944 roku.

Budynki obozowe posiadają bardzo charakterystyczną formę i są łatwe do rozróżnienia na zdjęciach. Przy szukaniu obozów należy zwrócić uwagę na: prostokątne budynki rozłożone w prawidłowych formach geometrycznych, jedno lub dwurzędowe ogrodzenia obozowe oraz wieże wartownicze.

Widoczne na prezentowanym fotogramie zabudowania obozowe [A] nie oddają w pełni tragedii przebywających w nich ludzi. Nieliczne wspomnienia spisane po wojnie prezentowane są obecnie w Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince (MWiM). Dopiero one oddają ducha tamtych czasów wprowadzając czytelników w prawdziwe „ukryte piekło".

Na wschód od obozu znajdowało się jedno z miejsc pracy więźniów – „Żwirownia" [B], gdzie przy dobrym powiększeniu widoczne są wagoniki kolejki służące do wywozu urobku [C].

Na południe od zabudowań obozowych widoczne są masowe groby [D], z których największy, w kształcie prostokąta, posiada wymiary około 16×240 m. W miejscu tym, jak i w jego okolicach, grzebano zwłoki zmarłych, zamordowanych więźniów oraz więźniarek obozu Treblinka I. Znane są przypadki pochówków rozstrzeliwanych więźniów nie tylko z samego obozu, ale również z innych więzień niemieckich (np. z Pawiaka, czy al. Szucha).

Zgodnie z informacjami będącymi w posiadaniu Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince, w miejscu tym mogli zostać również rozstrzelani oficerowie i żołnierze włoscy (patrz: spis literatury, poz. 7). Dzięki rzucanym cieniom dobrze widoczne są dwie wieże wartownicze [E].

ZDJĘCIE: Z KOLEKCJI AUTORÓW/NARA

Przypis:

[1] Obecnie Autorzy szacują liczbę zdjęć dla obu obozów Treblinka I, Treblinka II oraz dla obozu szkolnego w Małkinii na 12-20, z czego 2 zdjęcia dotyczą Treblinki I. Podczas przygotowania artykułu nie dysponowano jeszcze pełnym wynikiem kwerendy przeprowadzonej w Narodowym Archiwum Stanów Zjednoczonych (NARA).

Literatura i źródła:

1. S. Różycki, „Ziemia zatrzymana w kadrze" [w:] „Odkrywca", nr 9/2012
2. M.J. Abicht, „Using Wartimeaerialphotographs to locatelost Graves sites". Landscapes Through the Lens: AerialPhotographs and the Historic Environment, 2010
3. W. Godziemba-Maliszewski, „GX of the Solovetskiye Island, Russia: using World War II Luftwaffe aerialphotographs". Landscapes Through the Lens: Aerial Photographs and the Historic Environment, 2010
4. M. Mycke-Dominko, „Zmiany na obszarze Lasu Katyńskiego w latach 1942-1944 na podstawie zdjęć lotniczych" [w:] „Fotointerpretacja w Geografii", nr 21/1992
5. W. Godziemba-Maliszewski, „Katyń: AnInterpretation of Aerial-Photographs Combined with Facts and Documents" [w:] „Fotointerpretacja w Geografii", nr 25/1995
6. M. Roth, „Nadludzie z powiatów" [w:] „Tygodnik Powszechny", 12.01.2010, www.tygodnikonet.pl.
7. www.treblinka.bho.pl, wejście w dniu 20.10.2013

Marek Michalski

Absolwent Politechniki Śląskiej, amatorsko zajmuje się historią II wojny światowej, interpretacją zdjęć z okresu II wojny światowej oraz poszukiwaniem tematów historycznych dotyczących Zabrza i Górnego Śląska. Współautor monografii „Ewangelicy w Zabrzu" oraz „AL Hindenburg – niemiecki, nazistowski podobóz KL Auschwitz III".

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

REKLAMA

Skarb z Puszczy Bieniszewskiej

KRZYSZTOF GORCZYCA

Od tysięcy lat ludzie gubili, ukrywali lub wyrzucali najróżniejsze drobne przedmioty. Od paru dekad, dzięki upowszechnieniu wykrywaczy metali, pojawia się coraz liczniejsze grono poszukiwaczy, którzy z odnajdywania tych przedmiotów uczynili swoje hobby.

W naszym, muzealników rozumieniu, kolekcjonerstwo, eksploracja i inne pasje związane ze zbieraniem rzeczy mających wartość historyczną ma wtedy sens, gdy ich efekty są udostępniane jak najszerszemu gronu odbiorców. Kolekcje, które są znane kilku osobom, są praktycznie bez wartości – zarówno naukowej, jak i społecznej.

Od roku 2010 Muzeum Okręgowe w Koninie współpracuje z Wielkopolskim Forum Eksploracyjno-Historycznym. W tym czasie zorganizowano już trzy wystawy ze zbiorów członków WFEH: dewocjonaliów, numizmatów i biżuterii oraz militariów. Prowadzone są także wspólne badania eksploracyjne i archeologiczne. Członkowie Forum regularnie uczestniczą w corocznych międzynarodowych obozach archeologicznych organizowanych przez Muzeum.

Jednym z realizowanych wspólnie projektów są badania pól bitewnych z czasów Powstania Styczniowego.

Takie właśnie prace miały miejsce 22 marca 1863 r. w lesie pod Olszowym Młynem k. Pątnowa. Przeprowadzono je w ramach I Zlotu WFEH w 2012 roku. Uzyskane wyniki uwieńczone zostały, dzięki współpracy z Nadleśnictwem w Koninie i Stowarzyszeniem Współpracy Polska-Wschód, odsłonięciem krzyży i kamienia pamiątkowego, jak również opisane w publikacjach prasowych i naukowych. II Zlot w 2013 roku miał na celu zbadanie pola potyczki powstańczej w lasach pod Bieniszewem. Pierwszy etap poszukiwań, w czerwcu br., zgromadził kilkanaście osób stale współpracujących z Muzeum. Drugi, w październiku, przyciągnął już ponad 50 uczestników.

Odkryte w trakcie badań ślady tej bitwy są dość nikłe, i w gruncie rzeczy niewiele wnoszą do naszej wiedzy na ten temat. Jednakże, niejako mimochodem, zlokalizowane zostało miejsce, gdzie znajdowała się niegdyś pamiętająca co najmniej początek XVII wieku kaplica św. Barnaby i funkcjonująca przy niej osada, a także stanowisko kultury łużyckiej z epoki brązu.

Całkowitą niespodzianką dla nas było natomiast odkrycie „skarbu". Zaskoczenie tym większe, iż Jacek Kosiński z Konina, jego odkrywca, dysponował sprzętem, który teoretycznie nie powinien niczego znaleźć na tej głębokości.

Depozyt był zakopany pod drzewem, przy drodze wiodącej do znanego XVIII-wiecznego klasztoru kamedułów, w niewielkim, płytkim (40 cm) wykopie. Z obserwacji wynika, że wykop przykryty był deską, z której zachowały się drobne fragmenty zbutwiałego drewna i dwa skorodowane gwoździe. W jamie na wierzchu znajdowało się metalowe, okrągłe pudełko. Dopiero po oczyszczeniu okazało się, że jest to opakowanie po czekoladkach „Scho-Ka-Kola" – firmy Hildebrand z Berlina – z dobrze zachowanym napisem *„WEHRMACHT PACKUNG"*. Były to czekoladki z dodatkiem kofeiny i orzeszków produkowane w latach 1939-1945 dla armii niemieckiej, wydawane w ramach żelaznych racji. To ważna informacja, bowiem jako „najmłodszy" element w zespole wskazuje, że skarb zakopany był prawdopodobnie w czasie ostatniej wojny. Obok znajdowała się ozdobna srebrna cukiernica sygnowana *„FRAGET"*, owinięta sznurkiem. Pod nimi – pierwotnie zawinięte w gazety i tkaninę, z których zachowały się jedynie fragmenty – leżały platerowane sztućce z monogramem *„NW"*: 8 dużych łyżek, 6 łyżeczek większych, 6 mniejszych, 6 widelców, 5 widelczyków, 6 dużych noży oraz 6 małych nożyków. Pomiędzy sztućcami umieszczono najciekawsze znalezisko – wskazujące na właściciela ukrytego depozytu – była to lekko wygięta srebrna plakietka w kształcie rombu, z napisem: *„STEF./ MALINOWSKI / SĘDZIA"*. Wewnątrz cukiernicy znajdowała się owiązana sznurkiem metalowa skarbonka z tabliczką, na której widniał napis: *„I–SZE TOW. POŻ. OSZCZĘD. / W ZAWIERCIU"* oraz blaszane, kwadratowe pudełko po taśmie do maszyny do pisania firmy „Sława".

Wnętrze pudełka po czekoladkach zawierało mnóstwo osobistych przedmiotów zawiniętych we fragmenty tkaniny:

» srebrny zegarek kieszonkowy szwajcarskiej firmy G. Monard z inicjałami *„MJ"*,
» pierścionek z zielonym kamieniem jubilerskim,
» złotą obrączkę z wygrawerowanym wewnątrz napisem: *„Stefan 19/ II 1906."*,
» złotą obrączkę, na zewnątrz której było napisane: *„BOŻE BŁOGOSŁAW"*,
» obrączkę z cienkiej blachy z umieszczonym na środku owalnym oczkiem z nieczytelną miniaturą,
» ażurową broszkę zdobioną drobnymi kamieniami jubilerskimi,
» owalną broszkę z ażurowym napisem: *„Tala 31 V 04"*,
» srebrną odznakę w kształcie głowy jelenia.

Poszukiwacze z Wielkopolskiego Forum Eksploracyjno-Historycznego podczas odkopywania skarbu.

Pudełko po taśmie z maszyny do pisania, widoczny zegarek oraz złote koronki zębów.

Na zdjęciu wydobyta z ziemi skarbonka, opatrzona plakietką z Zawiercia, która schowana była…

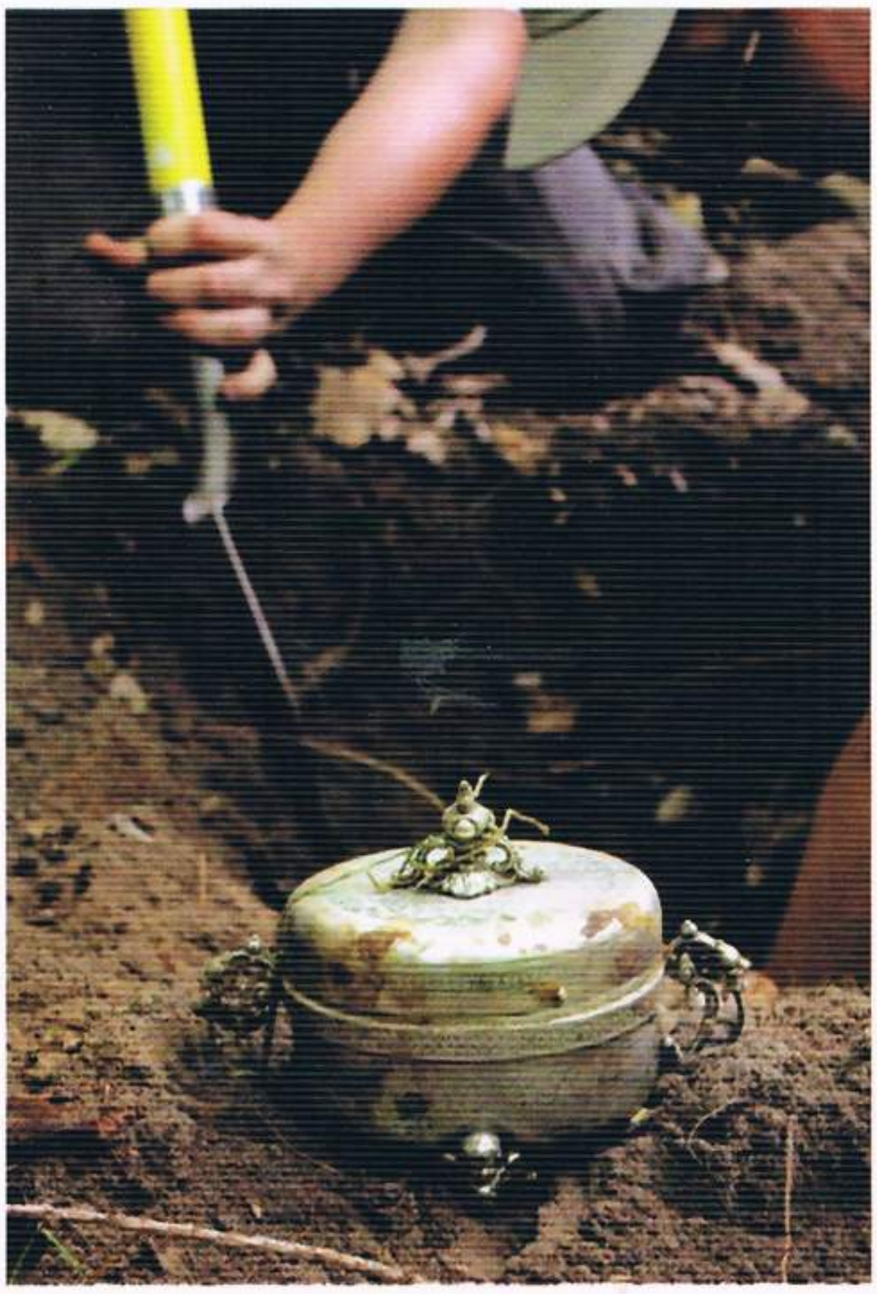

… w srebrnej cukiernicy.

Z kolei wewnątrz pudełka po taśmie do maszyny znaleziono zabezpieczone papierem i watą puzderko z napisem: *„WYBERT TABLETTEN"*. W środku puzderka swoje miejsce znalazły:

» srebrny, owalny medalion z łańcuszkiem. Pierwotnie wewnątrz była fotografia, która niestety nie przetrwała próby czasu,

» srebrny medalion z uszkiem, na którego wieczku jest przedstawienie Matki Boskiej Częstochowskiej i napis w otoku: *„POD TWOJĄ OBRONĘ UCIEKAMY SIĘ"*. Wewnątrz medalionu – srebrny różaniec z krzyżykiem,

» medalik z łańcuszkiem, a na nim – głowa myśliwskiego psa z ptakiem w pysku.

Obok puzderka znajdowały się jeszcze:

» złoty damski zegarek na rękę,

» złote zapięcie do zegarka,

» srebrna plakietka w kształcie tarczy z napisem *„I. Preis /Zawiercie /1906."*,

» aluminiowy, silnie skorodowany medalik (?),

» srebrny monogram z zaplecionych liter *„SM"*,

» srebrna zawieszka w kształcie orła w koronie na tle biało-czerwonej flagi, z tyłu skrzyżowane kosy i piki.

Jak również nieco zaskakujące artefakty:

» wisiorek z oprawionymi w złoto zębami jelenia (grandle),

» sztuczna szczęka z różowego tworzywa,

» 6 złotych koronek na zęby… część z zębami (!)

Skarbonka kryła w sobie złote zapięcie z fragmentem łańcuszka oraz, jak to skarbonka, 112 monet, w tym:

» Niderlandy – 1/4 patagona, Albert i Izabela (1601-1621),

» Księstwo Warszawskie – 1/3 talara, rocznik 1813,

» Rosja – 1 połtina, rocznik 1818,

» Japonia – 1 jen, rocznik 1904,

» Włochy – 20 centesimi, rocznik 1912,

» Królestwo Polskie – 5 pfennigów, rocznik 1918?

» Wolne Miasto Gdańsk – 10 pfennigów, rocznik 1923,

» Czechosłowacja – 2 korony czeskie, jedna z rocznika 1929 oraz jedna, rocznik 1930,

» Rosja – 1 rubel (300-lecie Romanowych), rocznik 1913.

Pozostałe, to srebrne monety rosyjskie 10-, 15-, 20- i 50-kopiejkowe z lat 1894-1914.

Depozyt, jak wskazywały znalezione przedmioty, należał prawdopodobnie do sędziego Stefana Malinowskiego związanego z Zawierciem. Kwerenda w internecie pozwoliła stwierdzić, że osoba taka faktycznie istniała. Dziennik Urzędowy Królewsko-Polskiego Ministerstwa Sprawiedliwości ze stycznia 1918 roku informuje o mianowaniu Stefana Malinowskiego na Sędziego Pokoju w Dąbrowie, a Dziennik Urzędowy Ministerstwa Sprawiedliwości ze stycz-

Część skarbu tuż po wykopaniu, wkrótce wszystkie artefakty poddane zostaną oczyszczeniu i zabezpieczeniu

Poddane zabiegom oczyszczenia i konserwacji znaleziska odzyskały swój dawny blask. Tu odnaleziony 1 rubel – Rosja carska.

Medalik z postacią psa myśliwskiego.

Zawieszka z patriotycznym emblematem.

Plakietka, która ułatwiła identyfikację znaleziska.

Zawieszka z kłami jelenia (grandle).

nia 1920 roku – o mianowaniu na takie samo stanowisko w Zawierciu.

Nieoczekiwany zwrot sytuacji przyniosło nagłośnienie naszego znaleziska w mediach. Po audycji radiowej zgłosiła się rodzina siostry sędziego Malinowskiego – Heleny z Malinowskich Jaworowicz-Szamałek. Dzięki niej dowiedzieliśmy się, że Stefan był związany z Zawierciem już dawniej, i że jego żona miała na imię Tala – Jej imię zatem wygrawerowano na odnalezionej owalnej broszce. Uzyskaliśmy też fotografie sędziego i jego rodziny z 1906 roku wykonane w Kromołowie – obecnie część Zawiercia.

Stefan Malinowski od lat 30. XX wieku do początku lat 50. mieszkał z żoną w Kazimierzu Biskupim, odległym od miejsca zakopania depozytu o niecałe 5 km. Około 1954 roku przeprowadzili się do syna Leszka do Warszawy. Wiadomo, że krótko potem syn wyjechał do USA, a dalsze losy sędziego są nieznane. Uzyskane jednak informacje otwierają nowe perspektywy dla poszukiwań archiwalnych, mających na celu przybliżenie osoby sędziego Malinowskiego i jego losów. Z pozostałych znalezionych przedmiotów domyślamy się, że był zapalonym myśliwym.

Z dzisiejszej perspektywy depozyt nie stanowi jakiegoś wielkiego majątku, ma jednak ogromną wartość sentymentalną i emocjonalną. Niewykluczone, iż w czasie wojennej biedy mógł być istotnym zabezpieczeniem.

Większość przedmiotów pochodzi z lat sprzed i krótko po I wojnie światowej. Okoliczności ukrycia depozytu i przyczyny, dla których nie został odkopany, pozostaną prawdopodobnie nigdy nie wyjaśnione. Istnieje na pewno wielka ilość możliwych interpretacji, ale na obecnym etapie trudno o czymś przesądzać.

Opracowanie o odnalezionych przedmiotach zostanie opublikowane w „Konińskich Zeszytach Muzealnych", a artefakty, po konserwacji trafią na wystawę. Dla Muzeum Okręgowego w Koninie takie znaleziska zaczynają już być, mówiąc żartobliwie, rutyną. Nie dalej jak w 2012 r. znaleziono w Koninie depozyt o podobnym składzie i z tego samego okresu. Po upublicznieniu informacji na ten temat, odnalazła się rodzina właścicieli – państwa Włodarczyków, którzy uczestniczyli w otwarciu aktualnie czynnej wystawy prezentującej to odkrycie. Oba te depozyty łamią ogólnie przyjęte przekonanie, że nie odkopany skarb, nie ma swojego, prawowitego właściciela… Historia bywa na ogół o wiele bardziej złożona, niż co niektórym się wydaje.

Mamy nadzieję, że to nie ostatnie tego rodzaju odkrycie, które trafiło do naszego Muzeum.

ZDJĘCIA: ARTUR CHOJNACKI

Krzysztof Gorczyca

Archeolog, absolwent UAM w Poznaniu i podyplomowego studium muzealnego na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1977 r. kierownik Działu Archeologicznego w Muzeum Okręgowym w Koninie. Kierował bądź współpracował przy badaniach wykopaliskowych na ponad 60 stanowiskach archeologicznych z różnych epok na terenie Wielkopolski. Przez ponad 30 lat brał udział w badaniach powierzchniowych w ramach AZP. Autor wielu publikacji z zakresu archeologii, historii regionu i bronioznawstwa.

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- TEKNETICS,
- RUTUS,
A TAKŻE INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Dzień Przesilenia Zimowego

LESZEK ADAMCZEWSKI, WSPÓŁPRACA DARIUSZ GARBA

Prawdopodobnie nawet nie zauważyli, że giną. Uderzenie było niespodziewane. W ułamku sekundy rozpędzony parowóz, ciągnący pociąg, zmiażdżył limuzynę z Urzędu Namiestnika Rzeszy Okręgu Posen, na miejscu zabijając kierowcę i dwóch pasażerów. Kilka godzin później na miejscu wypadku pojawili się najlepsi specjaliści ze wszystkich bodaj formacji policyjnych, którzy niemal natychmiast wykluczyli zamach.

Za chwilę nad okupowanym Poznaniem zapadnie zmrok. Kończył się jeden z najkrótszych dni w przeklętym dla Polaków roku 1939, gdy straciliśmy niepodległość. Wielu poznaniaków nie otrząsnęło się jeszcze z szoku po wkroczeniu hitlerowskiego Wehrmachtu do miasta i zaprowadzeniu nazistowskich „porządków", które w niczym nie przypominały pruskich rządów w Posen sprzed wybuchu Powstania Wielkopolskiego 1918/1919.

Już wczesnym popołudniem w czwartek, 21 grudnia 1939 roku, zamknięto dla ruchu ulice przebiegające koło pocesarskiego zamku. Teraz urzędował w nim Arthur Greiser, gauleiter NSDAP i namiestnik Rzeszy w okręgu Posen. Za miesiąc okręg ten zostanie przemianowany na Wartheland (Kraj Warty). Na placu przed zamkiem stał stos drewna, który po podpaleniu przemieni się w ogromne ognisko. Gotowa była też, przybrana gałązkami jodły, trybuna dla gości honorowych z mównicą osłoniętą czerwonym płótnem i z czarną swastyką w białym kole. Wprawdzie głównym źródłem światła miał być blask bijący z ogniska, ale na prośbę operatora kroniki filmowej rozstawiono również kilka reflektorów. W stojących poza zasięgiem ich świateł wozach transmisyjnych Radia i Poczty Rzeszy, inżynierowie raz jeszcze sprawdzali prawidłowość połączeń mikrofonów. Nic nie mogło zawieść. Wszak za kilkadziesiąt minut z Posen połączą się wszystkie niemieckie rozgłośnie radiowe, by na żywo transmitować przebieg uroczystości Dnia Przesilenia Zimowego.

Nikt z obsługi technicznej wiecu nie wiedział, co tego dnia, nad ranem, wydarzyło się w okolicach miasteczka Birnbaum na północno-zachodnim krańcu okręgu. Bardziej wtajemniczeni byli natomiast pracownicy odległej od zamku o około 500 m drukarni gazetowej, gdzie przygotowywano piątkowe wydanie dziennika „Ostdeutscher Beobachter". I chociaż niemal całą pierwszą stronę i sporo miejsca wewnątrz numeru planowano poświęcić uroczystościom przed zamkiem, to jednak gotowe były już strony publicystyczne oraz z ogłoszeniami i reklamami.

Na papierowej odbitce strony 12, zwanej „szczotką", w oczy rzucały się dwa wielkie nekrologi. Oba podpisał Arthur Greiser.

SAMOCHÓD PĘDZIŁ NA WSCHÓD nie zważając, że tu i ówdzie od okolicznych jezior osiada mgła. W przyćmionych światłach limuzyny nie było widać znaku o niestrzeżonym przejeździe kolejowym. Nie wiemy, czy maszynista dawał sygnały dźwiękowe. Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy…

Siła ze słońca i światła

Sięgnijmy zatem po 52 numer wydawanego w Posen miejscowego organu NSDAP, który ukazał się w piątek, 22 grudnia 1939 roku. Jak zanotował reporter „Ostdeutscher Beobachter", dął zimny wiatr, gdy dzień wcześniej na placu przed zamkiem pojawił się sam namiestnik Rzeszy. Dowódca kompanii honorowej policji złożył mu raport. Następnie Greiser dokonał przeglądu ustawionych w czworoboku pododdziałów policji i Selbstschutzu (Samoobrony), Hitlerjugend i Bund Deutscher Mädel (Związku Dziewcząt Niemieckich) oraz sporej grupy przybyłych niedawno do Posen Niemców bałtyckich, którzy – jak czytamy w poznańskim organie NSDAP – *„po raz pierwszy w życiu mogli być obecni przy tak uroczystym akcie narodowosocjalistycznym"*.

Płonęło ognisko, gdy Arthur Greiser stanął przed mikrofonami na mównicy, informując niemiecką opinię publiczną o ostatecznej i nierozerwalnej więzi Warthegau (okręgu Warty, którą to nazwę wymiennie używano z oficjalną: Posen, a od końca stycznia 1940 roku Wartheland) z Wielkoniemiecką Rzeszą. *„Ze słońca i światła* – mówił Greiser – *wydobędziemy siłę, by stworzyć tu najszerszą przestrzeń życiową dla narodu niemieckiego na Wschodzie"*. W wystąpieniu namiestnika Rzeszy nie mogło zabraknąć wyraźnych akcentów antypolskich. Trzy bardzo charakterystyczne zdania wykorzystała ówczesna niemiecka kronika filmowa. Pokazując płonące ognisko i – przez moment – wyraźnie niedoświetlonego Greisera, redakcja kroniki wmontowała fragment jego przemówienia:

„Pomóżcie mi, nauczyciele i nauczycielki, zdegradować naród polski do narodu robotników. Pomóżcie mi wychować nasz naród i naszą młodzież na naród władców. Dopiero wtedy te wschodnie tereny Niemiec będą zabezpieczone". Po tych słowach słychać owację zgromadzonych.

W półmroku panującym na placu przed zamkiem, tylko ci stojący w pierwszych rzędach zauważyli, że na rękawie płaszcza gauleitera była czarna opaska. Znak żałoby.

Bożonarodzeniowy prezent

Raz jeszcze zaglądamy do 52 numeru dziennika „Ostdeutscher Beobachter", tym razem jednak na stronę wiadomości lokalnych, które ukazywały się pod wi-

nietą zlikwidowanego przez nazistów dziennika „Posener Tageblatt". Zamieszczono tam notatkę zatytułowaną „Śmiertelny wypadek syna gauleitera", w podtytule wyjaśniając, że chodzi o wypadek koło Birnbaum, czyli Międzychodu. Wbrew obiecującemu tytułowi, poznański organ NSDAP właściwie o niczym nie informował…

Freitag, den 22. Dezember 1939

Posener Tageblatt

Jahrg. 78. Posen, 22. Dezember 1939. Nr. 302

Der Sohn des Gauleiters tödlich verunglückt

Kraftwagenunfall bei Birnbaum

Durch einen Kraftwagenunfall verunglückte gestern morgen bei Birnbaum der im 15. Lebensjahr stehende einzige Sohn des Gauleiters und Reichsstatthalters Greiser. Mit ihm zusammen kamen bei dem Unfall ums Leben der Adjutant des Gauleiters Oberleutnant Schulz-Wiedemann, der bereits in Danzig als Referent der dem damaligen Senatspräsidenten Greiser unterstehenden Abteilung des Inneren zu den engen Mitarbeitern Greisers gehörte, und der Amtsgehilfe Hey, der ebenfalls schon in den Diensten des Danziger Senats gestanden hat.

*

Unseren Gauleiter und Reichsstatthalter hat ein schweres Unglück getroffen. Ein unverständliches Schicksal entriß ihm den einzigen Sohn. Der Gauleiter verlor gleichzeitig seinen Adjutanten und einen pflichtgetreuen Mitarbeiter, die ihm beide aus den Jahren der Danziger Tätigkeit eng verbunden waren.

Das Deutschtum des Warthegaues hörte gestern zur Wintersonnenwende zusammen mit den Volksgenossen aller Gaue des Großdeutschen Reiches den Gauleiter. Ungeachtet des schweren persönlichen Schicksalsschlages, der ihn am gleichen Tage getroffen hatte, war Gauleiter Greiser auf dem Festplatz am Posener Schloß erschienen, um als der führende Nationalsozialist des Warthegaues von dem Licht zu sprechen, das dem deutschen Volk durch den Führer und die Weltanschauung des Nationalsozialismus gebracht worden ist.

Das Deutschtum Posens empfand wohl, was den Gauleiter in dieser Stunde bewegte. Worte vermögen bei so tiefem persönlichen Leid nicht viel. Aber auch ohne viele Worte kann Gauleiter Greiser davon überzeugt sein, daß die deutschen Volksgenossen im ganzen Warthegau, ob in der Gauhauptstadt selbst, ob in Hohensalza oder Lodsch, in Birnbaum oder Kempen mit ihrem Gauleiter schon heute in einer Gemeinsamkeit des Fühlens und Denkens zusammengeschlossen sind, die den Urgrund einer wahren Kameradschaft bildet. Diese Kameradschaft wollen wir dem Gauleiter als unser Geschenk zu diesem von Trauer erfüllten Weihnachtsfest darbringen. K. H. F

Krótka informacja o śmiertelnym wypadku syna gauleitera zamieszczona wewnątrz numeru „Ostdeutscher Beobachter" z 22 grudnia 1939 roku.

Jahrgang 17 Nummer 52 — Einzelpreis 15 Rpf

Ostdeutscher Beobachter

Organ der Nationalsozialistischen Deutschen Arbeiterpartei

Verlag und Schriftleitung: Martinstraße 76. Fernruf 1478, 1725 und 1825. Telegramm-Anschrift: Beobachter Posen. Postscheckkonto Breslau: Ostdeutscher Beobachter Nr. 6184. Der „Ostdeutsche Beobachter" erscheint siebenmal wöchentlich morgens.

Posen, Freitag, 22. Dezember 1939

Bezugspreis monatlich RM 2.50 zuzügl. 35 Rpf Trägerlohn. Bei Postbezug RM 2.50 zuzügl. Postbestellgeld. Anzeigen lt. Preisliste 1. Anzeigenschluß am Tage vor Erscheinen 16 Uhr, für die Sonntags- und Montagsnummer Sonnabend 12 Uhr. Gerichtsstand und Erfüllungsort Posen.

Der ewige Kraftquell unseres Brauchtums

Die Wintersonnenwendfeier in Posen — Ganz Deutschland hörte Gauleiter Arthur Greiser

Posen, 22. Dezember. Ein starkes Bekenntnis zum deutschen Osten legten gestern die Gauhauptstadt und der Warthegau in der Wintersonnenwendfeier vor dem Posener Schloß ab. Mit unseren Volksgenossen und Rückwanderern bekannte sich ganz Großdeutschland zum deutschen Ostraum durch Gemeinschaftsempfänge dieser über alle deutschen Sender übertragenen Feierstunde. Gauleiter und Reichsstatthalter Arthur Greiser gab ihr angesichts des mächtig zum Himmel lodernden Flammenstoßes dadurch eine besondere Weihe, daß er die endgültige und unlösbare Verbundenheit des Warthegaues mit dem Großdeutschen Reich vor diesem Forum der Welt erneut und nachhaltig unterstrich.

Im großen Viereck waren die Formationen und Gliederungen der Partei angetreten; Ehrenkompanien der Schutzpolizei und des Selbstschutzes, Hitler-Jugend und Bund deutscher Mädel, und vor allem zahllose Baltendeutsche, die wohl zum ersten Mal in ihrem Leben einer solchen nationalsozialistischen Feierstunde unter freiem Himmel beiwohnten.

Mächtig wölbte sich der Nachthimmel über dem Platz; ein kalter Wind blies, und laut hallte dem Gauleiter und Reichsstatthalter Arthur Greiser nach seinem Eintreffen der Gruß der Ehrenformationen entgegen.

Schlicht mit Tannengrün und dem Symbol Großdeutschlands geschmückt die Ehrentribüne, auf der der Gauleiter mit den Männern seiner Begleitung Aufstellung nahm. Ein prächtiges Bild: Vor dem Podium die Ordensjunker, um den noch leblosen Holzstoß vier Hitler-Jungen mit Tannenkränzen und vier Fackelträger, dort das Schwarz der Uniformen des Selbstschutzes, hier die hellen Mäntel der Beamten der Zollverwaltung und dort wieder die blitzenden Aufschläge hoher Militärs, und zwischen all dem Fackeln, deren Schein magisch aufleuchtete…

Unbemerkt war indessen Gaupropagandaleiter Pg. Maul vor die Mikrophone des Reichsrundfunks getreten, um hier mit knappem Wort darzulegen, wie deutsch dieses wiederbefreite Ostland ist. Welch großes Wissen aber lag über allen, die dieser Stunde hier auf diesem Platz beiwohnten, umweht von herber Winterkälte — welch Größe lag darin, zu wissen, daß um die gleiche Stunde Millionen Deutscher denselben Worten lauschten, derselben Feier zuhörten, die auch in ihre Herzen sich brennen sollte…

Feierliche Totenehrung

Dumpfer Trommelwirbel aus den Landsknechtsschlägeln der HJ. im Trauermarsch marschierten HJ und BdM hinter dem Podium auf, und nun der Fackelbrand knisternd in den Holzstoß fuhr und die Lohe funkensprühend hoch aufsprang, nun erklang das „Heilig Vaterland…", gesungen von den frischen Stimmen der Jugend des Führers. Schwarz und unbeweglich ragten die Gestalten der Kranzträger im gleißenden Rot der Lohe, deren Sprühen fast den Himmel zu überdecken schien. Nur manchmal, wenn der Wind knisternd in den Brand fuhr und die Flamme fast zu Boden drückte, strahlte ein bleicher Mond vom Dunkel des Himmels herab, gleich wieder verschwunden im Glosen des Feuers. Flammensprüche hallten getragen und ernst über die Hörenden, verklangen im Liede „Flamme empor" — und ernste Feierlichkeit senkte sich dann hernieder zum Totengedenken. In hohem Bogen fielen die vier Kränze, den Toten des Weltkrieges und dieses Krieges, den ermordeten Volksdeutschen und den Blutopfern der Bewegung geweiht, in den prasselnden Brand. Und über die verzehrenden Flammen hinweg klang der Feuerspruch der Deutschen in Posen auf; jenes Lied, das alles Leid und alle Zuversicht auf die längst Wahrheit gewordene Befreiung nun für immer festhalten wird.

Dann sprach der Gauleiter angesichts des Flammenstoßes. Ernst und langsam fielen seine Worte, die den Rechtsanspruch Deutschlands auf diese Ostgebiete für immer verankerten. In seiner Rede führte er folgendes aus:

Der Gauleiter spricht

„Meine deutschen Männer und Frauen des Warthegaues, deutsche Jugend von Posen, darüber hinaus deutsche Männer und Frauen, die ihr überall an den Lautsprechern aller deutschen Sender im Großdeutschen Reiche mithört!

Ebenso wie wir seit Jahrzehnten im harten Grenzlandkampfe und nun auch wieder in den letzten Monaten in der blutigen Auseinandersetzung eines Krieges um unseren Boden gekämpft haben, taten unsere Vorfahren in grauer Vorzeit Jahrhunderte und Jahrtausende hindurch das gleiche. Auch sie mußten sich jede Handbreit des Bodens, der sie, ihre Familien und ihre Nachkommenschaft ernähren sollte, erkämpfen. Im Kampf gegen die Gewalt der Natur, im Kampf gegen wilde Tiere und im Kampf gegen mißgünstige und neidische Menschen wurden sie zu jenen Trägern harten Kampfeswillens, aber immerwährender fester Siegeszuversicht und jederzeitiger entschlossener Kriegsbereitschaft, wie wir sie in der überlieferten Geschichte als den Stamm der Germanen kennen.

In diesem Kampf um das Schicksal des einzelnen und seiner Familie, um das Schicksal seiner Sippe und seines Stammes gab es damals noch keinerlei Auseinandersetzungen geistiger Art über wissenschaftliche Theorien oder wissenschaftliche Erkenntnisse. Diese Dinge mußten jenen Männern, die durch die Härte ihrer Zeit täglich neu zum kämpferischen Wagnis bereit sein mußten, fremd bleiben. Die ewigen Naturgesetze waren neben den Dingen ihrer Sippe die selbstverständlichen Gegebenheiten, die für die Ordnung ihres Lebens einzig und allein Sinn und damit Bestand hatten.

Der Anschauungsunterricht über diese ewigen Gesetze der Natur fand nicht in einer Schulstube oder in einem Untersuchungslaboratorium statt, sondern die freie und große Bühne der Natur selbst war es, auf der sich die Allmacht jenen kämpferischen Menschen offenbarte.

In dieser Offenbarung traten zwei in ihrer Beständigkeit immer wiederkehrende Erkenntnisse in den Vordergrund. Die Tatsache, daß Regen von Sonnenschein und Finsternis von Licht abgelöst wurde, auf der sich die Allmacht jenen kämpferischen Menschen offenbarte.

Fortsetzung auf Seite 2

Ein Bild von der Feierstunde auf dem Schloßplatz

Deutsch-italienische Umsiedlung beginnt

Reichsführer SS Himmler beim Duce — Lange und herzliche Unterredung

* Rom, 21. Dezember. Der Reichsführer SS und Chef der deutschen Polizei, Himmler, der, wie bereits gemeldet, Mittwoch in Rom eingetroffen ist, begab sich in den Palazzo Venezia, wo er mit dem Duce eine lange und herzliche Unterredung hatte.

*

Zwischen der Reichsregierung und der faschistischen Regierung ist für die Umsiedlung der Deutschsprachigen in Oberetsch folgendes vom Reichsführer SS Himmler und Unterstaatssekretär im italienischen Innenministerium, Buffarini, unterzeichnetes Abkommen getroffen worden.

„Auf Grund der zwischen der Reichsregierung und der Faschistischen Regierung getroffenen Vereinbarung ist es bis zum 31. Dezember 24 Uhr den Deutschsprachigen der Provinz Bozen und der entsprechenden Gebiete der Provinzen Udine, Trento und Belluno, die unter die Abkommen fallen, frei und spontan gestattet, entweder für die deutsche Staatsangehörigkeit aus Anhänglichkeit an das Stammland oder über die Umsiedlung frei zu optieren, oder weiter unter Verbleib in den vorgenannten Provinzen italienische Staatsangehörige unter Beibehaltung aller sich daraus ergebenden Rechte und Pflichten zu sein."

Das Abkommen besagt weiter, daß wieder Deutschsprachige beiderlei Geschlechts ungehindert bei den Gemeindebehörden oder bei den deutschen Stellen die entsprechenden Formulare für die Option für Deutschland oder Italien ausfüllen und abgeben können.

Feierstunde für Rückwanderer

* Berlin, 22. Dezember. Im Reichsministerium für Volksaufklärung und Propaganda findet am heutigen Freitag eine Feierstunde statt, zu der Reichsminister Dr. Goebbels Rückgeführte und Rückwanderer eingeladen hat. Im Rahmen dieser Feierstunde wird Dr. Goebbels das Wort ergreifen. Die Uebertragung über alle Sender findet um 16 Uhr statt.

Französischer Aufklärer abgeschossen

* Berlin, 21. Dezember. Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt: Im Westen etwas lebhaftere örtliche Artillerietätigkeit. Ein französischer Nahaufklärer wurde kurz nach Ueberfliegen der Grenze durch deutsche Jagdflieger in Gegend Pirmasens abgeschossen.

Ein neues Kriegsziel: Helgoland

(Von unserem Korrespondenten)

Brüssel, 22. Dezember. Die Pariser Hetzmeute Taboulis, für die der Krieg ein willkommener Anlaß ist, ihre Phantastereien endlos auszudehnen, weist auf die militärische Bedeutung Helgolands hin. Diese Festung sei, so meint sie, für England ein recht unangenehmes Hindernis. Infolgedessen müsse es eines der wichtigsten Kriegsziele sein, England die Insel Helgoland zu verschaffen.

Die baltischen Völker vor der Bewährung

Von

Dr. Hans von Rimscha

In diesen Tagen verlassen die letzten Baltendeutschen Lettland. Die Deutschen Estlands sind bereits seit einigen Wochen fast vollzählig im Reich. Damit wird die Räumung beendet sein, und die baltischen Lande im engeren Verstande des Wortes, d. h. das Gebiet des früheren Ordensstaates, der späteren Ostseeprovinzen Rußlands und schließlich der Republiken Estland und Lettland (Litauen hat bekanntlich historisch und politisch eine besondere Entwicklung genommen), das Baltenland, wird damit in einen neuen Abschnitt seiner Entwicklung treten.

Das große geschichtliche Ereignis der Umsiedlung ist bisher in der deutschen Oeffentlichkeit selbstverständlich in erster Linie vom Blickpunkt des deutschen Volkes aus betrachtet worden. Die Umsiedlung wurde als der große Wendepunkt in der Geschichte der in ihr Vaterland heimgekehrten Baltendeutschen empfunden und entsprechend gewertet. Darüber hinaus bedeutet aber diese Rücksiedlung ohne allen Zweifel auch einen entscheidenden Wendepunkt in der Geschichte jener Völker, mit denen die Baltendeutschen 750 Jahre lang eine gemeinsame Heimat hatten und die jetzt im Baltenlande zurückblieben, der Letten und Esten. Diese Völker sind in Wahrheit erst jetzt und nicht schon im Jahre 1918 vor ihre geschichtliche Bewährungsprobe gestellt worden.

Im Jahre 1918, nachdem zuerst Rußland und dann Deutschland zusammengebrochen waren, erhielten die Letten und Esten ihre politische Selbständigkeit als ein Geschenk des Schicksals. Sie haben sich ihre Unabhängigkeit und staatliche Souveränität nicht im Kampfe erobert, sondern diese Unabhängigkeit fiel ihnen geradezu in den Schoß. Es galt für sie damals nur eine Gelegenheit, die ihnen weitaus größere Chancen gab, als sie es je erträumt hatten, nicht vorbeigehen zu lassen, sondern sie zu ergreifen. Und das haben sie verstanden. Es bleibt aber die unverrückbare geschichtliche Tatsache bestehen, daß die Voraussetzung für die politische Selbständigkeit der Letten und Esten, nämlich die Loslösung von Rußland, nicht durch die eigene Kraft dieser Völker erfolgte, sondern nur durch den Sieg der deutschen Waffen im Weltkriege möglich wurde. Die Loslösung des Baltenlandes aus dem Bereiche des deutschen Einflusses erfolgte wiederum nur infolge des deutschen Zusammenbruches, und die Stellung, die die baltischen Völker im Laufe der letzten 20 Jahre im politischen Leben einnehmen konnten, wurde nur durch die Starrheit des Versailler Systems ermöglicht und gründete sich auf die Fiktion der Gleichheit der Völker.

Die westlichen Ideologen behaupten zwar, das Versailler System hätte den Zweck gehabt, die Machtgelüste der im Kriege zusammengebrochenen Großen — Deutschlands und Rußlands — in Schranken zu halten. In Wirklichkeit hat aber das Versailler System nur die natürliche Gewichtsverteilung und damit ein stabiles Gleichgewicht überhaupt unmöglich gemacht. Und so lebten im Norden und Osten Europas die Kleinen davon, daß das natürliche Gewicht der im Weltkriege zusammengebrochenen Großen sich nicht auswirken konnte. Als Deutschland dann begann, die Fesseln von Versailles zu sprengen und als die künstlich errichteten Mauern und Wälle einstürzten, da begann sich natürlicherweise das größere Gewicht der Großen in wachsendem Maße geltend zu machen.

Für die baltischen Völker bedeutete das in erster Linie die Notwendigkeit, ihr Verhältnis

„Wieczne źródło siły naszego zwyczaju" – informował w tytule na pierwszej stronie dziennik „Ostdeutscher Beobachter" z 22 grudnia 1939 roku.

„Wczoraj rano śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu uległ 15-letni jedyny syn gauleitera i namiestnika Rzeszy Greisera. Razem z nim w wypadku zginęli adiutant gauleitera porucznik Schulz-Wiedemann, który już w Danzig [Gdańsku]*, jako referent w podlegającym ówczesnemu prezydentowi Senatu Greiserowi Wydziale Spraw Wewnętrznych należał do ścisłych współpracowników gauleitera, i urzędnik pomocniczy Hey, będący również w służbie gdańskiego Senatu. Naszego gauleitera i namiestnika Rzeszy spotkało wielkie nieszczęście. Niezrozumiałe fatum wyrwało mu jego jedynego syna. Jednocześnie gauleiter stracił swojego adiutanta i obowiązkowego współpracownika, którzy z czasów jego gdańskiej działalności byli mu bliscy. Wczoraj niemieccy mieszkańcy Warthegau z okazji Dnia Przesilenia Zimowego razem z innymi towarzyszami ze wszystkich okręgów Wielkoniemieckiej Rzeszy usłyszeli gauleitera. Nie bacząc na okrutny cios, który na niego w tych dniach spadł, gauleiter poja-*

wił się na placu obchodów przed poznańskim zamkiem, aby jako przewodzący narodowym socjalistom w Warthegau opowiedzieć o świetle, które niemieckiemu społeczeństwu dał Führer i narodowosocjalistyczny światopogląd".

Na zakończenie artykułu jego autor, ukryty pod inicjałami K.H.F., pisze, że naród niemiecki z Warthegau, *„czy to w samej stolicy okręgu, czy to w Hohensalza lub Lodz, w Birnbaum lub Kempen, już dzisiaj łączy się ze swoim gauleiterem we wspólnocie uczuć i myśli, która to wspólnota jest podstawą prawdziwego braterstwa. Braterstwo to chcemy przynieść gauleiterowi jako nasz prezent na to smutkiem wypełnione święto Bożego Narodzenia".* Dodam jeszcze, że padające w artykule nazwy miast to Inowrocław, Łódź, która wkrótce zostanie przemianowana na Litzmannstadt, Międzychód i Kępno.

Piętnastoletni Erhardt był synem Greisera z jego pierwszego małżeństwa z Ruth Tripler. Miał z nią troje dzieci: dwie córki – Ingrid i Rotraut oraz właśnie Erhardta. Małżeństwo to rozpadło się w 1934 roku. W roku następnym Greiser ożenił się z jedenaście lat od niego młodszą pianistką Marią Koerfer. Na ich ślubie obecny był m.in. Reichsführer SS i szef policji niemieckiej Heinrich Himmler. Fotograf wykonujący zdjęcia z tej rodzinnej uroczystości utrwalił też jedenastoletniego wtedy Erhardta, kręcącego się między Greiserem a Himmlerem. Cztery lata później

Maria i Arthur Greiserowie podczas ślubu 9 kwietnia 1935 roku. Między Greiserem a Heinrichem Himmlerem stoi jedenastoletni wówczas Erhardt.

jego ojciec w nekrologu zamieszczonym w „Ostdeutscher Beobachter" napisze, że *„młode życie* [Erhardta] *wypełniała wiara w Niemcy i w swego Führera".*

Matki nie zaproszono

„Ostdeutscher Beobachter" nie podał żadnych szczegółów wypadku samochodowego pod Birnbaum, co wśród polskich mieszkańców okręgu Posen zrodziło wiele pogłosek, że raczkujący polski ruch oporu przeprowadził zamach na życie syna Greisera. Mówiono m.in. o gwoździach lub specjalnych kolcach rozrzuconych na szosie na krótko przed przejazdem limuzyny z Urzędu Namiestnika Rzeszy. Ponoć, bo trudno to zweryfikować, inne plotki mówiły o tym, że Erhardt zginął w drodze na zimowy obóz Hitlerjugend, albo zginął w wypadku spowodowanym przez pijanego gestapowca. Inni natomiast sugerowali, że tragiczną śmierć piętnastolatka Niemcy wykorzystają do nakręcenia spirali terroru. Że po prostu będzie ona dogodnym pretekstem do przeprowadzenia kolejnej fali egzekucji Polaków.

Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło. Rozległa się wprawdzie salwa, ale nie plutonu egzekucyjnego lecz policyjnej kompanii honorowej podczas opuszczania do grobów trumien ofiar wypadku na poznańskim cmentarzu ewangelickim św. Łukasza (obecnie to tereny Międzynarodowych Targów Poznańskich). Funkcjonariusze poznańskiej placówki gestapo, do których dotarły krążące wśród Polaków pogłoski, z góry wykluczyli zamach. Po przeprowadzonym skrupulatnym dochodzeniu znakomicie wszak wiedzieli, że limuzyna z Erhardtem Greiserem, Hansem Schulz-Wiedemannem i Theodorem Heyem znalazła się pod Birnbaum przypadkowo. I jeśli już kogoś można byłoby moralnie winić za wypadek, to tylko syna gauleitera. To młody Greiser wymusił na Schulz-Wiedemannie zmiany w podróży… Nie można wykluczyć, że Arthur Greiser zdawał sobie z tego sprawę. Jak po latach wspominał jego kuzyn Harry Siegmund, *„Greiser był tak głęboko poruszony tym zrządzeniem losu, że przez kilka dni nie można z nim było rozmawiać".*

Uroczystości pogrzebowe zorganizowano 23 grudnia. *„Podczas porannej ceremonii w biurze Reichsstatthaltera* [namiestnika Rzeszy – przyp. L. A.] *obecni byli tylko krewni zmarłego oraz kilku przyjaciół gauleitera. Greiser nie pozwolił Ruth, swej pierwszej żonie i matce Erhardta, na udział w uroczystości. Mowę pogrzebową wygłosił pułkownik Bethke. Według krótkiego sprawozdania prasowego, »pułkownik Betke, jako najbliższy przyjaciel i dawny towarzysz broni gauleitera, wygłosił krótką mowę podczas skromnej uroczystości, której oprawę stanowiły dźwięki orkiestry smyczkowej«"* – napisała Catherine Epstein w znakomitej biografii „Wzorcowy nazista. Arthur Greiser i okupacja Kraju Warty".

Wypadek na przejeździe kolejowym

Co naprawdę wydarzyło się 21 grudnia 1939 roku koło Birnbaum? Jedną

Na dziedzińcu zamku w Posen płonie ognisko. Obchody Dnia Przesilenia Zimowego w 1939 roku na kadrze z niemieckiej kroniki filmowej.

Dziedziniec zamku poznańskiego na współczesnym zdjęciu.

z dwóch wersji wydarzeń przedstawił prof. Czesław Łuczak w wydanej w 1997 roku pracy „Arthur Greiser. Hitlerowski władca w Wolnym Mieście Gdańsku i w Kraju Warty". Otóż Erhard Greiser uczący się w szkole średniej dla hitlerowskiej młodzieży o nazwie Nationalsozialistische Deutsche Oberschule (Narodowosocjalistyczne Gimnazjum Niemieckie) w Starnbersee koło Feldafing, na początku drugiej połowy grudnia 1939 roku przyjechał do Posen, by świąteczno-noworoczne ferie spędzić z ojcem. *„Dla ich uprzyjemnienia* – pisał Łuczak – *Greiser postanowił zorganizować dla syna kilka wycieczek po różnych częściach Kraju Warty w celu umożliwienia mu poznania zarządzanego przez ojca terytorium. Już pierwsza z tych wycieczek, odbywająca się w dniu 21 grudnia 1939 r. zakończyła się tragicznie. Obwożący Erhardta samochód zderzył się w okolicach Międzychodu z pociągiem, i w wyniku nieszczęśliwego wypadku zginęli na miejscu on i towarzyszące mu 2 osoby".*

Dużo bardziej szczegółową wersję wydarzeń z tego tragicznego dnia przedstawiła Catherine Epstein we „Wzorcowym naziście". Jej wiedzę na ten temat wzbogacił kuzyn Greisera Harry Siegmund, przed którym namiestnik Rzeszy nie miał tajemnic. Otóż Erhard dopiero jechał do Posen na świąteczne wakacje. Z ojcem umówił się, że podróż pociągiem z Feldafing przerwie we Frankfurcie nad Odrą, dokąd Greiser wyśle po niego samochód. I wielkie było zdziwienie por. Schulz-Wiedemanna, gdy na peronie frankfurckiego dworca kolejowego zauważył Erhardta ze szkolnym kolegą, któremu obiecał, że podrzuci go do jego rodzinnej miejscowości. W dostępnych mi materiałach nie pada jej nazwa i nic też nie da się wyczytać z nazwy miejscowości, koło której doszło do wypadku. Musimy bowiem pamiętać, że w końcu 1939 roku nie było bezpośredniego połączenia Poznania z Frankfurtem nad Odrą przez Pinne (Pniewy), Tirschtiegel (Trzciel) i Schwiebus (Świebodzin). Niemcy dopiero rozpoczynali budowę autostrady, wkrótce zresztą przerywając prace nad tym najkrótszym połączeniem drogowym Poznań0 z Frankfurtem i dalej z Berlinem. W końcu 1939 roku samochody do Frankfurtu jeździły przez Pinne i właśnie okolice Birnbaum (Międzychód), a dalej przez Meseritz (Międzyrzecz) w kierunku Odry. To więc, że limuzyna z młodym Greiserem znalazła się w okolicach Birnabaum, nie dziwi. Gdzieś po drodze zajechano do rodzinnej posiadłości kolegi. *„Chłopak prosił, by Erhardt spędził noc u niego, ale ten chciał jak najszybciej zobaczyć się z ojcem"* – czytamy we „Wzorcowym naziście".

Zbliżał się późny świt najkrótszego dnia w roku.

Na tym peronie dworca kolejowego we Frankfurcie nad Odrą Erhardt Greiser poinformował porucznika Hansa Schulz-Wiedemanna, że w drodze do Posen odwiozą jeszcze jego szkolnego kolegę.

Samochód pędził na wschód nie zważając, że tu i ówdzie od okolicznych jezior osiada mgła. W przyćmionych światłach limuzyny nie za bardzo było widać wszystkie znaki drogowe, w tym te informujące o niestrzeżonym przejeździe kolejowym. Prawdopodobnie Hey nie zauważył ani przejazdu, ani zbliżającego się doń pociągu. Wiele ówczesnych parowozów nie miało oświetlenia elektrycznego. Przy wojennym zaciemnieniu zamontowanych z przodu lokomotyw reflektorów naftowych pędzący w nocy pociąg był praktycznie niewidoczny. Nie wiemy, czy przed przejazdem maszynista dawał sygnały dźwiękowe, a jeśli nawet, to czy Hey je usłyszał.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy.

Parowóz dosłownie zmiażdżył limuzynę z Urzędu Namiestnika Rzeszy, a jadący w samochodzie ludzie zginęli na miejscu.

Odrzucona prośba skazańca

Arthur Greiser nie zapomniał o swym synu. Wielokrotnie publicznie go wspominał, często też odwiedzał cmentarz, gdzie był grób Erhardta. Jedną z takich wizyt omal nie przypłacił życiem. Chcąc się doń dostać o świcie, kiedy bramy cmentarne były jeszcze zamknięte, namiestnik Rzeszy wspiął się na ogrodzenie i spadł, poważnie się raniąc. O Erhardzie Greiser wspomniał też podczas swego ostatniego publicznego wystąpienia jako hitlerowski wielkorządca Kraju Warty. W krótkim przemówieniu, wygłoszonym w zamku poznańskim 20 stycznia 1945 roku tuż po godzinie 18, powiedział:

„Moi panowie, w ciągu jednego, najpóźniej dwóch dni Rusek będzie w Posen. Pozostawiam tu dzieło mego życia. Niedokończone. Jestem z tym krajem głęboko związany. Mój syn spoczywa w tej ziemi. Rozkaz Führera wzywa mnie do Berlina dla wypełnienia zadania przy reichsführerze SS. Mój zastępca przejmie dowództwo".

Gdy godzinę później Greiser uciekał z Poznania, pojazdy świty namiestnika Rzeszy skierowały się na cmentarz ewangelicki, gdzie gauleiter brnąc w śniegu dotarł do grobu syna, nad którym w milczeniu stał przez dłuższą chwilę. Scena ta powtórzyła się nazajutrz, gdy po nocy spędzonej w bazie Luftwaffe w Pniewach, Greiser wyruszył w dalszą drogę do Frankfurtu nad Odrą. Obok przejazdu kolejowego w pobliżu Międzychodu znajdowała się tablica upamiętniająca ofiary wypadku z 21 grudnia 1939 roku. I właśnie przed nią zatrzymał się gauleiter, stojąc w milczeniu przez kilka minut…

Swego syna Arthur Greiser wymienił też w ostatnim słowie wygłoszonym w Auli Uniwersytetu Poznańskiego przed Najwyższym Trybunałem Narodowym. Prosił, by w przypadku skazania go na śmierć mógł spocząć koło Erhardta. Prośby tej nie spełniono. Ciało Greisera, powieszonego 21 lipca 1946 roku na stokach poznańskiej Cytadeli w ostatniej w Polsce egzekucji publicznej, skremowano w piwnicy Collegium Anatomicum. W tym samym piecu, w którym w latach 1939-1945 spalono ponad 4500 zwłok, głównie Polaków.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA I Z KSIĄŻKI CATHERINE EPSTEIN „WZORCOWY NAZISTA", WROCŁAW 2011

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. W połowie 2013 r. ukazały się wydane nakładem Repliki jego „Dymy nad Gdańskiem. Agonia Prus Zachodnich", a w grudniu na półki księgarskie trafi kolejna książka „Na dno szybu. Od Oberschlesien do Górnego Śląska".

REKLAMA

Leszek Adamczewski

NA DNO SZYBU

Od Oberschlesien do Górnego Śląska

Następna książka autora bestsellerów „Łuny nad jeziorami" i „Zmierzch bogów w Posen"!

To zbiór kilkunastu sensacyjnych reportaży historycznych z dziejów Górnego Śląska czasów drugiej wojny światowej. Autor między innymi zagląda za kulisy prowokacji gliwickiej i do wagonów stojącego koło Opola pociągu specjalnego Adolfa Hitlera oraz zastanawia się nad faktycznym przebiegiem obrony wieży spadochronowej w Katowicach.

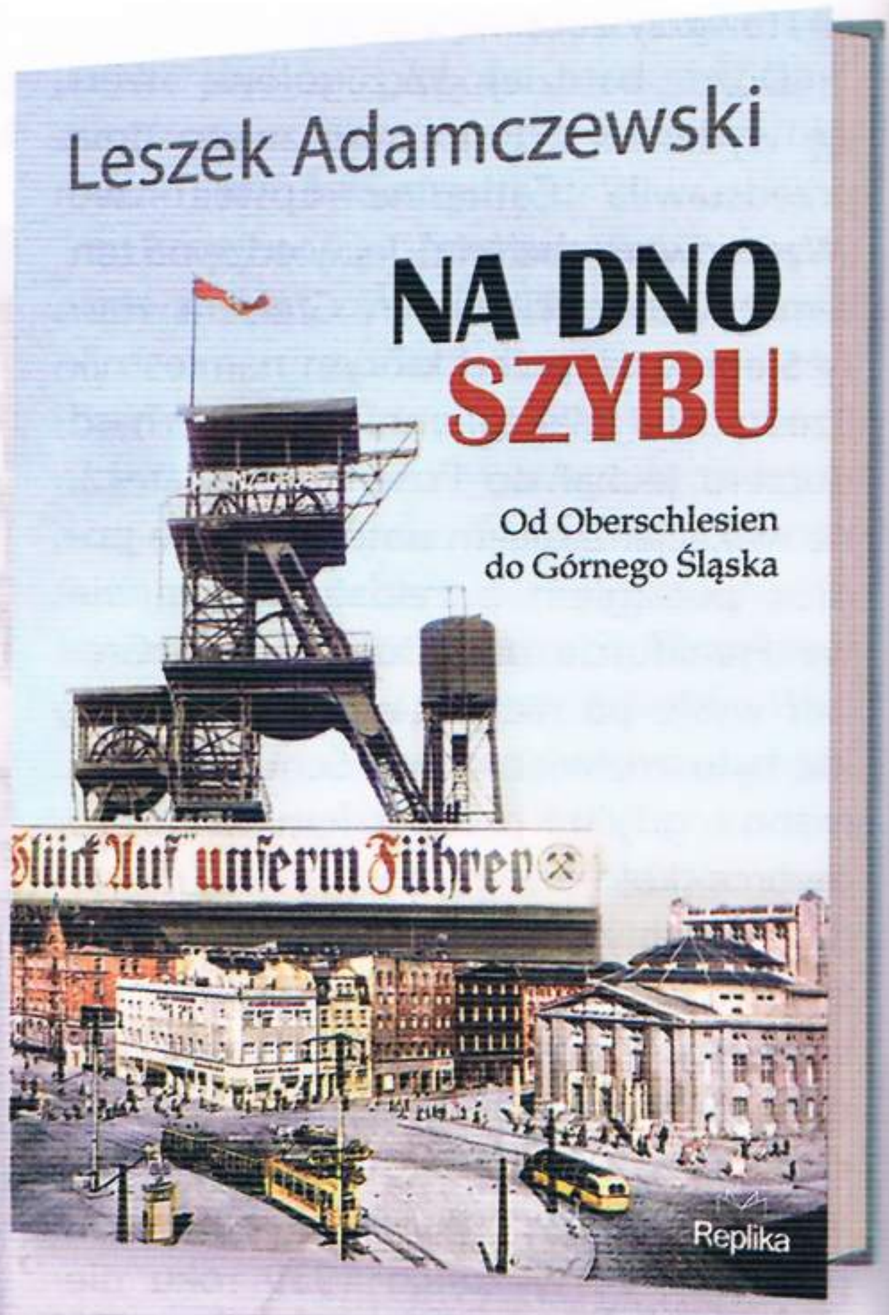

Poleca Wydawnictwo Replika

Wydawnictwo Replika, tel. 61 868 25 37
handlowy@replika.eu
www.replika.eu

konflikty.pl
portal historyczno - militarny

ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTO

WYJĄTKOWA OFERTA

Serdecznie zachęcamy Państwa do prenumeraty „ODKRYWCY"!

- 12 wydań w cenie **147 zł**
(2 egz. gratis – płacisz za 10, a otrzymujesz 12 egz.)
- 6 wydań w cenie **73,50 zł**
(1 egz. gratis – płacisz za 5, a otrzymujesz 6 egz.)

Uwaga – cena zawiera 5% podatek VAT

Prenumerata zagraniczna jest droższa o koszty wysyłki i wynosi:

- półroczna, list zwykły – 107,50 zł
  list priorytetowy – 137,50 zł
- roczna jest dwa razy droższa.

Uwaga – cena zawiera 5% podatek VAT

Dodatkowo,

- Dla WSZYSTKICH prenumeratorów oryginalny, unikatowy kalendarz „Odkrywcy" na rok 2014
- Dla pierwszych 10 prenumeratorów, którzy wykupią ROCZNĄ prenumeratę w grudniu br. mamy prezent – pendrive z kolekcji „Odkrywcy". Decyduje kolejność wpłat.

PRENUMERATA TO GWARANCJA:
- ❑ stałej, niższej ceny,
- ❑ dostawy do domu,
- ❑ dodatków i upominków.

PRENUMERATĘ ZAMAWIAMY:

PROSTO

dokonując wpłaty (wzór obok)

WYGODNIE

wysyłając sms o treści PREN na numer: 0501 675 126
My oddzwonimy i przyjmiemy zamówienie (koszt smsa wg Twojej taryfy)

dzwoniąc do działu prenumeraty pod numer 71 329 71 71

wysyłając faks z zamówieniem pod numer 71 328 83 71

NOWOCZEŚNIE

zamawiając i opłacając bezpośrednio w wydawnictwie przez internet pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

zamawiając przez e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

DZIAŁ PRENUMERATY WYDAWNICTWA IBHiK

ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław
tel. 71 329 71 71
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Historia karczmy Tischbierków w Olszowej

DARIUSZ PIETRUCHA

Ostatnio opowiedziałem Wam o Olszowej, niewielkiej miejscowości koło Ujazdu. Porzucona jednostka wojskowa, ciekawe losy mieszkańców i namacalne ślady przeszłości. Ale jest tam jeszcze jedno niezwykłe miejsce, którego historia wręcz mnie pochłonęła i zauroczyła. Musiałem je odwiedzić, poznać, poczuć jego nastrój, posmakować prawdziwej historii. Byłem tam – w magicznej olszowskiej karczmie. Siedziałem pomiędzy murami, które cicho snuły swoją opowieść. Słuchałem jej z zapartym tchem, bowiem jest niezwykła, wprost niewiarygodna. Teraz mogę Wam wszystko zrelacjonować.

Karczma Tiszbierków – stan obecny.

Przez Olszową przemyka się bardzo szybko. Nic w tym dziwnego, skoro ma obecnie około 250 mieszkańców. Wygląda ładnie. Nawet bardzo. Zadbane domostwa i ich obejścia, cisza i spokój. Wiele takich w województwie opolskim. Nie powiem – uwielbiam takie miejsca. Czas się w nich zatrzymał, choć codzienność żyje swoim własnym rytmem. Wszyscy się tu znają. To normalne. Rodziny są wielopokoleniowe. To też normalne. Każdy dom kryje swoją historię. To nieuchronne. Ale jeden z nich wart jest zatrzymania i poświęcenia mu szczególnej uwagi. Łatwo go poznacie. To stojąca obok drogi wyremontowana karczma, która zachęca gości do posilenia się i odpoczynku. Obok niej znajduje się niewielki, zadbany parking, na którym dumnie rozłożyła się studnia. Inaczej. Ona była tu pierwsza, więc parking nie ma nic do gadania. Przy parkingu znajduje się drewniane zadaszenie opierające się na starej, kamiennej ścianie. Jak starej, nie macie nawet pojęcia. Budynek karczmy świeci w promieniach słońca jasnymi, białymi ścianami. Zaprasza podejściem i szerokimi, wesołymi oknami. Zresztą, jeśli chcecie posłuchać tej historii, musicie wejść do środka. Trzeba przekroczyć próg, by poznać przedziwne losy „Gasthaus Tischbierek".

Pompa wodna stojąca przy studni na parkingu pamięta dawne czasy...

Karczma prawdopodobnie istniała już w XVIII w. Trudno powiedzieć, kto w tych czasach był jej właścicielem. Można jedynie podejrzewać, że była własnością dysponenta Olszowej, który udostępnił ją najemcom. Ówczesnym właścicielem Olszowej (od 1789 r.) był Phillipp Graf Colonna (1755-1807), a po nim już ród von Gaschin (od 1813 r.). Kim byli najemcy karczmy, nie mam zielonego pojęcia. Wiadomo jednak, że w połowie XIX w. karczma stała się własnością jednej z miejscowych rodzin noszącej nazwisko Tischbierek. Zakupił ją Johann Tischbierek (1838-1917), zapewne z zamiarem uczynienia z niej dochodowego, rodzinnego interesu. Ryzykował, bo w tym czasie na Opolszczyźnie nie działo się najlepiej. Sporo ludzi emigrowało, szukając dla siebie nowego miejsca na ziemi. Górny Śląsk w szybkim tempie industrializował się, ale Opolszczyzna przeżywała to w mniejszym stopniu. Johann zaryzykował. No i miał rację. Karczma stała się własnością Tischbierków na następne pokolenia.

Tischbierek. Dość charakterystyczne nazwisko. Szukając informacji o jego pochodzeniu, natknąłem się na dwa wyjaśnienia. Pierwsze mówi, że pochodzi z języka niemieckiego i jest połączeniem dwóch słów: „tisch" („stół", może też w znaczeniu „stolarz") i „bier" („piwo") z dodaniem polskiej końcówki „ek". Druga wersja odwołuje się do legendy. Podobno w połowie XVII w. jeden z hrabiów Colonna, przejeżdża-

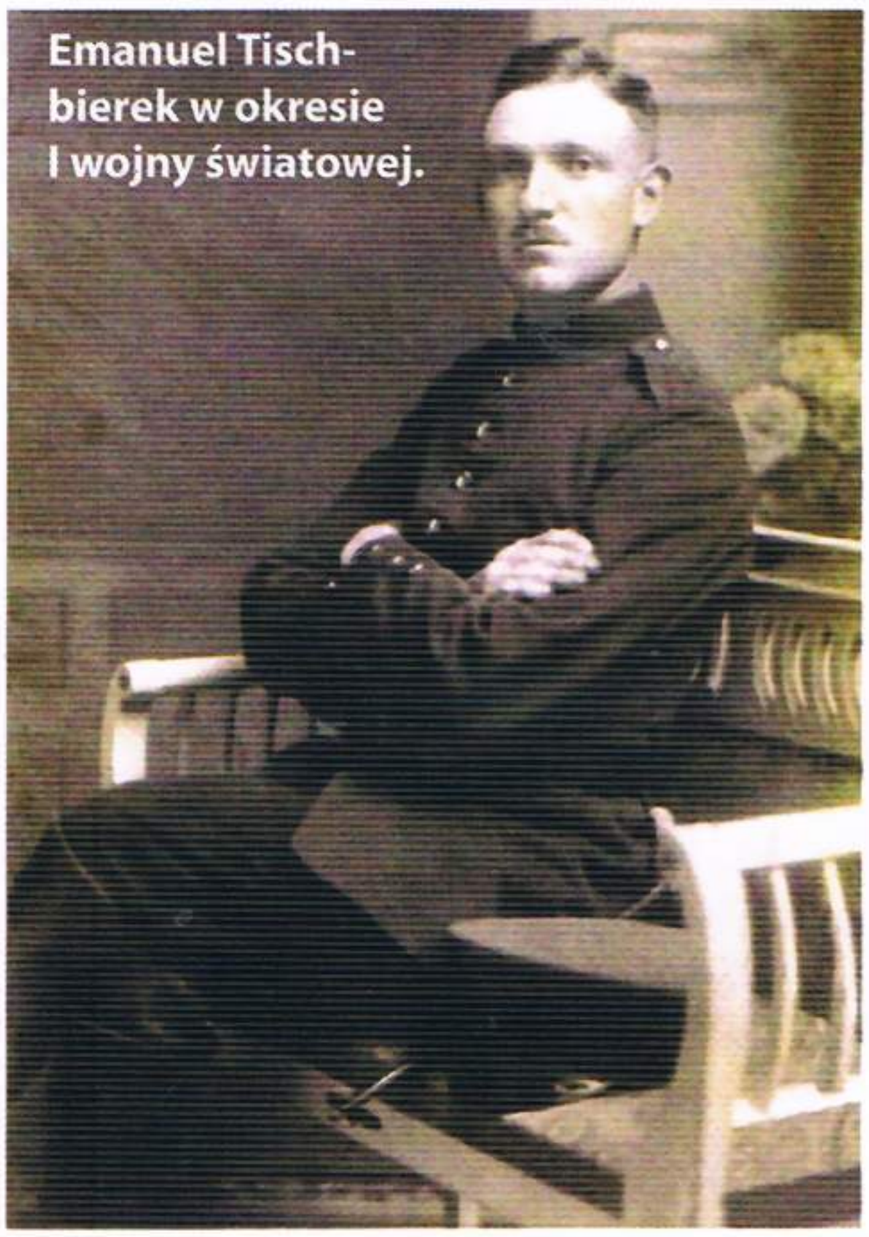

Emanuel Tischbierek w okresie I wojny światowej.

Franciszka i Emanuel Tischbierek.

jąc przez Zalesie Śląskie, natknął się na bezdomnego chłopca. Zainteresował się jego losem i polecił jednemu z gospodarzy, aby się nim zaopiekował. Chłopak, po śmierci swojego opiekuna, zgodnie z życzeniem hrabiego, miał odziedziczyć gospodarstwo. Według tej wersji nazwisko pochodzi od polskich słów: „tys" i „biera", co oznacza przybranego chłopca (syna) albo parobka, który otrzymał wolne gospodarstwo od swego pana. Faktem jest, że nazwisko występuje w Polsce tylko na Opolszczyźnie i koncentruje się w regionie Opola i Strzelec Opolskich. Na mapie obrazującej gęstość występowania danego nazwiska aż czerwono w tym rejonie. Ale powróćmy do karczmy.

W 1886 r. Johann dokonał przebudowy obiektu, dzięki czemu karczma stała się większa. Budynek został podniesiony o jedną kondygnację, a na poddaszu urządzono pokoje gościnne. W 1900 r. dokupił od sąsiada Mainischa (kolejna rodzina znana z okolic Strzelec Opolskich, której genealogia nazwiska wywodzi się od słowa „żołnierz" – właściwie rodzaj rodzinnego klanu) działkę, na której w 1901 r. wzniósł budynek mieszkalny i chlewnię wraz z oborą. Nie ma już po nich śladu, zostały wyburzone w 2007 roku. Pozostała jedynie kamienna, stojąca przy parkingu ściana, jako relikt ówczesnej zabudowy. Stoi i wspomina dawne dzieje. To były dobre czasy dla karczmy i jej właścicieli. Johann był trzykrotnie żonaty. Dwie z jego żon pochodziły ze wsi Poręba koło Leśnicy. Z drugą miał dwoje dzieci, które zmarły w czasie zarazy. Druga żona być może też. Johann ożenił się po raz trzeci, tym razem z Pauliną z Olszowej, która urodziła mu trójkę dzieci: Sofię, Emanuela i Viktora.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, a gazety zapełniły się doniesieniami z frontu i nekrologami, w karczmie też zaszły zmiany. W grudniu 1914 r. interes przejął Emanuel Tischbierek (1888-1945), syn Johanna. Nie „porządził" jednak długo. Jako obywatel cesarskich Niemiec musiał ubrać się w mundur i walczyć. Gdy w 1928 r. zmarła jego pierwsza żona Marianna, pozostawiając mu na wychowanie trójkę dzieci, Emanuel przestał zajmować się karczmą. Oddał ją w dzierżawę rodzinie Galla. W 1929 r. ponownie się ożenił. Drugą żoną była Franciszka pochodząca z pobliskiego Ujazdu. Z tego związku rodzi się dwójka dzieci – Hubert i Josef.

Franciszka, którą widzimy na zdjęciu, była silną i stanowczą kobietą posiadającą dobry zmysł do interesów. Dzięki niej dla karczmy wróciły dobre lata. Emanuel wraz z Franciszką sprawnie prowadzili karczmę aż do 1945 r. Przed wybuchem wojny zajmowali się ubojem świń, a także wyrobem alkoholu, co przynosiło znaczne zyski. Ich produkty były cenione i lubiane, a karczma nie narzekała na brak gości. Wspólnie założyli zakład masarski produkujący artykuły wędliniarskie, które cieszyły się dużym powodzeniem. Podobno sporządzane były wg receptury właścicieli karczmy. Obok karczmy powstał sklep, w którym sprzedawano wędliny i mięso z uboju. Co piątek urządzano świniobicie. Gdy przed wybuchem wojny w okolicach Olszowej Niemcy ulokowali obozy dla robotników pracujących przy budowie autostrady, niemiecka kadra techniczna z ochotą odwiedzała karczmę, wiedząc, że u Tischbierków można najeść się do syta i napić do woli. Oferta była bogata. Oprócz własnej produkcji gorzałki gospodarze serwowali piwo pochodzące z pobliskiego browaru, wino lub napoje chłodzące.

Karczma została urządzona w stylu myśliwskim. Jej ściany ozdabiały poroża i skóry zwierząt upolowanych w pobliskich lasach. Nawet ławy obito zwierzęcą skórą. Już od 1926 r. karczma była podpięta pod sieć elektryczną, więc używane wcześniej lampy spirytusowe czy naftowe, odeszły do lamusa. Emanuel urządził w karczmie bufet i salę taneczną. Nad wejściem powiesił ozdobną tablicę z napisem „Gasthaus Johann Tischbierek". Trudno powiedzieć, czy tablica faktycznie nie pochodziła jeszcze z czasów Johanna. Po jakimś czasie Emanuel zmienił nazwę na „Gasthaus Emanuel Tischbierek". To były dobre lata…

W 1939 r. rozbrzmiały pierwsze strzały II wojny światowej i wszystko się zmieniło.

Dlaczego? Po pierwsze wprowadzona przez Niemców reglamentacja żywności znacznie utrudniła prowadzenie karczmy. Po drugie, w 1940 r. w karczmie pojawili się nowi i niespodziewani goście – o tym jednak za chwilę. Gdy w styczniu 1945 r. okoliczne tereny znalazły się we władzy Sowietów, Emanuel został wywieziony w głąb ZSRR – miało to miejsce w lutym 1945 roku. Cztery miesiące później już nie żył. Podobno zmarł na tyfus.

A teraz najciekawsza część opowieści.

W grudniu 1940 r. do gospodarstwa Tischbierków przywieziono grupę 80 brytyjskich jeńców. Prawdopodobnie byli to Brytyjczycy przebywający w obozie jenieckim w Łambinowicach (niem. Lamsdorf), czyli ze Stalagu VIIIB, który pozostawał pod jurysdykcją Wehrmachtu. Brytyjczycy wpadli do niemieckiej niewoli podczas kampanii francuskiej 1940 roku. Być może część z nich dotarła do Olszowej później. Jeńcom towarzyszyło 9 niemieckich żołnierzy. Wszystkich zakwaterowano w budynku karczmy Tischbierków. Karczma w pewnym sensie stała nieużyteczna, bowiem z powodu wspomnianej reglamentacji nie mogła normalnie działać. Bry-

tyjscy jeńcy spali w dużej sali tanecznej, a niemieccy wartownicy w pokojach gościnnych. Jeńcy pracowali przy wyrębie lasu, a także w prywatnych gospodarstwach rolnych. Według wspomnień mieszkańców, w pierwszej połowie 1940 r. okoliczne tereny nawiedził silny orkan, który powalił masę drzew. Jeńcy pracowali przy usuwaniu skutków tego żywiołu, chociażby porządkując pobliski las nazywany „Kuczesz". W kwietniu 1941 r. pięćdziesięciu z nich przeniesiono do dwóch innych miejsc – do Sieroniowic (niem. Grünheide) i na Górę św. Anny (niem. Annaberg). Na miejscu w karczmie pozostało trzydziestu Brytyjczyków. Ich ochronę ograniczono do dwóch niemieckich żołnierzy. Wszyscy nadal mieszkali w karczmie Tischbierków. Wątpię, czy Emanuel i Franciszka byli z tego zadowoleni, ale nie mieli innego wyjścia. Wojna to wojna.

Łambinowicki Stalag VIIIB, z którego wysłano Brytyjczyków do Olszowej w 1943 r., stał się Stalagiem 344, a nazwę Stalag VIIIB przejął obóz w Cieszynie. W listopadzie 1943 r. dotychczasowe kierownictwo Stalagu VIIIB przeniesiono z Łambinowic do Cieszyna. Komanda robocze tych stalagów, grupujące brytyjskich jeńców, określano literą „E" i odpowiednim numerem. Dlaczego brytyjscy żołnierze nagle znaleźli się w Olszowej? Odpowiedź jest prosta. Większość miejscowych mężczyzn walczyła na froncie w niemieckich mundurach, brakowało więc rąk do pracy. Praca na roli to ciężka harówka. Kobiety nie dawały rady, więc potrzebni byli mężczyźni. Stąd też idea powstania brytyjskiego komanda roboczego w Olszowej.

Brytyjczycy w karczmie Tischbierków przebywali do jesieni 1944 r., kiedy to ewakuowano ich na zachód. Jednakże od końca 1943 r. podlegali już Stalagowi w Cieszynie. Niemieccy żołnierze, którzy ich pilnowali, prawdopodobnie służyli w batalionie wartowniczym nr 398, stacjonującym w niedalekich Gliwicach. Ewakuacja komanda już jesienią 1944 r. jest nieco dziwna. Podobno początkowo Niemcy nie mieli zamiaru ewakuować brytyjskich i amerykańskich jeńców z Górnego Śląska. Rozkaz otrzymano dopiero w połowie stycznia 1945 r. Tymczasem Brytyjczyków z Olszowej wywieziono dużo wcześniej. Większość byłych jeńców cieszyńskiego Stalagu zostało wyzwolonych w Bawarii i Saksonii. Całkiem możliwe, że właśnie tam znaleźli się bohaterowie naszej opowieści z Olszowej.

Warto wspomnieć, iż jeńcy brytyjscy byli zupełnie odmiennie traktowani przez Niemców. Mówiąc wprost, o wiele lepiej od innych, co często spotykało się z wrogimi postawami jeńców innych nacji, w tym również Polaków. Brytyjczycy bez problemów dostawali paczki z Czerwonego Krzyża, mieli prawo do opieki lekarskiej i leków (nawet tych przysyłanych z Wielkiej Brytanii), mogli utrzymywać listowny kontakt ze swoimi rodzinami. Co prawda ich listy były cenzurowane przez pracowników Abwehry, jednak mimo trwającej wojny docierały do miejsca przeznaczenia. Brytyjczycy mieli również zapewniony dostęp do książek (głównie o tematyce religijnej i popularnonaukowej). Gdy zdarzyło się, że jakiś niemiecki wartownik wykazał się zbytnim i bezsensownym okrucieństwem wobec brytyjskich jeńców, a także nadużył wobec nich przemocy, był surowo karany przez dowództwo wrocławskiego VIII Okręgu Wojskowego, któremu podlegał obóz w Łambinowicach. Brytyjscy jeńcy mieli w obozie swojego „męża zaufania" – wybranego przez nich samych – który bronił ich interesów wobec władz obozowych (!). Co więcej, ów „mąż zaufania" całkowicie legalnie, za pośrednictwem niemieckiej

Fot. 3

Fot. 4

Fot. 2

Fot. 1

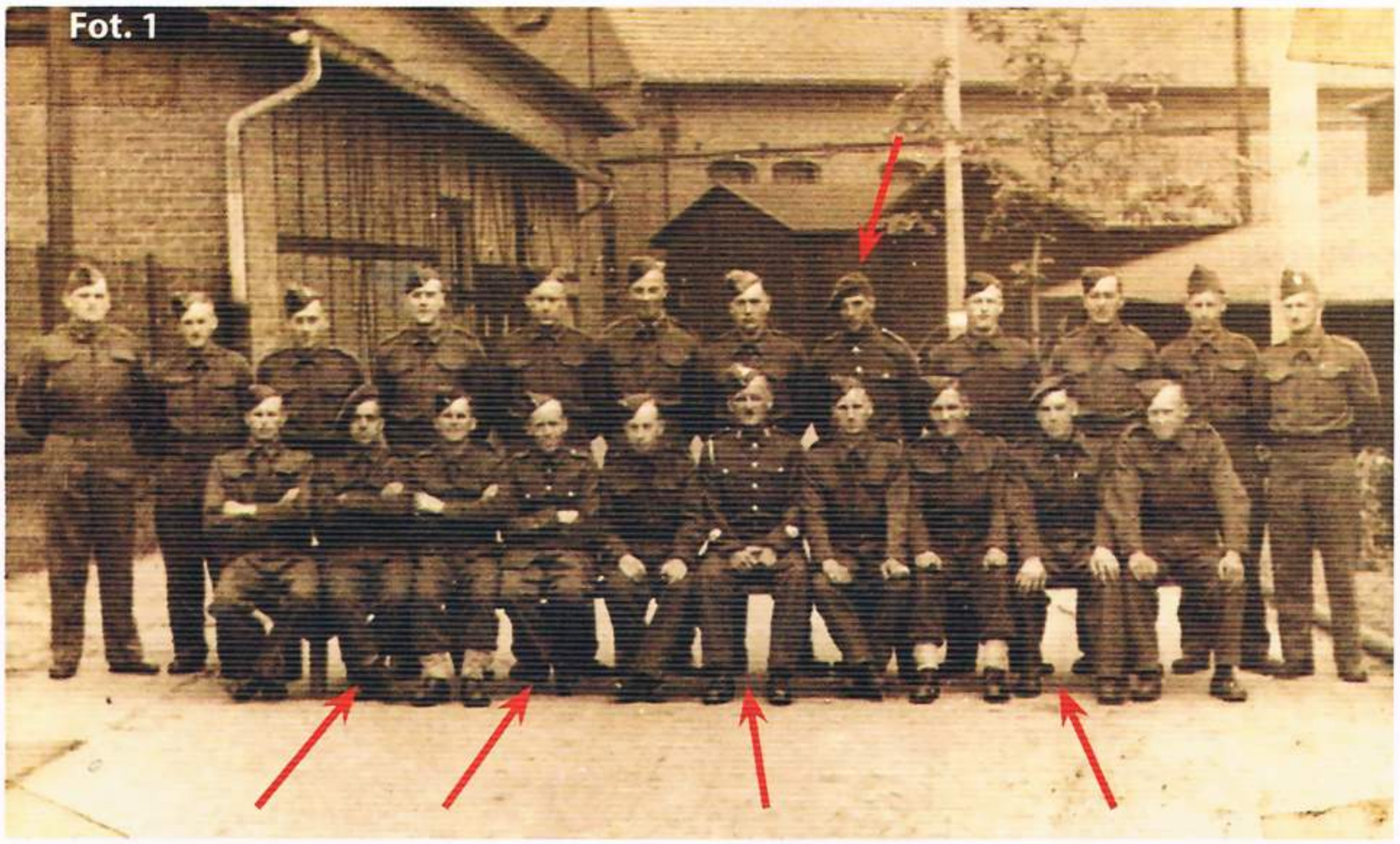

komendantury, przekazywał informacje o jeńcach do ambasady USA, skąd dalej wychodziły w świat. Gdy pod koniec 1941 r. Ameryka przystąpiła do wojny, „mężowie zaufania" nadal przekazywali informacje – tym razem do ambasady Szwajcarii.

W bytomskiej kopalni „Hohenzollern" znajdował się 400-600 osobowy oddział roboczy jeńców brytyjskich „E-72", który uchodził za najcięższy. Ze względu na złą sławę przeprowadziła w nim inspekcję komisja szwajcarskiej ambasady. To dość nietypowe, jak na niemieckie obozy jenieckie. W gliwickich kopalniach znajdował się oddział „E-22", w Łabędach – „E-708", w Zabrzu „E-746", podobny w Mikulczycach, a w Sosnowcu oddziały „E-744" i „E-535". Na gliwickim lotnisku pracował brytyjski oddział roboczy „E-452". Jeńcy, którzy zachorowali, byli kierowani do specjalnych szpitali. Dla tych z Olszowej najbliższe znajdowały się w Toszku, Gliwicach i w Koźlu. W cieszyńskim Stalagu na potrzeby brytyjskich jeńców pracowało 14 brytyjskich lekarzy – również jeńców. Żadna narodowość wśród jeńców nie cieszyła się tak wielkimi przywilejami.

Historia pobytu brytyjskich jeńców w karczmie Tischbierków została doskonale udokumentowana fotografiami. Niestety, ich obecny właściciel Gerard Tiszbierek nie jest w stanie powiedzieć, kto je zrobił. Nie narzekajmy, najważniejsze, że się zachowały. Ze zdjęć spoglądają na nas twarze brytyjskich żołnierzy. Wykonano je jeszcze przed wysłaniem ich do walki, więc są uśmiechnięci i pewni siebie. Wierzą w swoją siłę i w zwycięstwo. Tak czuli się do momentu, gdy na rozkaz swojego dowództwa zostali wysłani do Francji i Belgii. Tam przekonali się, co oznacza wojna i czym był niemiecki Blitzkrieg.

Na owych zdjęciach widać żołnierzy w brytyjskich mundurach, część z nich ma na głowie francuskie furażerki. Trudno powiedzieć, w jakich jednostkach służyli. Francuskie elementy umundurowania mogą sugerować, że zdjęcia wykonano już podczas ich pobytu we Francji, na krótko przed majem 1940 r. lub po wzięciu ich do niewoli. Brytyjscy żołnierze w 1940 r. mieli zakaz noszenia na mundurach jakichkolwiek naszywek identyfikujących ich jednostki. Prawdopodobnie część z nich służyła w 51. Dywizji Górskiej, która właściwie w całości dostała się do niemieckiej niewoli. Większość ma na sobie Battle Dress wz. 1937, ale na zdjęciu nr 1 widać, że trójka z nich ubrana jest we wcześniejszą wersję mundurów Service Dress OR – np. stojący w środku grupy chorąży. Na tym samym zdjęciu trzech żołnierzy ma na głowie berety Tam o'Shanter, prawdopodobnie Szkotów. Na zdjęciu nr 2 widzimy czołgistę z Royal Tank Regiment, młodszego kaprala z odznakami kołnierzowymi korpusu pancernego w mundurze wyjściowym Service Dress. Na rękawie – naszywka czołgu Mark I (ogólna naszywka dla pancerniaków noszona na wczesnych mundurach). Z kolei na zdjęciu nr 3 dwóch żołnierzy – z lewej Szkot, z prawej Brytyjczyk – ma na sobie Battle Dress wz. 1940 z mosiężnymi regimentowymi guzikami. Sugeruje to, że musiał się dostać do niewoli później, niż jego koledzy na wcześniejszych fotografiach. Natomiast na zdjęciu nr 4 widać Szkota z Royal Scots Fusiliers odzianego w bluzę mundurową w wersji dla żołnierzy szkockich (z półokrągłym wycięciem). Batalion tego regimentu wchodził w skład wspomnianej wcześniej 51. Dywizji Górskiej.

Fot. 5

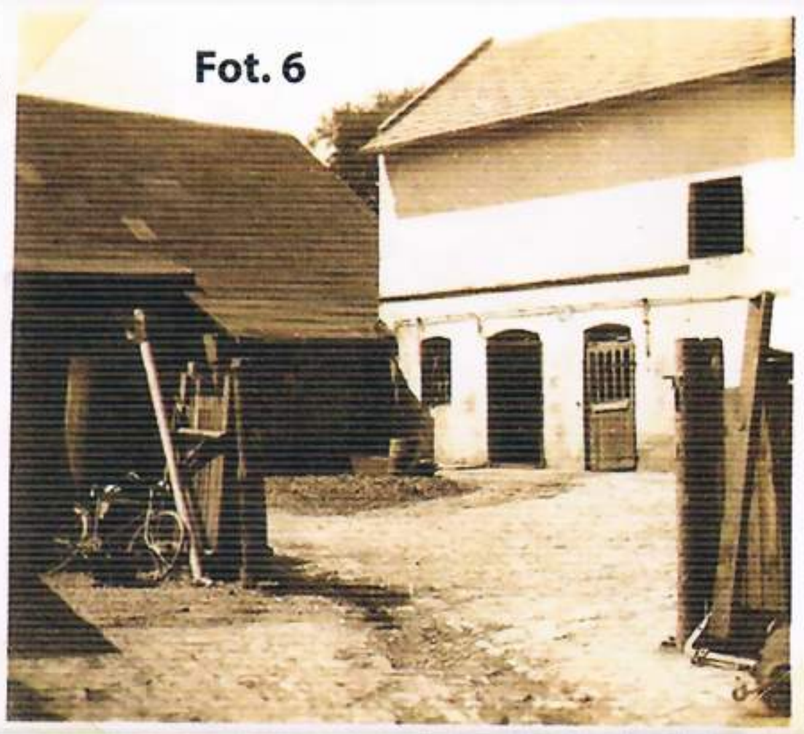

Fot. 6

Fot. 7

Fot. 9

Fot. 8

Fot. 10

Fot. 11

Fot. 12

Fot. 13

Nie wiem, gdzie brytyjscy jeńcy z Olszowej dostali się do niewoli. Tak czy inaczej, wylądowali w Łambinowicach. Stamtąd zostali skierowani do Olszowej. Nie wiem także, jakie oznaczenie posiadało olszowskie komando robocze, i czy dałoby się to jeszcze ustalić. Najpierw 80, a potem już tylko 30 i pilnujących ich dwóch niemieckich strażników.

Na zdjęciu nr 5 trójka Brytyjczyków odgarnia śnieg z istniejącego do dzisiaj podwórka gospodarstwa Tischbierków. Na zdjęciach nr 6 i 7 widzimy opustoszałe już podwórko. Tak wyglądało w okresie II wojny światowej i w czasie pobytu brytyjskich jeńców. Zdjęcie nr 8 przedstawia pracujących na tym samym podwórku jeńców, którzy dość chętnie fotografowali się na tle zabudowań gospodarczych (zdjęcie nr 9). Trzeba przyznać, że nie wyglądają na nich źle, a z ich twarzy nie bije smutek. Są uśmiechnięci, pogodni. Potwierdzają to zdjęcia nr 10 i 11, gdzie zastajemy Brytyjczyków przy „południowej toalecie" – mycie, skracanie włosów, odpoczynek…

Zwróćcie uwagę, że na zdjęciu nr 11 pilnujący ich niemiecki żołnierz raczej ucieka wyobrażeniom o standardzie wartownika, bo nawet nie ma broni. Siedzący obok niego jeniec spokojnie czyta książkę, a pozostali też zachowują się bardzo swobodnie. Jednakże nie zapominano o wojskowej dyscyplinie, czego dowodem są zdjęcia nr 12 i 13 – tu ustawieni w szeregu Brytyjczycy podczas apelu odbywającego się na podwórku Tischbierków. Na zdjęciu nr 13 („apelowe" zdjęcie prawdopodobnie pochodzi z 1942 r.) niemiecki żołnierz dokonuje inspekcji jeńców. Widać nie spodobało mu się nakrycie głowy jednego z Brytyjczyków, gdyż ten zdjął je i trzyma w rękach. Nie wiem, czy apele odbywały się stale czy tylko okazyjnie, ale jak widać, nie zapominano o nich. Zwróćcie uwagę na jeszcze jeden fakt. Mundury jakie mają na sobie brytyjscy jeńcy, nie wyglądają na zniszczone. Może sobie dopowiadam, ale sugeruje to, że raczej nie mieli gdzie ich zniszczyć, więc nie mogli pracować ciężko i w trudnych warunkach. Powiedzmy sobie szczerze. Nie wyglądają na zapracowanych.

Skoro o niemieckich wartownikach...

Nie mieli najgorzej. Znaleźli się z dala od wojennego piekła, w spokojnej i cichej okolicy. Pilnowali jeńców, którzy nie mieli dokąd uciekać. Wokół tereny III Rzeszy, w dużej mierze zamieszkałe przez ludność niemiecką. Jak przedostać się do zachodniej Europy? Zapewne też nie byli zorientowani w panujących w tej części Śląska stosunkach narodowościowych. Zresztą, kto w tym czasie na Opolszczyźnie przyznawał się do polskiego pochodzenia? Nie wiem, czy jeńcy wiedzieli o Generalnym Gubernatorstwie, które logicznie rzecz biorąc wydawało się najbliższym celem ucieczki. Jeśli nawet wiedzieli, to po co mieli tam uciekać?

Wróćmy do wartowników.

Fot. 14

Fot. 16

Fot. 17

Fot. 15

Na zdjęciach nr 14-17 widać ich wśród członków rodziny Tischbierków. Być może towarzyszy im Franciszka Tischbierek, Angela i Renata (córki Emanuela z pierwszego małżeństwa), a także Hubert i Josef, synowie Emanuela i Franciszki. Mały chłopiec to prawdopodobnie syn Angeli lub Renaty. Na żadnej z fotografii nie widać właściciela karczmy – Emanuela, więc to może on wykonywał zdjęcia. Na zdjęciach widzimy niemieckich wartowników na podwórku gospodarstwa Tischbierków, roześmianych i w doskonałych nastrojach. Zwróćcie uwagę, że zawsze fotografowali się bez broni.

Na szczególną uwagę zasługuje zdjęcie nr 16. Obok czterech brytyjskich jeńców i niemieckiego wartownika stoi prawdopodobnie Franciszka Tischbierek. Atmosferę tego zdjęcia nie bałbym się określić jako rodzinną. To pocieszające, że w czasach wojny, w okresie bezsensownego i nieuzasadnionego okrucieństwa, ludzie potrafili się traktować… po ludzku. Z tego co mi wiadomo, żaden z przebywających w Olszowej brytyjskich jeńców nie próbował uciec. Spokojnie przeczekali wojenną zawieruchę w miejscu, które przygarnęło ich pod swoje skrzydła. Czy tak było po ewakuacji, tego już nie wiem.

Po wojnie Franciszka, pomimo utraty męża, nie zrezygnowała z pomysłu wskrzeszenia działalności karczmy i uboju świń. Wbrew wszystkiemu uparcie starała się wskrzesić czasy „Gasthaus Tischbierek". Jej opór i determinacja pewnie drażniły, więc została aresztowana. Miała wówczas nieco ponad 50 lat. W więzieniu załamała się i podupadła na zdrowiu. Została zwolniona, ale nie miała już siły prowadzić samotnej i skazanej na klęskę walki. Zmarła w lipcu 1949 r. Jej mogiła znajduje się na cmentarzu w Olszowej. Wraz z nią jest tam pochowany jej syn Josef (Józef). W ramach powojennej akcji „odniemczania" Ziem Odzyskanych, część rodziny Tischbierek zmieniła swoje nazwisko na bardziej „polskie" Tiszbierek i tak pozostało do dzisiaj. Części rodziny udało się jednak pozostać przy oryginalnej pisowni nazwiska.

Wszelkie nadzieje związano z Georgiem (po wojnie Jerzym), synem Emanuela i Marianny, który pod koniec wojny został wcielony do Wehrmachtu. Wylądował we Francji, gdzie w 1944 r. dostał się

Sala taneczna z zabytkową podłogą, na której spali brytyjscy jeńcy.

Ściana w sali tanecznej z pamiątkami z przeszłości.

piej funkcjonowała, pewnie miałby więcej powodów do zadowolenia. Ale w głębi duszy na pewno czuje dumę. Wiem to. Gerard Tiszbierek włożył w to miejsce mnóstwo pracy. Sala taneczna znowu funkcjonuje. Jest główną salą karczmy, która obecnie nosi nazwę „U Tiszbierków". Na uwagę zasługują deski na podłodze, odnowione i ładne – te same, na których spali brytyjscy jeńcy. Jedną ze ścian ozdabiają pamiątki z przeszłości, czyli rodzinne zdjęcia Tischbierków, stary szyld znad drzwi karczmy, stara mapa okolicy (której wydawcą był Johann Tischbierek), a także fotografia przedstawiająca apel brytyjskich jeńców. No i kufle, stare i zabytkowe, których jeszcze dotąd nie widziałem. Zapewne używane tysiące razy.

Stary napis z karczmy Tischbierków.

do amerykańskiej niewoli. Jak tysiące niemieckich jeńców został wywieziony do USA, gdzie pracował w Teksasie. Do domu powrócił w 1947 r. Widząc tragiczną sytuację swoich rodziców, rozpoczął walkę o wskrzeszenie „Gasthaus Tischbierek". Nie udało mu się. Sala taneczna w karczmie okazjonalnie wykorzystywana była na różne imprezy okolicznościowe. W sklepie wędliniarskim Tischbierków urządzono skup mleka dla rolników z Olszowej. Wydawało się, że nic się nie da już zrobić.

W 1956 r. Georg ożenił się z Jadwigą. Jego syn Gerard wspomina, że ojciec kochał ziemię i był z nią uczuciowo związany. Ale pomimo trudności nie porzucił pomysłu wskrzeszenia olszowskiej karczmy. Walczył aż do 1972 r., ale urzędniczy, PRL-owski mur okazał się nie do przebicia. Poświęcił się więc rolnictwu. Olszowska karczma Tischbierków zapadła w śpiączkę i nikt nie dawał jej większych szans na wybudzenie się. Wszyscy, oprócz Tischbierków. Oni wierzyli, że kiedyś się to uda. A wiara czyni cuda. Dopiero syn Georga Gerard w dniu 18 II 2012 r. dokonał uroczystego otwarcia karczmy. Pierwszego od jej zamknięcia w 1945 r., więc jak łatwo obliczyć, po 67 latach. Kawał czasu.

Gerard Tiszbierek to czwarte pokolenie właścicieli karczmy. To on jest człowiekiem, który dokonał tego cudu. Jego karczma podniosła się z ruiny. Wyremontowano główną salę, piwnice i całe zaplecze techniczne. Obecnie trwa remont górnej kondygnacji, gdzie znowu pojawią się pokoje gościnne. Pytałem p. Gerarda, czy jest z siebie dumny. Odpowiedział, że na razie czuje się po prostu zapracowany. Gdyby karczma lepiej funkcjonowała, pewnie miałby więcej powodów do zadowolenia. Ale w głębi duszy na pewno czuje dumę. Wiem to. Gerard Tiszbierek włożył w to miejsce mnóstwo pracy. Sala taneczna znowu funkcjonuje. Jest główną salą karczmy, która obecnie nosi nazwę „U Tiszbierków". Na uwagę zasługują deski na podłodze, odnowione i ładne – te same, na których spali brytyjscy jeńcy. Jedną ze ścian ozdabiają pamiątki z przeszłości, czyli rodzinne zdjęcia Tischbierków, stary szyld znad drzwi karczmy, stara mapa okolicy (której wydawcą był Johann Tischbierek), a także fotografia przedstawiająca apel brytyjskich jeńców. No i kufle, stare i zabytkowe, których jeszcze dotąd nie widziałem. Zapewne używane tysiące razy.

Wyobraźcie sobie, że w 1990 r. dwóch byłych brytyjskich jeńców odwiedziło budynek karczmy w Olszowej. Dla rodziny Tiszbierków owe spotkanie było niesamowitym przeżyciem. Dla Brytyjczyków zapewne też. Przyjechali 45 lat po zakończeniu wojny, w podeszłym wieku, by przed śmiercią odwiedzić miejsce, gdzie spędzili blisko cztery lata swojej młodości. Zostali przyjęci bardzo gościnnie. Podejrzewam, że zdjęcia grupowe pokazujące Brytyjczyków jeszcze w Wielkiej Brytanii czy Francji, przed dostaniem się do niewoli, zostały również pozostawione rodzinie Tischbierków jako pamiątka, a może i swego rodzaju podziękowanie. W wojennej zawierusze ten, wydawałoby się mały i niepozorny epizod, naprawdę wart jest odnotowania, co niniejszym czynię. A Was zapraszam do Olszowej. Popatrzycie na zdjęcia, na deski, na salę i podwórko. I koniecznie posłuchajcie szeptu ścian. One ciągle opowiadają ową historię...

PS. Wszystkie archiwalne zdjęcia (dotąd niepublikowane) zostały mi udostępnione przez Pana Gerarda Tiszbierek (47-143 Olszowa, ul. Wiejska 26), za co serdecznie dziękuję. Dziękuję również Gerardowi za życzliwość, cierpliwość i chęć opowiedzenia mi tej przedziwnej historii. Podziękowania dla Roberta Garcarczyka (Gustlika) i Huberta Synosia z GRH „Karpaty" („Pro Fortalicium") za identyfikację żołnierzy na zdjęciach.

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Republika Gniewska 1919-1920

KRZYSZTOF KORDA

Gniew to miasto położone na lewym brzegu Wisły, 70 kilometrów na południe od Gdańska. Słynie z zabytkowego rynku oraz pokrzyżackiego zamku górującego nad okolicą. Dzisiaj niewiele osób, poza samym Gniewem, pamięta, że kiedy miasto nie wróciło do Polski w 1918 roku, a tym samym nadal znajdowało się w rękach niemieckich, mieszkańcy utworzyli tam propolską Republikę Gniewską.

Państwo polskie proklamowano 11 listopada 1918 roku.

Każdego roku radośnie obchodzimy tę najważniejszą dla Polaków rocznicę – Święto Niepodległości. Jednak na ziemiach byłego zaboru pruskiego po 11 listopada niewiele się zmieniło, nadal bowiem znajdowały się one w państwie niemieckim. Dla Pomorzan Dniem Niepodległości jest 10 lutego 1920 roku. Jednakże między 11 XI 1918 r. a 10 I 1920 r. wiele się działo … a Pomorzanie nie chcieli już dłużej czekać. Chcieli mieć wpływ na swoje losy. Szczególną aktywność w tym zakresie wykazali mieszkańcy Ziemi Gniewskiej.

Termin „Republika Gniewska" żywy jest w świadomości mieszkańców Gniewu i Ziemi Gniewskiej, obecny także w pomorskiej literaturze. Republika zaistniała dzięki wyjątkowemu splotowi okoliczności i stała się oazą wolności. Rządzili w niej Polacy, sprawowali władzę ustawodawczą i wykonawczą, stworzyli swoje oddziały paramilitarne. Ponadto dzięki niej powstał zalążek polskiej kultury i edukacji.

Okres funkcjonowania Republiki to czas pomiędzy lipcem 1919 r., a 27 stycznia 1920 roku. Zanim do tego doszło, warto poznać zabiegi o jej utworzenie. Jej geneza zaczyna się z dniem proklamowania Państwa Polskiego. Mieszkańcy Gniewu i 101 sąsiednich wsi zdecydowali się zabiegać o przyłączenie ich regionu do Polski. Dla rozpatrywanego tematu kluczowe są trzy okresy:

Pierwszy – od 11 XI 1918 r. – a więc od proklamowania Państwa Polskiego, do 7 VII 1919 r. – do utworzenia Republiki Gniewskiej. Miasto znajdowało się nadal w rękach niemieckich, tworzyły się jednak namiastki polskich władz. Powstały gniewskie siły zbrojne do ochrony ludności polskiej, w skład których weszli Polacy powracający w niemieckich mundurach z frontów Wielkiej Wojny oraz ochotnicy z terenu Republiki.

Drugi etap – to czas działania Republiki: od lipca 1919 r. do stycznia 1920 roku.

Ostatnim etapem – jest fakt przyłączenia Republiki do Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 27 I 1920 r. i dalszy okres – do zaślubin Polski z morzem, do których doszło w Pucku w dniu 10 II 1920 roku.

Chcąc zrozumieć, jak mogła powstać Republika na Ziemi Gniewskiej, należy poznać podział społeczeństwa pod względem narodowościowym i religijnym. Na terenie Ziemi Gniewskiej przeważało liczebnie społeczeństwo polskie nad niemieckim, choć w samym Gniewie w 1910 r. Polacy stanowili 49%, Niemcy 48%, a Żydzi 3%. W tworzeniu Republiki dużą rolę odegrało duchowieństwo katolickie, a katolikami w Gniewie byli nie tylko Polacy, także Niemcy. Katolicy stanowili w Gniewie w 1910 r. 67,6%, a ewangelicy 29,6%. Księża mogli więc kształtować również postawy Niemców – katolików.

Polacy przejęli pełnię władzy w Ziemi Gniewskiej dopiero w lipcu 1919 r. i od tego momentu Republika rozpoczęła swoje funkcjonowanie jako państwo-miasto, jednak zabiegi o jej powołanie, o zrzucenie zależności niemieckiej, rozpoczęły się wiele miesięcy wcześniej, bowiem 18 XI 1918 r. powstała w Gniewie (polska) Powiatowa Rada Ludowa. Głównymi organizatorami Rady byli księża: Antoni Wolszlegier z Pieniążkowa, ks. Aleksander Kupczyński z Wielkiego Garca, ks. Franciszek Filarski z Dzierżążna oraz Paweł Tollik z Gniewu, Franciszek Czarnowski z Gniewskich Młynów i Julian Piotrowski ze Szprudowa. Każda z tych postaci to oddzielna historia. Byli to ludzie znani i szanowani. Szczególną rolę podczas zaborów odgrywali dwaj spośród nich: ks. Antoni Wolszlegier oraz ks. Aleksander Kupczyński. Wolszlegier należał do czołowych organizatorów polskiego ruchu narodowego na Pomorzu. Był członkiem Rady Nadzorczej Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, działał w Polskim Komitecie Wyborczym na Prusy Zachodnie (od 1907 prezes), a od 1912 do 1919 sprawował funkcję prezesa Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego na Rzeszę Niemiecką. Był przewodniczącym Rady Ludowej w Gniewie i delegatem na Sejm Dzielnicowy. Kupczyński z kolei był patronem, czyli prezesem Związku Towarzystw Ludowych na Pomorzu. Jego organizacja miała na Pomorzu 115 oddziałów, istniała niemal w każdej miejscowości, i posiadała 15 tys. członków. Ich zadaniem było podtrzymywanie polskości i pozytywistyczna praca u podstaw. Uczyli pisać, czytać, prowadzili czytelnie, biura porad prawnych, banki i kasy pogrzebowe. Była to organizacja-przedsiębiorstwo, krzewiąca u Pomorzan pracę organiczną. Apelowali o wykorzystywanie niemieckiego prawa i posługiwanie się nim. Przeciwni byli walce zbrojnej, powstaniom. Organizacja utrzymywała swoich ludzi, struktury dzięki środkom pozyskiwanym z sieci własnych banków. A więc przyszła Republika Gniewska miała silne pod-

Gen. Józef Haller.

Powitanie wojsk polskich pod gniewskim ratuszem...

... na rynku. 27 stycznia 1920 r.

stawy: doświadczonych organizatorów umiejących pokierować ludźmi, sprawdzonych w trudnych sytuacjach. Miała też swój Bank Ludowy w Gniewie, którego szefem był Paweł Tollik.

Ważnym momentem dla utworzenia Republiki jest 24 XI 1918 roku. Wówczas to zwołano spotkanie Rady, na którym wybrano władze polskie. Rada działała na terenie powiatu kwidzyńskiego, który obejmował ziemie położone na lewym brzegu Wisły (Ziemia Gniewska) i na prawym (Ziemia Kwidzyńska). Rada Ludowa organizowała w okolicznych wsiach wiece, które wchodziły w zakres jej działania. Aktywizowali tym samym ludność polską, zachęcając ją do udziału w życiu narodowym i politycznym. Wkrótce po ustanowieniu Powiatowej Rady Ludowej w Gniewie odbył się wiec, na którym domagano się powrotu miasta do Polski. Działania Polaków spotkały się ze zdecydowaną reakcją ze strony Niemiec, jak to określano, przeciw: *„bezprawnym, wielkopolskim roszczeniom oderwania od... ziemi niemieckiej... naszej macierzystej prowincji"*. Rozmieszczano więc w wielu miejscowościach wzmocnione oddziały Grenzschutzu. Sytuacja stawała się niepokojąca. Niemcy starali się utrudniać aktywność Powiatowej Rady Ludowej. Jak pisze Mieczysław Wojciechowski *„w kwietniu i maju 1919 r. władze niemieckie dążyły do sparaliżowania działalności polskiej, głównie zaś rad ludowych. Cel ten zamierzano osiągnąć przez ograniczenie swobody odbywania zebrań (do całkowitego zakazu włącznie) oraz zawieszenie pracy organizacji polskich. (...) wkrótce potem (17 V) rozwiązano Podkomisariat NRL w Gdańsku pod zarzutem zdrady stanu, a w dalszej kolejności powiatowe rady ludowe w Gdańsku (19 V) oraz na powiat wejherowski z siedzibą w Sopocie (20 V)"*. Istniała więc obawa, że władze niemieckie mogą zaszkodzić polskiej Radzie w Gniewie.

Legalna działalność polskich Rad Ludowych na Pomorzu Gdańskim w pierwszej połowie 1919 r. koncentrowała się w głównie na obronie ludności polskiej przed przemocą ze strony niemieckiej. Dopuszczali się jej zwłaszcza żołnierze Grenzschutzu – paramilitarnej formacji ochotniczej stworzonej do obrony granic Niemiec, która wsławiła się niezwykłą brutalnością na Pomorzu. Dochodziło m.in. do morderstw, bezprawnych aresztowań. Żołnierze żądali wydania broni. Zdaniem pelplińskiego „Pielgrzyma": *„Prusakom chodziło o to, by poprzez takie nagłe najścia psychicznie wykończyć przywódców ruchu niepodległościowego"*. Oddziałami Grenzschutzu kierował m.in. Gerhard Rossbach, osławiony kat, który brutalnie pacyfikował Chełmżę w styczniu 1919 roku. W Chełmży zbombardowano miasto, wśród ofiar byli cywile, w tym dzieci. Zatrzymanym Polakom zagrożono śmiercią. W oddziałach Grenzschutzu przewidzianych do pacyfikowania Gniewu służył Rudolf Hoess, późniejszy komendant niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz.

Mieszkańcy Gniewu świadomi byli zagrożenia, mimo to nie przerywali działalności na rzecz przyłączenia do Polski. Nie było to możliwe, granice Polski w 1919 r. znajdowały się daleko, daleko od Gniewu. Postanowili więc stworzyć swoją osadę wolności. Ich głosem była Powiatowa Rada Ludowa. Jej zadaniem w Gniewie było pozyskiwanie informacji o działalności jednostek Grenzschutzu i interweniowanie u lokalnych lub prowincjonalnych władz cywilnych i wojskowych. Wzywały społeczeństwo polskie do rozwagi, pokojowych działań, prowadząc jednocześnie zdecydowaną akcję protestacyjną przeciw bezprawiu ze strony niemieckiej. Rada miała bronić interesów ludności polskiej, służyć jej radą i pomocą, bronić mienia oraz dorobku ludności. Do jej kompetencji należały m.in.: czuwanie nad utrzymaniem ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego; nawiązanie kontaktu z radami robotniczo-żołnier-

skimi i wprowadzenie do nich swoich przedstawicieli; kontakt z dotychczasowymi władzami niemieckimi *„w kierownictwie sprawami publicznymi, rozciągając opiekę swoją także na osoby i mienie ludności niepolskiej"*; pomoc powracającym żołnierzom, a także powracającym *„rodakom zakordonowym"*.

Koniec roku 1918 to okres przejściowy, czas niepewności. Niemcy nie wiedzieli, co będzie działo się dalej. Polacy również. Ostateczny kształt granic miał zostać przewidziano w Paryżu na konferencji pokojowej. Jej rozpoczęcie ustalono na styczeń 1919 roku. Niemcy mogli liczyć na swoje wojsko, a Polacy nie. Wobec tego sami przystąpili do tworzenia potajemnie swoich oddziałów. Podjęli kroki do utworzenia Straży Ludowej dla ochrony polskiej ludności. Najpierw powstało tajne wojsko. Jan Brochoński, mieszkaniec Gniewu, w swojej relacji spisanej około 1930 r. podaje: *„4 stycznia 1919 r. po powrocie ze światowej wojny Jana Brochońskiego nadwachmistrza Żandarmerii do Gniewu i zapoznania się z stosunkami miejscowemi, co do działalności o niepodległość Polski, postanowił w przyległych miejscowościach Gniewu zapoznać się z żołnierzami, którzy wrócili ze światowej wojny. (...) Rozpoczęła się praca nad utrwalaniem ducha polskiego, przez utworzenie w każdej miejscowości placówki Polskiej Organizacji Wojskowej »Jedność«, do której werbowano żołnierzy, którzy powrócili z wojny światowej i tak się szybko zorganizowali, że byli gotowi w każdej chwili stać na rozkaz ze strony władz polskich do obrony swej Ojczyzny, Rzeczypospolitej Polskiej. Urządzane zostały różne tajne schadzki u restauratora Pawła Banieckiego i Kazimierza Bartkowskiego w Gniewie, gdzie obradowano nad Organizacją Wojsk Polskich i jej szkolenia. Za takimi zebraniami śledził Grenzschutz, jednak nie zdołał nas wyśledzić. Organizator P.O.W. »Jedność« śledziła za różnemi przysposobieniami Niemiec przeciw Polsce, jak wiece, różne zebrania na niekorzyść Polski i takie wiece P.O.W. rozpędzało i udaremniało Niemcom w ich wykonaniu, przez co padliśmy w różne krwawe potyczki z Grenzschutzem (...)"*.

Kolejnym krokiem, który w efekcie doprowadził do zawiązania Straży, było zawarcie porozumienia między polskim i niemieckim rządem. Dotyczyło ono ustanowienia Polskich Delegatów Rządowych przy landraturach powiatowych (starostwach). W efekcie porozumienia w czerwcu 1919 r. przy landraturze w Kwidzynie wybrano Franciszka Czarnowskiego z Gniewskich Młynów, który określony został jako *„gorliwy Polak i niezmordowany działacz"*. Za jego staraniem władze niemieckie oddały w użytkowanie Radzie Ludowej zamek krzyżacki w Gniewie, wówczas całkowicie opuszczony, w którym ulokowano biuro „Polskiego Powiatowego Delegata Rządowego przy landraturze w Kwidzynie". Następnie, wskutek starań Franciszka Czarnowskiego, ks. Antoniego Wolszlegiera i Józefa Głowackiego z Pelplina (byłego por. armii niemieckiej, a później kpt. Wojsk Polskich), jak również pod naciskiem nieustannych petycji i zażaleń na niewłaściwe zachowanie Grenzschutzu, niemieckie czynniki rządowe zdecydowały się wycofać go i udzieliły zezwolenia na zawiązanie Straży Ludowej – pod warunkiem finansowania jej przez Polaków.

W czerwcu 1919 r. członkowie tajnego wojska otrzymali informację od Czarnowskiego o mającej powstać Straży Ludowej. Byli w gotowości. Żołnierze otrzymali rozkaz natychmiastowego stawiennictwa do Gniewu – na dzień 7 VII 1919 roku. Przybyło 120 mężczyzn. Tylko nieliczni mieli broń, pozostali otrzymali ją z magazynów pozostawionych przez Niemców. Znajdowało się w nim około 120 karabinów i 12 tys. naboi. Straż Ludowa została podzielona na 4 kompanie. Do jej zadań należały: służba bezpieczeństwa publicznego i ochrona mienia obywateli oraz ochrona porządku publicznego. W porównaniu z innymi powiatami, i występującymi tam ilościowymi dysproporcjami, liczebność polskiej milicji w Gniewie – 200 osób – można uznać za sukces. Najliczniejsza straż była w powiecie toruńskim – 2718 członków, a najmniej liczna w powiecie chojnickim – 100 osób. Należy jednak pamiętać, iż Ziemia Gniewska nie była tak duża, jak powiat toruński czy chojnicki, i tak licznie zamieszkana, jak np. w powiecie toruńskim.

Straż Ludowa Republiki Gniewskiej występowała jawnie jako przyszli polscy żołnierze. Wspomina o tym prof. M. Wojciechowski: *„w niektórych powiatach członkowie straży występowali otwarcie jako przyszli polscy żołnierze, przypinając polskie odznaki narodowe, bądź inicjując akcje na rzecz wojska polskiego (w Gniewie zorganizowali oni w grudniu 1919 r. zbiórkę pieniędzy, które przeznaczono na kupno sztandaru dla starogardzkiego pułku piechoty)"*. Z kolei Jan Ejankowski pisze: *„mieszkańcy o straży mówili – nasze wojsko, co świadczyło, że darzyli żołnierzy zaufaniem i sympatią. (...) Straż miała ubiór: umundurowanie było poniemieckie. Dystynkcje służbowe oparto o wzory polskie. Na czapkach polskie orzełki (zostały) wykonane w Poznaniu. Czerwone otoki czapek zasłonięto szarą taśmą, wskutek czego otrzymały one wygląd maciejówek. Zamożniejsi żołnierze sprawili sobie na własny koszt rogatywki, których szyciem zajmował się m.in. krawiec gniewski Ksawery Zawadzki"*.

A jaka była reakcja władz niemieckich na Straż Ludową w Gniewie?

Niemcy 4 lipca zgodzili się na utworzenie Einwohnerwehr. Ze Straży Ludowej utworzono ekspozyturę Tajnej Organizacji Wojsk Polskich na Pomorzu. Republikanie otrzymali potajemnie pomoc pieniężną od Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu (poprzez jej podkomisariat w Gdańsku) oraz od wojsk frontu pomorskiego, powstającego wówczas w oswobodzonej powstaniem Wielkopolsce. Za fundusze kupowano broń, którą nocami, potajemnie zwożono do koszar, czyli do Zamku. Straż Ludową rozkazem płk. Stanisława Skrzyńskiego ustanowiono tajnym, zapasowym batalionem 65. Starogardzkiego Pułku Piechoty uformowanego w Wielkopolsce. Strażnicy nosili odznaki polskie na mundurach, odbywali regularnie ćwiczenia, podnosili swoją zdolność bojową. Ponadto utworzono placówki Straży w okolicznych

Zamek pokrzyżacki, siedziba władz polskich w okresie Republiki Gniewskiej.

wsiach: Opaleniu, Kolonii Ostrowickiej, Smętowie, Lipiej Górze, Walichnowach, Janiszewku. Jak zapisał w monografii Gniewu prof. Andrzej Romanow: *„Rząd niemiecki na prawym brzegu w osobach Prezydenta Rejencji i Landrata w Kwidzynie (Marienwerder), patrzył na to wrogim okiem, jednakowoż nie śmiał temu przeszkadzać, ze względu na bliską ratyfikację wersalskiego traktatu pokojowego, natomiast usiłował wszelkiemi sposobami wszystek majątek obywatelstwa polskiego w postaci zboża, bydła, jak również innych produktów rolniczych, jak n.p. spirytusu, nabiału etc. i przedmiotów wartościowych (złota i srebra) wywieźć w głąb Niemiec"*.

Funkcje kierownicze w Straży pełniły osoby związane z Organizacją Wojskową Pomorza. Z polecenia dowódcy urządzono biuro, którym kierował Jan Brochoński. Utworzono dział zaopatrzenia – kwatermistrzostwo (kierował nim Józef Cyganek), dział rachuby (na czele stał Donat Rajski), kuchnię wojskową (szef – Franciszek Guziński), komorę odzieżową (zarządzał Bolesław Kucharski), rusznikarnię i kuźnię (odpowiedzialny: Paweł Białkowski) i izbę chorych (odpowiedzialny: Zakrzewski). Powstała orkiestra kierowana przez Władysława Sikorskiego, a nad zdrowiem czuwał miejscowy lekarz Roman Kamiński. Kapelanem został Alojzy Karczyński, wikariusz gniewski.

Republika Gniewska

Powołanie Straży Ludowej – polskiej milicji obywatelskiej w Gniewie stało się faktycznie początkiem Republiki Gniewskiej. Odtąd, od dnia 7 VII 1919 r. aż do stycznia 1920 r. Gniew i Ziemia Gniewska stały się mini-państwem, na czele którego stanął Franciszek Czarnowski zwany potocznie „Prezydentem Republiki" i członkowie Rady Ludowej, której przewodził ksiądz Wolszlegier. Terytorium Republiki Gniewskiej wyznaczyła linia demarkacyjna obowiązująca od 7 VII 1919 roku. Teren przyszłej Republiki obejmował część ziem powiatu kwidzyńskiego położonych na lewej stronie Wisły i kilka miejscowości po prawej stronie, szczególnie rejon późniejszej gminy Janowo oraz ziemie parafii Tychnowy. Zdaniem Józefa Milewskiego Republika obejmowała powierzchnię 430 km kw. – tereny 12 parafii katolickich, w tym 8 wchodzących w skład dekanatu gniewskiego (Gniew, Dzierżążno, Wielki Garc, Lignowy, Piaseczno (wraz z Opaleniem), Tymawa, Wielkie Walichnowy, Janowo), 3 z dekanatu nowskiego (Pieniążkowo, Kościelna Jania, Lalkowy) i Tychnowy znajdujące się na prawym brzegu Wisły, obecnie w dekanacie Kwidzyn-Zatorze. W jej skład wchodziło więc 102 miejscowości.

Panorama Gniewu.

Republika powstała już po zakończeniu obrad konferencji pokojowej w Paryżu i po podpisaniu traktatu pokojowego w Wersalu (28 VI 1919 r.). Na mocy traktatu Gniew i większość okolicznych wsi miały powrócić do Polski. Mimo tych decyzji, społeczeństwo nie było pewne swego, drżąc o swój los i życie. Obawiali się kolejnych walk, mając jeszcze w pamięci rewolucję w Niemczech oraz nieuregulowane stosunki polsko-bolszewickie. Sytuację podgrzewały reakcje Niemców, np. próby rewizji, które spotykały się ze zdecydowanym przeciwdziałaniem i reakcją ze strony Straży Ludowej. Żołnierze Straży nie chcąc dopuścić do zubożenia Ziemi Gniewskiej, musieli strzec również majątku znajdującego się na ich terenie. Wstrzymali m.in. wywóz 16 wagonów zboża, dużej ilości bydła, produkcji spirytusu przeznaczonego na wywóz do Królewca i Szczecina. Niemcy wpadli także na pomysł wykarczowania z tego terenu wszystkich lasów. Jednak tym działaniom zdecydowanie przeciwstawiła się Straż. Zapobiegła też wywozowi maszyn przemysłowych. Gdyby nie powstrzymała wywozu produktów spożywczych, mieszkańcom Ziemi Gniewskiej groziłby głód. Przeciwdziałanie zorganizowanej gospodarce rabunkowej było więc walką o przeżycie.

Polacy obawiali się wystąpień zbrojnych ze strony Niemców. Na szczęście do nich nie doszło. Można domniemywać, że przyczyną było zbliżające się wejście w życie traktatów pokojowych oraz obawa Niemców o bezpieczeństwo swoich rodaków. Wielu Niemców to właściciele majątków w Ciepłem, Jeleniu, Lipiej Górze, Włosienicy, Kopytkowie, Frący, Smarze-

Oddział Gerharda Rossbacha (marzec 1920 r.).

wie. Państwo niemieckie potrzebowało w 1919 r. spokoju oraz unormowania granic. Tym bardziej, że społeczeństwo niemieckie uznało za klęskę porozumienia wersalskie, które na domiar złego spotęgowały jeszcze nienawiść do Polaków. Czas od VII 1919 do I 1920 r. nie był więc sielankowy i wolny od obaw, co będzie dalej z mieszkańcami Republiki. Wytchnienie dawało krzewienie polskiej kultury. Tworzono podwaliny pod polską szkołę, uczono języka polskiego. Komisja szkolna przygotowywała kadrę nauczycielską, tworzyła kursy języka polskiego. W Gniewie odbyły się także kursy dla Żandarmerii Krajowej z całego Pomorza. Władze Republiki Gniewskiej przystąpiły, jak zauważył Andrzej Romanow, do *„organizowania polskiej administracji i odbudowy polskiego życia społeczno-organizacyjnego i kulturalnego"*. W grudniu 1919 roku Polski Powiatowy Delegat Rządowy Franciszek Czarnowski został mianowany I Komisarycznym Starostą. Powierzono mu administrację części powiatu kwidzyńskiego położonej na lewym brzegu, tj. późniejszy powiat gniewski. W efekcie ratyfikacji traktatu wersalskiego 27 I 1920 r. Ziemia Gniewska wróciła do Polski.

Powrót do Polski

Do Rzeczypospolitej przyłączono tereny Republiki Gniewskiej leżące na lewym brzegu Wisły. Tereny na prawym brzegu – sołectwo Janowo z czterema wioskami (Bursztych, Kramrowo, Nowe Lignowy i Pólko Małe) przyłączono do Polski dopiero 16 VIII 1920 r. w wyniku wygranego przez Polaków plebiscytu z lipca 1920 roku. Za Polską padły 252 głosy na ogólne 437 głosujących (w tym: w Bursztychu za Polską opowiedziało się 79% głosujących. W Kramrowie 50%, Nowych Lignowach 58%, Małym Pólku 44%, a w Janowie 48%). Odtąd ziemie te nazywano Małą Polską lub Rzeczpospolitą Janowską lub Pięciowsią. Ogromne zasługi w plebiscycie odegrał ks. Ignacy Niklas. Pozostałe wsie z parafii Janowo (Szkaradowo, Szkolna Łąka (Jarzębina), Szałwinek, Gurcz, Kuligany, Gniewskie Pole, Pastwa) oraz ziemie parafii Tychnowy przypadły w wyniku głosowania do Niemiec. Nieliczni Polacy z tamtych wsi chcąc mieszkać w Polsce, zdecydowali się sprzedać swoje gospodarstwa i przepłynąć na drugi brzeg Wisły… do Polski.

Zwycięstwo polskie w plebiscycie w Janowie było jedynym polskim sukcesem w plebiscytach odbywających się na terenie Prus Wschodnich. Przeprowadzano je w trudnej dla Polski chwili, gdy niepodległość Rzeczypospolitej była zagrożona na skutek nadciągającej od wschodu armii bolszewickiej. Niemcy straszyli Polaków, że jeśli Polacy wygrają plebiscyt, to ich ziemie i tak nie przypadną Polsce, a bolszewikom. A Polacy bali się ich bardziej niż Niemców. Do tego prasa niemiecka szerzyła informacje, co prawda zgodne z prawdą, że

Powrót Pomorza do Polski w 1920 roku.

Polacy przegrywają na froncie bolszewickim, ale w ten sposób manipulowali polską opinią publiczną zniechęcając ich do popierania Rzeczypospolitej. A przy tym, każdy kto agitował za polskością, głośno wyrażał swoje poglądy, obawiał się o własne życie.

Straż Ludowa przygotowywała powitanie wojsk gen. Józefa Hallera. 27 stycznia wysłano kompanię honorową wraz z orkiestrą. Po odegraniu hymnu, wojska wkroczyły do Gniewu. Tak tę chwilę, po latach, wspominał na łamach „ Księgi pamiątkowej dziesięciolecia Pomorza" jeden z świadków tych wydarzeń: *„(…) chwila ta uroczyście zapisana złotemi literami w historii powiatu była tak wzruszająca i radosna, że opisać nie można entuzjazmu ludności witającej wkraczające do Gniewu Wojska Polskie, (…) które przyjmował na granicy powiatu około miasta Nowego – Komisaryczny Starosta p. Czarnowski wraz z zasłużonym działaczem narodowym, Ks. Dr. Wolszlegierem z Pieniążkowa i wszystkimi członkami Rady Ludowej Powiatowej oraz niezliczoną rzeszą. Zerwano kajdany niewoli! Naród Polski przytulił się pod rozpięte ochronne skrzydła Orła Polskie, a nasi druhowie Ochotniczej Straży Ludowej wzmocnieni o 200 osób (razem 400 osób) wraz z ich dowódcą p. por. Głowackim wstąpili ochotniczo z bronią w ręku w szeregi II. Baonu 65 p.p."*.

Wkrótce utworzono powiat gniewski i ukonstytuowały się jego władze. Na ich czele zasia-

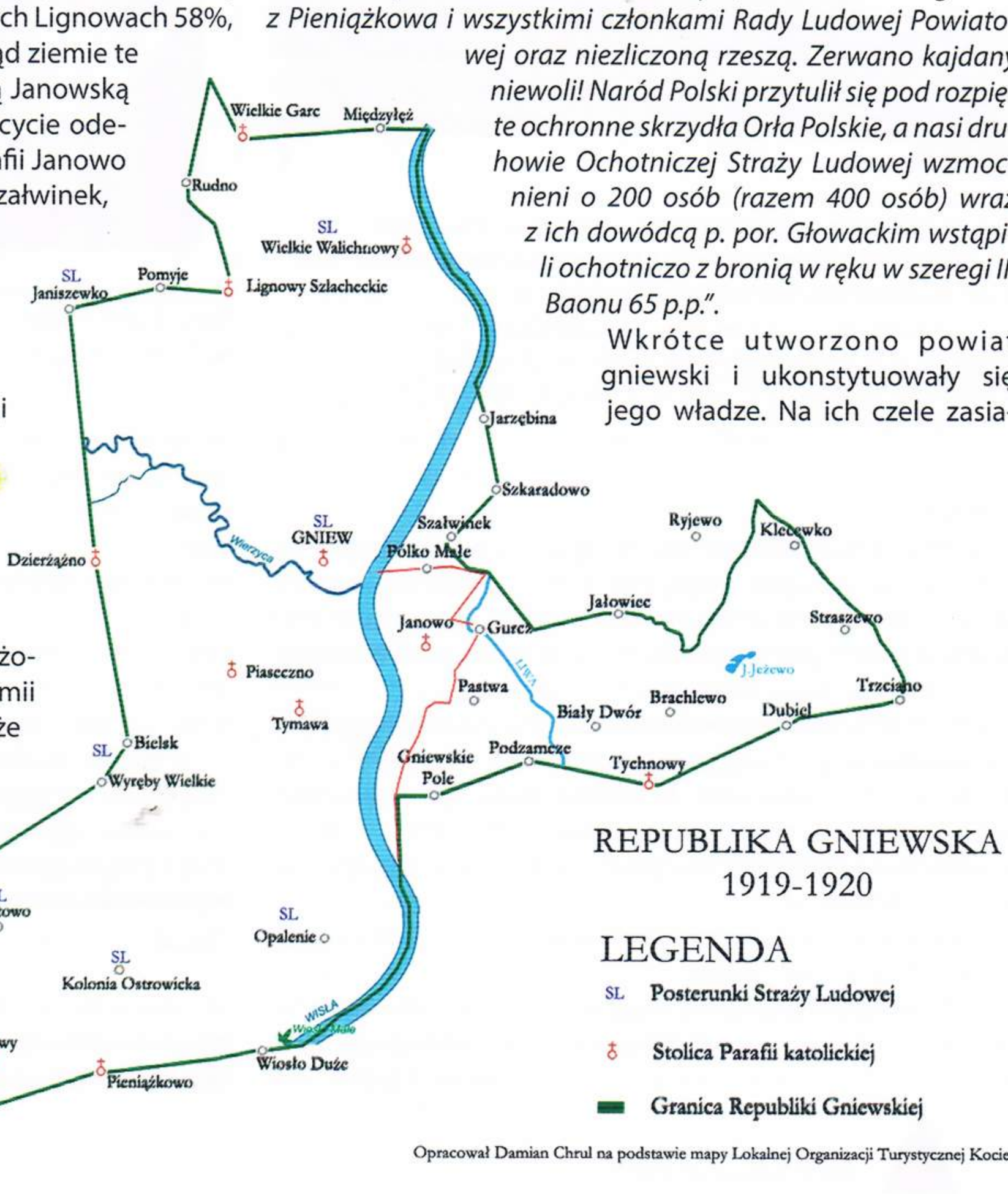

Opracował Damian Chrul na podstawie mapy Lokalnej Organizacji Turystycznej Kociewie

Zaślubiny z morzem. Puck, 10 lutego1920 rok.

Generał Józef Haller rzuca pierścień w morze.

dali bohaterowie Republiki Gniewskiej. Komisarycznym Starostą został Franciszek Czarnowski, który przewodził Radzie Powiatu. A armia polska pod dowództwem gen. Józefa Hallera udała się w dalszą drogę przez Pelplin, Tczew, Starogard, Chojnice, Kościerzynę, Kartuzy, Wejherowo – nad polskie morze. Tam, 10 II 1920 gen. Józef Haller wrzucił do morza pierścień wzorem doży weneckich na cześć zaślubin Pomorza i polskiego morza z Rzeczypospolitą. Tym samym nadszedł upragniony dzień wolności, niepodległości, połączenia z Polską.

W ARTYKULE WYKORZYSTANO FOTOGRAFIE, MAPY ZE ZBIORÓW: POWIATOWEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W GNIEWIE, BUNDESARCHIV-MILITÄRARCHIV FREIBURG, NAC, ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO (PORTAL KASZUBI.PL), DAMIANA CHRULA, JACKA CHERKA, ALEKSANDRY I LECHA ZDROJEWSKICH.

Literatura:
1. Archiwum Państwowe w Toruniu, Towarzystwo Badania Historii Ruchu Niepodległościowego na Pomorzu, Materiały dotyczące ruchu niepodległościowego na Pomorzu sygn. 3. Znajduje się tam relacja Jana Brochońskiego pt. „Tajna Organizacja Wojsk Polskich i Straży Ludowej w Gniewie rok 1919/1920".
2. B. Bieliński, „Cztery pokolenia Tollików z Janowa nad Wisłą" [w:] „Kociewski Magazyn Regionalny" 4/2001
3. J. Ejankowski, „Jak w Gniewie powstała Rada Ludowa Powiatowa" [w:] „Kociewski Magazyn Regionalny" 1 (24)/1999
4. J. Ejankowski, „Pługiem po niwie" [w:] „Kociewski Magazyn Regionalny" 4/1986
5. J. Ejankowski, „Straż Ludowa w Gniewie" [w:] „Kociewski Magazyn Regionalny:, 2 (25)/1999
6. J. Głowacki, „Przyczynki do dziejów organizacji wojskowej Pomorza" [w:] „15-ta Rocznica Powstania Wielkopolskiego: przyczynki do ruchu niepodległościowego w byłym zaborze pruskim", pod red. E. Bartkowskiego, Poznań 1933
7. A. Gulczyński, „Poznański Sejm Dzielnicowy, czyli uwag kilka o korzeniach parlamentaryzmu odradzającej się Polski" [w:] „Naczelna Rada Ludowa 1918-1920", Kronika Miasta Poznania, nr 4/1998.
8. M. Kordowski, „Opalenie. Zarys dziejów wsi kociewskiej", Opalenie 2007
9. „Księga pamiątkowa dziesięciolecia Pomorza", Toruń 1930
10. M. Wojciechowski, „Powrót Pomorza do Polski 1918-1920", Warszawa-Poznań-Toruń 1981
11. J. Milewski, „W 75-rocznicę powrotu Starogardu do Macierzy (1920-1995)", Starogard Gdański 1995
12. H. Mross, „Słownik Biograficzny Kapłanów Diecezji Chełmińskiej", Pelplin 1995

Gen. Józef Haller z ks. Józefem Wryczą (kapelanem Frontu Pomorskiego).

13. „Na nizinach kwidzyńskich… oraz jak zajmowaliśmy Janowo? [w:] „Gazeta Bydgoska", nr 189/1930
14. W. Odyniec, J. Węsierski, „Gniew dawny i współczesny", Gdańsk 1966
15. „Postacie z Kociewia. Śladami nieznanych działaczy społeczno-kulturalnych Kociewia XVIII-XX wieku", praca zb. pod red. K. Ickiewicza i K. Kordy, Tczew, 2006
16. L. Proskurnicki, „Zarys historii wojennej 65-go starogardzkiego pułku piechoty", Warszawa 1929
17. A. Romanow, „Gniew w latach 1815-1920", [w:] „Dzieje Miasta Gniewu do 1939 roku", pod red. B. Śliwińskiego, Pelplin 1998
18. T. Tollik, „Pamiętnik Tadeusza Tollika rodzonego w Janowie dnia 12 kwietnia 1898 roku", opracowali J. Bartosiewicz, J. Liguz-Kołakowska, Kwidzyn 2000
19. Z. Wendt, „Katrynka. Graniczna struga", Kwidzyn 2006

Krzysztof Korda
Historyk, którego zainteresowania koncentrują się wokół historii najnowszej, ruchu solidarnościowego w latach 80. XX wieku oraz pomorskiego ruchu regionalnego.

Lubicie muzea?

IZABELA KWIECIŃSKA

W Gnieźnie, pod koniec października br. miało miejsce wyjątkowe wydarzenie – pierwsze środowiskowe spotkanie właścicieli prywatnych muzeów i kolekcjonerów zabytków militarnych, organizatorów największych imprez militarnych w Polsce, jak również przedstawicieli instytucji państwowych merytorycznie zajmujących się kulturą oraz organizacji pozarządowych działających w obszarze obronności.

W rolę gospodarza wcielił się Mateusz Hen, dyrektor prywatnego Muzeum Techniki i Machin Wojennych, wspomagany przez przyjaciół.

Czas nie został wybrany przypadkowo. Wyznaczył go kończący się sezon imprez militarnych, w których czynny udział brali uczestnicy spotkania kreujący tę rzeczywistość. To najlepsza pora, aby można było zastanowić się nad formułą przedsięwzięć planowanych na przyszły – 2014 rok. To także doskonała okazja do wymiany doświadczeń, podniesienia umiejętności organizacyjnych prywatnych muzealników oraz nawiązania współpracy, a przede wszystkim wzajemnego poznania się. Bowiem niejednokrotnie bywa, iż mimo działania w podobnym obszarze, prywatni muzealnicy i kolekcjonerzy nie mają zbyt często okazji do spotkań. A w głównej mierze do zaprezentowania swojego dorobku i osiągnięć. A są one ogromne.

Spotkanie w Gnieźnie pozwoliło uświadomić wszystkim, że prywatni muzealnicy stanowią niemałą grupę ludzi, borykających się z podobnymi problemami, potrzebującymi wsparcia ze strony różnych instytucji i administracji.

To było wyjątkowe spotkanie. Nie mające charakteru „nasiadówek" z ciachami i kawą w tle. To było spotkanie Pasjonatów. Podczas wielogodzinnych, niezwykle emocjonalnych dyskusji, dawało się wyczuć ich energię i wielkie zaangażowanie w swoje przedsięwzięcia i radość z tego czym się zajmują. Niezależnie od wieku, charakteru kolekcji, miejsca z którego pochodzą. Największą wartością spotkania była możliwość powiedzenia głośno, że temat prywatnego muzealnictwa wymaga dostrzeżenia przez państwo, a co za tym idzie uregulowań prawnych, ale także dobrych praktyk na poziomie samorządowym. – *Potrzeba pokazania siły środowiska oraz tego, jak wiele zabytków ocalało dzięki kolekcjonerom czy właścicielom prywatnych pojazdów, to bardzo ważna sprawa dla losów polskich zabytków militarnych* – uzasadnia Jacek Kopczyński. *Niektóre instytucje państwowe, czy placówki muzealne w naszym kraju są bardzo otwarte, niektóre jednak traktują nas jak intruzów. A czasy się zmieniły i trzeba za nimi nadążać. Chcemy pokazać, że prywatne kolekcje, muzea tworzą prawdziwi pasjonaci, którzy nie limitują czasu pracy, nie liczą kosztów. W tym środowisku drzemie ogromne doświadczenie i gigantyczny potencjał* – dodaje Sławomir Handke. Nic dodać, nic ująć.

Gościem specjalnym był ppłk dr Krzysztof Gaj z Muzeum Wojska Polskiego. Jego prelekcja pt. „Czołg T-55AM „Merida" – nowa jakość polskich wojsk pancernych lat 1985-2001" wywołała wśród uczestników ogromny podziw. Przede wszystkim zasób wiadomości prelegenta na ten temat. Wie wszystko. Nie tylko w teorii. W praktyce również. Mieliśmy bowiem okazję zobaczyć go w „akcji".

„Wiecznie niezadowolona", czyli T-55AM „Merida", należąca do zbiorów Muzeum Techniki i Machin Wojennych, zaprezentowała się nam w pełnej krasie na poligonie. Dlaczego „Wiecznie niezadowolona"? – *To nazwa mająca konotacje historyczne* – tłumaczy Mateusz Hen. *Tak nazywał się pierwszy samochód, który przekroczył prędkość 100 km/h. Tego wyczynu, pobicia rekordu prędkości, wydawałoby się niemożliwego w tamtych czasach, dokonał Francuz Camille Jenatzy w 1899 roku. Ja też kocham wyzwania* – dodaje dyrektor Muzeum.

Spotkanie zorganizowane w Gnieźnie dało podwaliny integracji środowiska, coraz większego, które jak się okazuje, jeśli uniknie rozproszenia, może być poważnym partnerem dla instytucji państwowych zajmujących się m.in. muzealnictwem militarnym. – *Rozwiązanie problemów pojawiających się na styku placówki muzealne, urzędy decydujące o muzealnictwie, instytucje publiczne – kolekcjonerzy czy właściciele muzeów prywatnych, mają szanse powodzenia tylko dzięki wspólnemu dział*aniu – mówi Krzysztof Długokęcki, Szef Klubu Dziedzictwa Militarnego – reprezentanta środowiska. Na pierwszym spotkaniu udało się wstępnie wypracować formułę współpracy, która pozwali na wspólne rozwiązywanie problemów. Wyznaczono także model współdziałania z rozmaitymi przedmiotami gospodarczymi, instytucjami kultury oraz organizacjami pozarządowymi. Zadania jakie postawili sobie uczestnicy pierwszego środowiskowego spotkania są ambitne. Czy środowisko wykorzysta przywołane pomysły przełamując swoje schematy… czas pokaże.

A tytułowe pytanie – o postawę wobec prywatnych muzeów i kolekcji – kierujemy do instytucji, od których zależą strukturalno-prawne uwarunkowania regulujące problematykę muzeów prywatnych. Warto się nad nim zastanowić, choć wydaje się retoryczne, zanim środowisko polskich muzealników poszerzy się o kolejnego śmiałka, który pokona labirynt prawnych przeszkód, piętrzących się trudności oraz podniesie status własnej kolekcji do rangi muzealnej. Muzea wszak, poza działalnością ściśle naukową, stanowią ważne ogniwo w procesie wychowawczym i popularyzatorskim obszaru historycznej i kulturowej edukacji.

Podziemia w Ludwikowicach Kłodzkich – wpuszczanie w kanał…

TOMASZ RZECZYCKI

Od sierpnia br. w Ludwikowicach Kłodzkich (przy ul. Fabrycznej 37d), w ramach Muzeum Techniki Militarnej Mölke można zwiedzać podziemne kanały technologiczne na terenie byłej elektrowni i kopalni węgla kamiennego „Wacław". To kolejne podziemia w Górach Sowich udostępnione turystom, jednak pod względem genezy nie mają one nic wspólnego z zespołami podziemi w Walimiu, Osówce czy na Włodarzu.

Dlaczego mówimy o podziemnych korytarzach zarówno kopalni, jak i elektrowni? Bo były one ze sobą powiązane. Najpierw na terenie przysiółka Miłków, będącego częścią obecnych Ludwikowic Kłodzkich, powstała kopalnia – nastąpiło to w roku 1771. Później miały miejsce przekształcenia organizacyjne, np. w 1883 r. utworzono przedsiębiorstwo Consolidirite Wenceslaus, a w 1921 r. scalono kilka kopalń w jedną, której nadano nazwę „Wenceslaus". Nazwa ta po II wojnie światowej została przetłumaczona na kopalnię „Wacław" i taką będziemy się tu posługiwać.

Ludwikowicki zakład górniczy zamknięty został po raz pierwszy w 1931 r., w następstwie katastrofy górniczej z 9 lipca 1930 r., która spowodowała śmierć 151 górników. Reaktywowana niedługo potem kopalnia funkcjonowała jeszcze w latach 1933-1939. Potem została zatopiona. Próby jej odwodnienia i uruchomienia podejmowane na początku Polski Ludowej nie przyniosły rezultatów.

Węgiel, prąd i dynamit

Tuż obok kopalni w 1907 r. uruchomiona została przez prywatną spółkę elektrownia węglowa. Trzy lata później elektrownię przejęła inna niemiecka spółka i poddała rozbudowie. Zabudowania kopalni i elektrowni sąsiadowały ze sobą i tworzyły strukturalnie jeden kompleks. Po II wojnie światowej elektrownia nadal funkcjonowała, chociaż węgiel do niej trzeba było dowozić z dalszych kopalń. Kres jej działalności nastąpił po tym, jak w 1962 r. uruchomiono Elektrownię Turów w Bogatyni.

I być może, gdyby nie wybuch II wojny światowej, Miłków znany byłby do dziś jedynie z postindustrialnego krajobrazu i malowniczych ruin. Jednak w latach 1940-1943 na terenie wyłączonej z eksploatacji kopalni, Niemcy wybudowali fabrykę materiałów wybuchowych i amunicji Dynamit AG v. A. Nobel & Co – Mölke. Jej funkcjonowanie przez długie lata owiane było tajemnicą, głównie ze względu na znikomą ilość materiałów źródłowych. Ostatecznie udało się badaczom ustalić profil produkcji i odtworzyć historię jej funkcjonowania. Wcześniej jednak na temat obiektu powstało mnóstwo sensacyjnych teorii i niestworzonych hipotez, wynikających, jak to zwykle bywa, z braku wiedzy uniemożliwiającej właściwą identyfikację skomplikowanej i jednocześnie zdekompletowanej infrastruktury technologicznej, uznanej za wybitnie „tajemniczą". Aurze tej sprzyjały również zachowane relacje świadków – byłych robotników przymusowych i więźniów tutejszej filii obozu Gross-Rosen, stanowiących główną siłę roboczą. Osoby zainteresowane szczegółami odsyłam do artykułu p. Romana Owidzkiego, „Tajemnicza fabryka w Miłkowie" („Odkrywca" nr 100/2007 r.) oraz jego najnowszej, wydanej w tym roku książki „U bram Riese".

Obecnie nie ma śladu po części obiektów kompleksu kopalniano-energetycznego w Ludwikowicach Kłodzkich. W przeszłości zdemontowano m.in. torowiska, rozebrano stalowe wieże szybowe. Nielicznie zachowane budowle są w stanie zaawansowanej ruiny, inne, wyglądają nieco lepiej.

Teren pokopalniany należy do gminy Nowa Ruda. Został wydzierżawiony przez Stowarzyszenie Riese. W marcu 2013 r. rozpoczęto prace porządkowe. Teren ogrodzono, tam gdzie trzeba, wyrównano poziom gruntu. Najbardziej okazałą budowlą na tym terenie jest żelbetowa podstawa nieukończonej chłodni kominowej pochodząca z 1942 roku. Rzecz prozaiczna, a dla mieszkańców Bytomia, Czechowic-Dziedzic, Zabrza czy innych miejscowości – wręcz zwyczajny element krajobrazu przemysłowego. Tutaj jednak ten obiekt stał się dla organizatorów trasy podstawowym elementem, na którym oparli swój projekt. Dlaczego? Głównie ze względu na powstałą w drugiej połowie lat 90. teorię o tzw. „muchołapce", która zyskała liczne grono zwolenników, a z czasem wręcz wyznawców.

Legenda o „Muchołapce" opiera się na twierdzeniu, jakoby było to miejsce testów latających maszyn pionowego startu i lądowania, o awangardowej konstrukcji, napędzanych alternatywnymi źródłami energii. Wykreował ją na bazie paranaukowych twierdzeń, autor wielu poczytnych książek dotyczących m.in. technologicznych tajemnic II wojny światowej – Igor Witkowski. Oczywiście kontrowersyjny pogląd, że przeznaczenie „Muchołapki" miało związek z rozwiązaniami znanymi jedynie z literatury science-fiction został już wielokrotnie zdezawuowany. Również w sposób naukowy, z którego wynika, iż owa podstawa nie-

Fragment mapy „Bauleitung Ludwigsdorf" z okresu funkcjonowania fabryki dynamitu, obejmujący teren nieukończonej chłodni kominowej. Ze zbiorów K. Krzyżanowskiego.

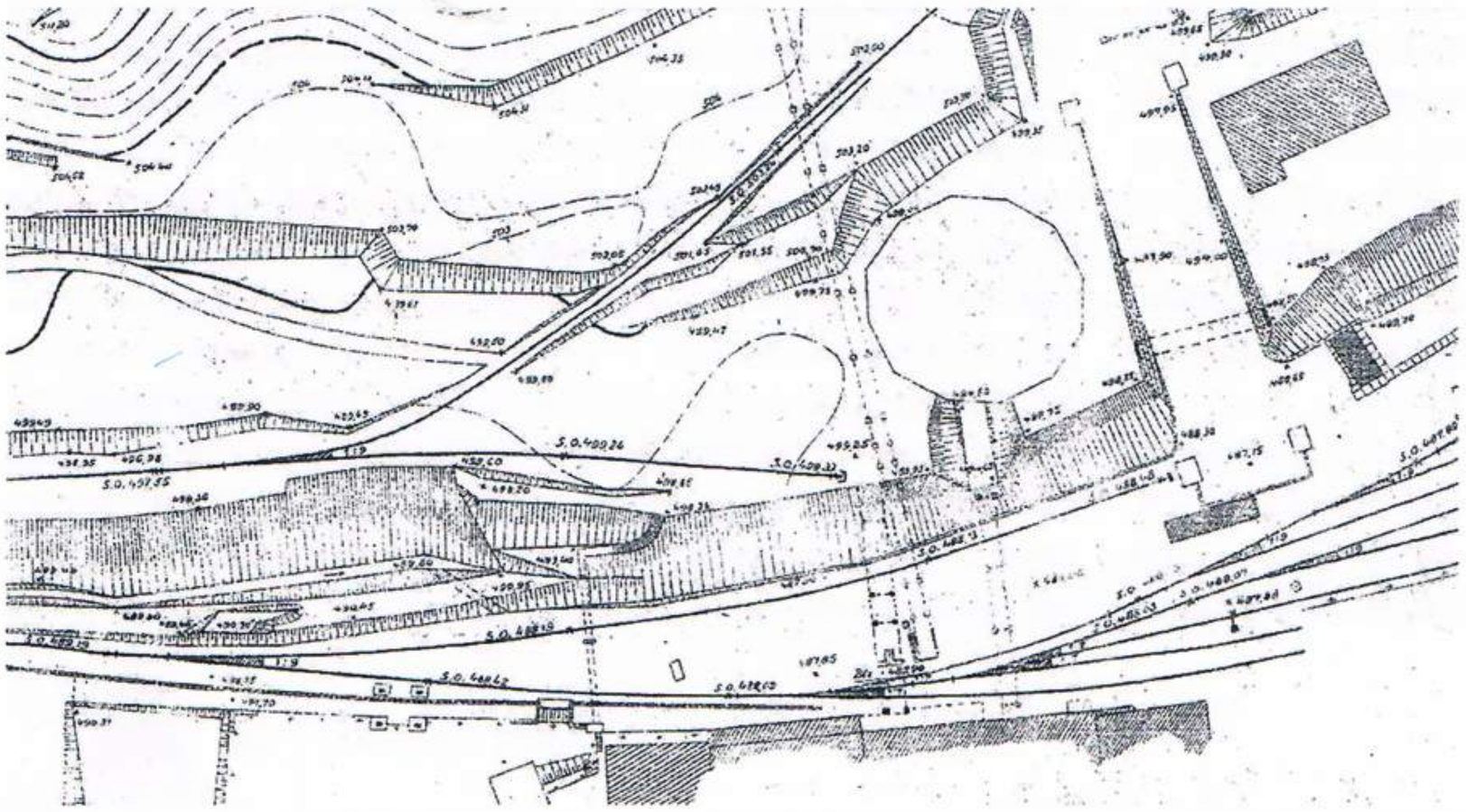

ukończonej chłodni kominowej nie ma w świetle obecnego stanu wiedzy żadnych związków z latającymi spodkami nazistów… No cóż, jeśli fakty nie pasują do teorii… tym gorzej dla faktów.

Swoją drogą najwyższy już czas, aby socjologowie i etnografowie przeprowadzili badania na temat mitów, w jakie wierzą (lub niewierzą) mieszkańcy Ziem Odzyskanych. Tak jak w zamierzchłych czasach wierzono w strzygi, upiory, w Smoka Wawelskiego czy śpiących rycerzy, tak w Sudetach żywe są legendy o skarbach w zaminowanej sztolni, o hitlerowskich latających talerzach, czy ukrytych pod ziemią fabrykach tajemnej broni z czasów II wojny światowej. Nie ma się z czego śmiać, może pora już opisać to zjawisko? Skoro są ludzie wierzący w takie dziwy, to czemuż by z tego nie skorzystać? Mniej więcej tą drogą poszli gospodarze terenu w Ludwikowicach Kłodzkich, udostępniając podziemia i adaptując je do ruchu turystycznego.

Zmiany zauważą głównie eksploratorzy, którzy wcześniej penetrowali ten obiekt.

Jak wspomina jeden z nich, który ok. 1995 r. badał te podziemia, wówczas istniały przynajmniej dwa drożne wejścia do podziemi: jedno koło podstawy pod chłodnię kominową, a drugie w formie szybu z klamrami. – *Podziemia mają trzy poziomy* – wyjaśnia krakowianin. – *Górny to zbiornik na wodę w stoku Włodyki, powyżej górnej betonówki. Pośredni poziom to Muzeum Mölke, a dolny, to chyba kanał odwadniający. On jest cały w cegle, był kiedyś na okładce »Odkrywcy«* („Odkrywca" nr 10/2004 – przyp. redakcji), *zaczyna się na dole pod wiaduktem, idzie pod terenem tartaku – tam są ze dwie studzienki inspekcyjne – potem przechodzi pod terenem Muzeum Mölke, ma połączenie z powierzchnią w grzybku koło drogi i wchodzi jeszcze jakieś 500 m pod Gruntową na zachodnim zboczu.*

Ufo na planszach

Wiosną 2013 r. przemodelowane zostało wejście do podziemi – z poziomu dawnej chłodni kominowej. Gospodarze terenu zbudowali mur oporowy, wykonali w nim główne wejście dla turystów, a obok, inne wejście, z którego wyprowadzili krótki odcinek wąskiego toru. Ustawiono na nim kopalniane wagoniki, co daje wrażenie wylotu ze sztolni transportowej lub eksploatacyjnej. Za głównym wejściem turystycznym oczom zwiedzających ukazuje się zamknięte wejście oraz oszklone, duże okno do pomieszczenia ucharakteryzowanego na jakąś centralę łączności lub też sztab wojenny. Ustawiono tam manekiny w niemieckich mundurach. Turysta ma wrażenie, że przechodzi obok sztabu dowódczego na froncie. Do tego pomieszczenia nie można wejść, podgląda się go jedynie przez szybę z korytarza wejściowego. Podobnie jak „sztolnia" z wyjeżdżającymi wagonikami, tak i ten pokój, ze scenką rodzajową, stanowią wytwór fantazji i pomysłowości gospodarzy terenu. Przy dzisiejszym stanie techniki różnice między tym, jak tu było, a tym, jak jest teraz – łatwo wychwycić.

Taki transparent powieszono na otwarcie ludwikowickiej atrakcji…

Zainteresowanym polecam zarówno filmy, jak i fotografie z kanałów oraz z wejścia do nich sprzed marca 2013 roku – można je znaleźć w internecie.

Udostępniona do zwiedzania część kanałów otrzymała oświetlenie elektryczne. Z korytarza wejściowego można pójść w głąb podziemi na dwa sposoby, przez dwie pary drzwi – na wprost, albo w lewo. Gdziekolwiek pójdziemy, zobaczymy w sumie to samo, bowiem dostępna do zwiedzania część podziemi stanowi w uproszczeniu pętlę z odgałęzieniami. Idąc w lewo, wchodzimy do kilkunastometrowej pochylni z pomalowanymi na biało ścianami. Oświetlają ją lampy przypominające wyglądem stare lampy górnicze. Pochylnia kończy się dochodząc do prostopadłego do niej pochyłego kanału, którym można zejść pod „chłodnię-muchołapkę", jeśli się skręci w lewo.

Skręcając w prawo, wchodzimy w zasadniczą część ceglanych kanałów technicznych. Zostały one uporządkowane, a wcześniejszy ogląd z powierzchni pozwala stwierdzić, że w trakcie prac adaptacyjnych zdjęto nadkład gruntu i przynajmniej część prac zabezpieczających stropy przed infiltracją wody wykonano z powierzchni. Świadczy o tym stan skarpy za murem oporowym, która nie zdążyła jeszcze porosnąć roślinnością.

Mur oporowy (z lewej) i „wjazd do sztolni", to pomysł gospodarzy terenu. Zbudowano je w 2013 roku.

„Pomieszczenie sztabowe" tuż za wejściem do podziemi.

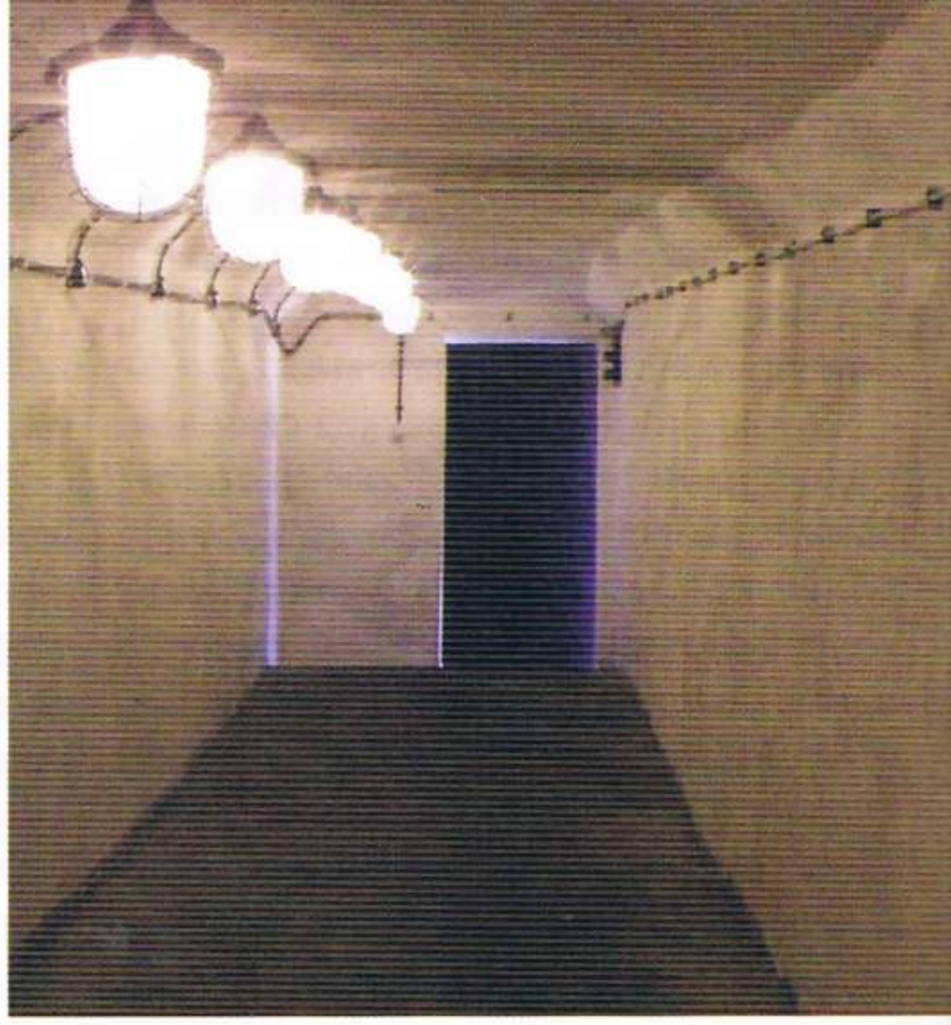

Pochylnia prowadząca od pomieszczenia wejściowego do właściwej części kanałów.

Zostawmy skarpę, wróćmy do podziemi.

Udostępnione turystom kanały są na tyle wysokie, że można w nich chodzić swobodnie, bez schylania głowy. Na ścianach powieszono plansze tematyczne odnoszące się do różnych, niestworzonych wręcz historii dotyczących czasów II wojny światowej. Organizatorzy zwiedzania przyjęli konwencję prezentowania nawet najbardziej niedorzecznych, wspomnianych już wcześniej hipotez. Turysta po obejrzeniu plansz może wyjść z przekonaniem, że jedni uważają betonową konstrukcję za chłodnię kominową, inni za wyrzutnię latających spodków, „a jak było naprawdę, to nie wiadomo". To trochę tak, jakby w krakowskiej jaskini pod Wawelem z całą powagą informować, że zdaniem jednych jest to jaskinia krasowa wymyta w skale wapiennej przez wodę, według innych, to siedziba smoka, który zagrażał krakowianom w średniowieczu. Różnica jest taka, że o ile w fikcyjnego smoka wierzą tylko dzieci, to w podobnie zmyślone hitlerowskie, latające spodki zaczyna wierzyć niejeden dorosły odwiedzający ludwikowickie podziemia.

Umieszczone w podziemiach plansze zostały wykonane estetycznie. Ten, kto zwiedzał podziemia „Riese" pod koniec XX w. może sobie przypomnieć, jak topornie wykonane zostały pierwsze plansze informacyjne ustawione w sztolniach walimskich. To pochodna zmian w technologii komputerowej i drukarskiej. Dzięki temu, jak również dzięki możliwościom programów graficznych, można teraz dokonywać montaże graficzne, retusze itp., co w efekcie podnosi wiarygodność prezentowanych turystom informacji.

Zabawa w kanałach

Przez kilka pierwszych dni ludwikowickie podziemia można było oglądać bezpłatnie, nawet samodzielnie. Było to bezpieczne rozwiązanie, gdyż turyści nie byli w stanie zgubić się w udostępnionym fragmencie kanałów. Otwarcie podziemi na początku sierpnia połączone zostało z widowiskiem plenerowym zorganizowanym przez grupy rekonstrukcyjne. Przybyłym na to wydarzenie turystom nie umknął błąd w zapisie nazwy kopalni, umieszczony na jednym z transparentów wywieszonych na terenie Muzeum Mölke. Otóż kopalnia „Wacław" nazywała się ongiś „Wenceslaus Grube", a nie „Wencelaus Grobe".

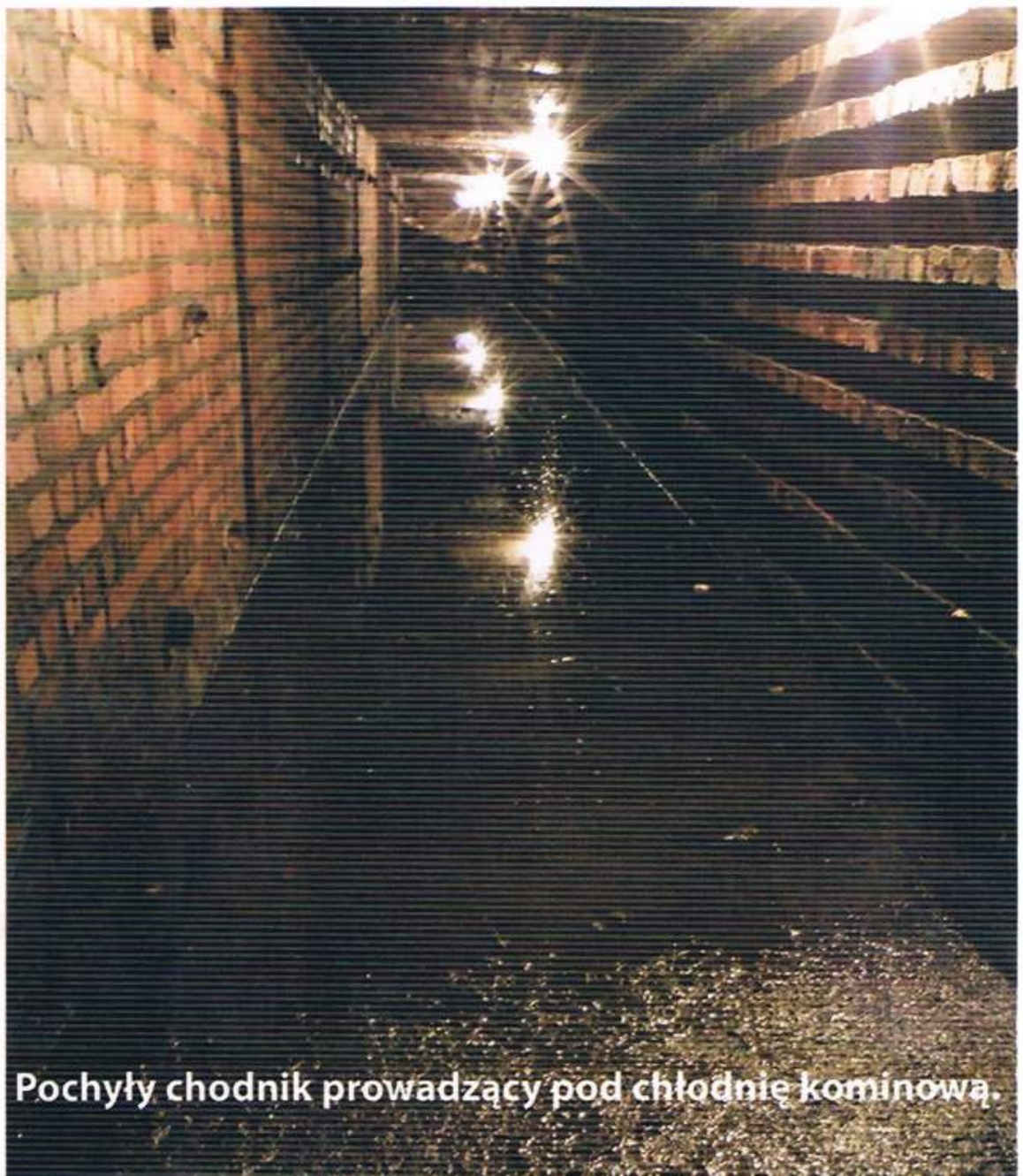

Pochyły chodnik prowadzący pod chłodnię kominową.

Osoba odwiedzająca ludwikowicką atrakcję turystyczną nie dowie się raczej, czy tamtejsze podziemia zbudowano metodą odkrywkową, a potem nasypano ziemię, czy też powstały one metodą głębinową. Nie dowie się też, czy łączyły one kopalnię z elektrownią, czy były kanałami wewnętrznymi elektrowni, a może wykonano je dopiero na potrzeby zakładu zbrojeniowego podczas II wojny światowej? Zabrakło choćby wzmianki o tym, że były to kanały techniczne, w których zamontowano onegdaj rury, przewody i instalacje potrzebne do właściwego funkcjonowania ludwikowickiego kompleksu przemysłowego, tudzież, że są tu również kanały odwadniające. Wydaje się, że można było w większym stopniu zaprezentować rzeczywistą historię obiektu z okresu II wojny światowej, kiedy to w Ludwikowicach Kłodzkich faktycznie funkcjonowała fabryka materiałów wybuchowych, wykorzystująca niewolniczą pracę robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych.Bezsprzecznie należałoby również, choćby wzorem pozostałych podziemnych obiektów turystycznych w Górach Sowich, podkreślić aspekt martyrologiczny i upamiętnić liczne ofiary, które straciły życie w tutejszych zakładach.

Kończąc powyższe rozważania, trzeba przyznać, że gospodarz terenu włożył

niemało trudu w uporządkowanie i zagospodarowanie kanałów oraz ich otoczenia, i chwała mu za to. Obiekt zagospodarowany i dozorowany ma większą szansę przetrwać dłużej w lepszym stanie, niż gdyby go dalej pozostawić samopas. Natomiast efekt tych prac oceniony został przez część środowiska zainteresowanego historią i eksploracją mianem Disneylendu. Można odnieść wrażenie, że sensacja, rozrywka i niespójność tematyczną przedłożono tu ponad przedstawienie prawdy historycznej o ciekawym zabytku techniki przemysłowej w Górach Sowich. Przypuszczam, że gospodarzom zabrakło wiary w to, że same podziemia zdołają przyciągnąć turystów. Dlatego postawiono na tajemną broń i latające spodki.

Przypomnijmy, że w czasach PRL, gdy władze województwa wałbrzyskiego pierwszy raz przymierzały się do udostępnienia turystom podziemi Osówki, również uważano (błędnie!), że same podziemia są zbyt małą ciekawostką. Postulowano zbudować obok nich wyciąg narciarski i ośrodek wypoczynkowy. Prawda jest jednak nieco inna. Czego przykładem jest Kopalnia Zabytkowa w Tarnowskich Górach, którą rocznie odwiedza kilkadziesiąt tysięcy osób, mimo, że przewodnicy nie okraszają swoich opowieści nieprawdziwymi historyjkami, tylko po prostu oprowadzają po podziemiach. Są one bowiem magnesem samym w sobie, a prawda o ich dziejach jest bardziej frapująca, niż nawet najbardziej naciągana legenda.

Jest jeszcze jedna kwestia, na którą przy okazji tych rozważań należy zwrócić uwagę. Kwestia finansowania przedsięwzięcia. Ludwikowicka podziemna trasa turystyczna prowadzona jest przez prywatne Stowarzyszenie, które samo musi zarobić na jej funkcjonowanie – co ma ścisły związek z frekwencją odwiedzin. Zrozumiałe jest więc, że podejmuje różne działania, starając się przyciągnąć jak największą ilość turystów. Cóż zatem robi? Podnosi atrakcyjność obiektu sensacyjnymi, nie mającymi nic wspólnego z jego historią opowieściami, np. o niemieckich latających spodkach z napędem antygrawitacyjnym… Co już trudno zrozumieć.

Owszem, nie ma nic niestosownego we wprowadzaniu „elementów rozrywkowych" do podziemi, tak, jak to w udany sposób zrobiono w Złotym Stoku, urządzając w Kopalni Złota wystawę tabliczek z czasów PRL, czy montując zjeżdżalnię półrurową itp. Przede wszystkim jednak należy przedstawić turystom rzeczowe, historyczne informacje co tak naprawdę znajdowało się na terenie ludwikowickiego zakładu, aby opuszczając go, wynieśli kompleksową wiedzę na jego temat, a nie tylko i wyłącznie „kosmiczne banialuki".

Literatura:
1. „Historia i kronika Kopalni Węgla Kamiennego »Nowa Ruda«" (praca zbiorowa), bdw.
2. red. T. Przerwa, „W cieniu Wielkiej Sowy. Monografia Gór Sowich", Dzierżoniów 2006
3. K. Krzyżanowski, D. Wójcik, „Kopalnia w Ludwikowicach Kłodzkich" [w:] „Sudety" nr 1/ 2004, s. 16-17
4. B. Rdułtowski, „Ostatni sekret Wunderwaffe". Cz. III, Kraków 2011
5. R. Owidzki, „W cieniu »Riese«" [w:] „Odkrywca" nr 6/2008, s. 19

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Obrotowy most kolejowy przy twierdzy Boyen

KRZYSZTOF STACHOWSKI

Czy przed 1945 rokiem istniał w Giżycku obrotowy most kolejowy?

Tocząca się od jakiegoś czasu w pewnych kręgach dyskusja nad tym zagadnieniem, zmobilizowała mnie do odszukania odpowiedzi na to pytanie. Wielu zainteresowanych tym tematem sceptycznie odnosiło się do tezy, iż most kolejowy mógł być ruchomy… Ja również nie byłem przekonany. Przed II wojną światową na Kanale Łuczańskim istniały dwie przystanie świadczące usługi w zakresie transportu wodnego. Ten fakt był jednym z argumentów przeciwko tezie „obrotowości" mostu kolejowego. Po wojnie, przez jakiś czas, w tym samym miejscu również funkcjonowały dwie przystanie, a statki z Giżycka odchodziły tylko na północ lub na południe. Nie przechodziły przez cały kanał za sprawą nisko posadowionego mostu kolejowego. W ogólnie dostępnych źródłach zarówno przedwojennych, jak i powojennych nie odnotowano faktu istnienia obrotowego mostu kolejowego. Odpowiedzi na to pytanie zacząłem szukać w literaturze fachowej oraz dostępnych archiwach.

W 2010 r. przeglądając archiwa dawnego PZW (Państwowy Zarząd Wodny) oraz PKP, natrafiłem na dokumenty potwierdzające istnienie przed wojną obrotowego mostu kolejowego w Giżycku. Pierwsza powojenna notatka odnośnie przedmiotowego mostu pochodzi z 9 stycznia 1946 r. i jest zatytułowana „Wykaz mostów zniszczonych na kanale żeglugi w Łuczanach". W wykazie tym prawdopodobnie przez przypadek odnotowano najpierw, iż był to most zwodzony, po czym poprawiono na obrotowy. Następne wykazy oraz pisma nie zawierały już tego błędu. Wśród licznej korespondencji dotyczącej tego obiektu znalazł się jeden bardzo istotny dokument potwierdzający istnienie kolejowego mostu obrotowego przed rokiem 1945. Dokument pochodzi z 22 stycznia 1947 roku.

Analizując powojenne dzieje mostu kolejowego próbowałem jednocześnie szukać informacji w przedwojennej literaturze fachowej. Rezultat przyszedł dość szybko, lecz była to tylko wzmianka o dwóch mostach obrotowych na Kanale Łuczańskim. Odnalazłem ją przeglądając niemieckie roczniki hydrologiczne, a konkretnie, rocznik z 1905 roku. Niestety, był to tylko odnośnik na stronie poświęconej stanom wody wodowskazu na Kanale Łuczańskim. Dalsze poszukiwania zaowocowały kolejnym, a zarazem najstarszym dokumentem, jaki udało mi się do tej pory odnaleźć, tj. niemieckim informatorem dróg wodnych żeglownych z 1883 roku. Przedstawiony poniżej fragment informatora opisuje parametry oraz kilometraż mostów na Kanale Łuczańskim – szlaku głównego Pisz-Węgorzewo.

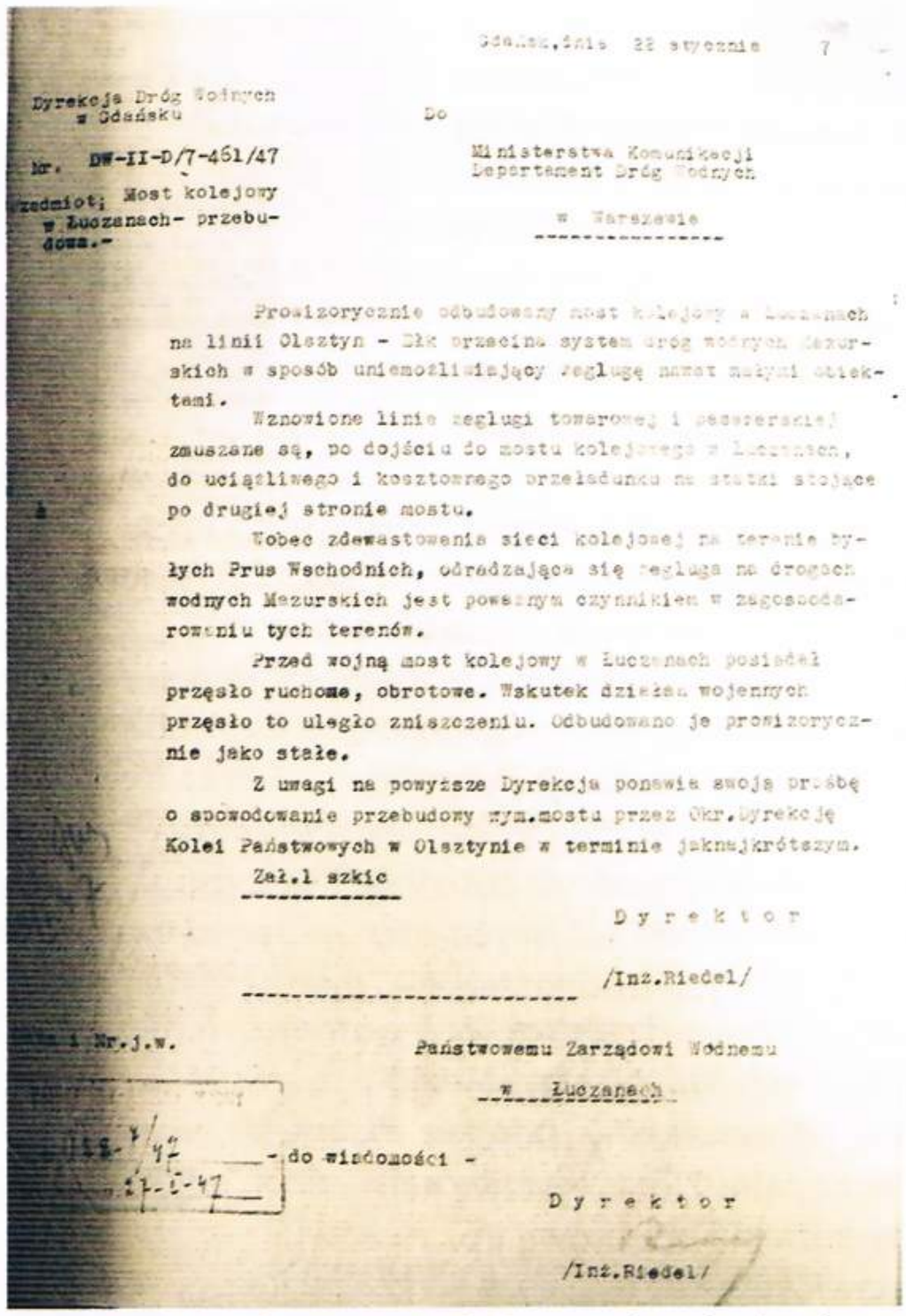

Gdańsk, dnia 22 stycznia 47

Dyrekcja Dróg Wodnych
w Gdańsku

Do

Ministerstwa Komunikacji
Departament Dróg Wodnych
w Warszawie

Nr. DW-II-D/7-461/47

Przedmiot: Most kolejowy w Łuczanach- przebudowa.-

Prowizorycznie odbudowany most kolejowy w Łuczanach na linii Olsztyn - Ełk przecina system dróg wodnych Mazurskich w sposób uniemożliwiający żeglugę mimo usytuowania obiektami.

Wznowione linie żeglugi towarowej i pasażerskiej zmuszane są, po dojściu do mostu kolejowego w Łuczanach, do uciążliwego i kosztownego przeładunku na statki stojące po drugiej stronie mostu.

Wobec zdewastowania sieci kolejowej na terenie byłych Prus Wschodnich, odradzającą się żeglugę na drogach wodnych Mazurskich jest poważnym czynnikiem w zagospodarowaniu tych terenów.

Przed wojną most kolejowy w Łuczanach posiadał przęsło ruchome, obrotowe. Wskutek działań wojennych przęsło to uległo zniszczeniu. Odbudowano je prowizorycznie jako stałe.

Z uwagi na powyższe Dyrekcja ponawia swoją prośbę o spowodowanie przebudowy wym.mostu przez Okr.Dyrekcję Kolei Państwowych w Olsztynie w terminie jaknajkrótszym.

Zał.1 szkic

Dyrektor

/Inz.Riedel/

Do wiad. i Nr.j.w.

Państwowemu Zarządowi Wodnemu
w Łuczanach

- do wiadomości -

Dyrektor

/Inz.Riedel/

Niemiecki informator dróg wodnych żeglownych, III część, Berlin 1883, fragment str. 50.

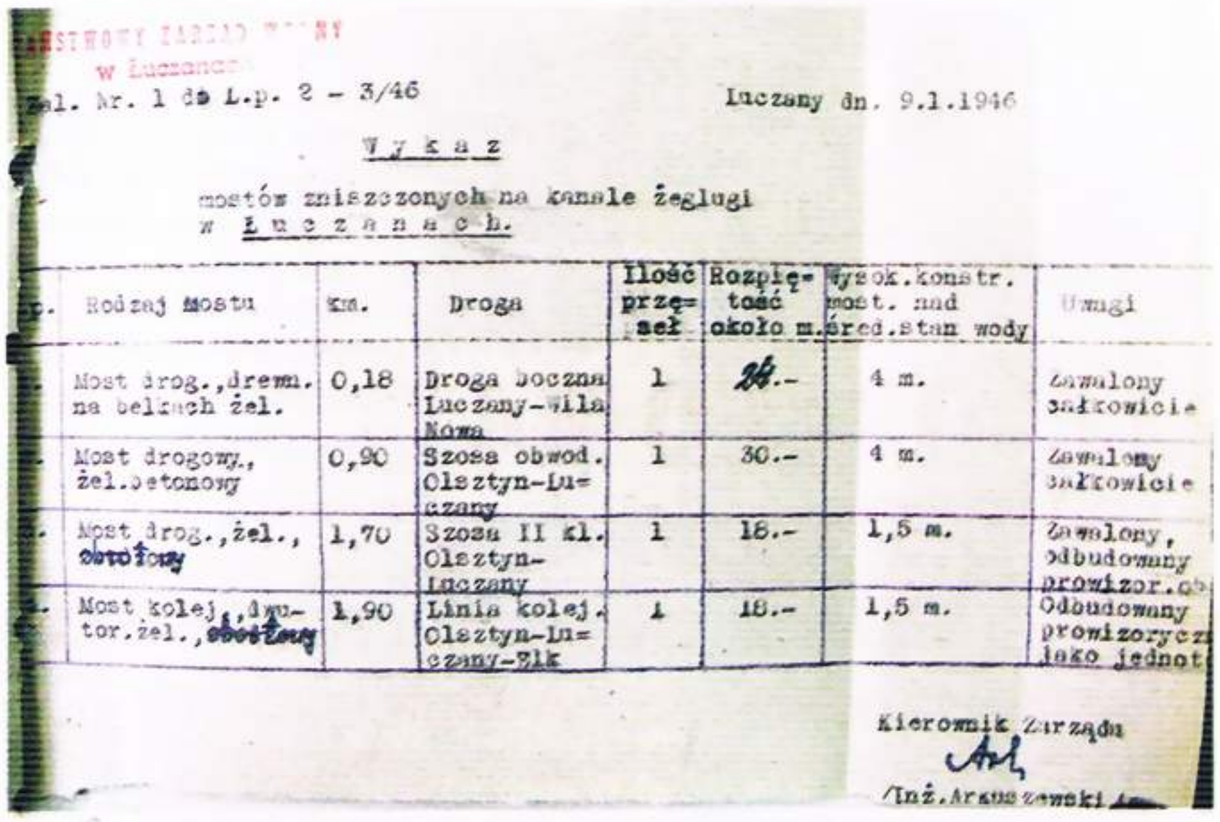

PAŃSTWOWY ZARZĄD WODNY
w Łuczanach

Zał. Nr. 1 do L.p. 2 - 3/46

Łuczany dn. 9.1.1946

Wykaz

mostów zniszczonych na kanale żeglugi
w Łuczanach.

Lp.	Rodzaj mostu	km.	Droga	Ilość przęseł	Rozpiętość około m.	Wysok. konstr. most. nad śred. stan wody	Uwagi
1.	Most drog.,drewn. na belkach żel.	0,18	Droga boczna Łuczany-Wilamowa	1	26.-	4 m.	Zawalony całkowicie
2.	Most drogowy., żel.betonowy	0,90	Szosa obwod. Olsztyn-Łuczany	1	30.-	4 m.	Zawalony całkowicie
3.	Most drog.,żel., obrotowy	1,70	Szosa II kl. Olsztyn-Łuczany	1	18.-	1,5 m.	Zawalony, odbudowany prowizor.ob
4.	Most kolej.,dwutor.żel., obrotowy	1,90	Linia kolej. Olsztyn-Łuczany-Ełk	1	18.-	1,5 m.	Odbudowany prowizorycz jako jednot

Kierownik Zarządu

/Inż.Arkuszewski/

Wykaz mostów zniszczonych na kanale żeglugi w Łuczanach, 9 stycznia 1946 r. Zbiory archiwum dawnego PZW.

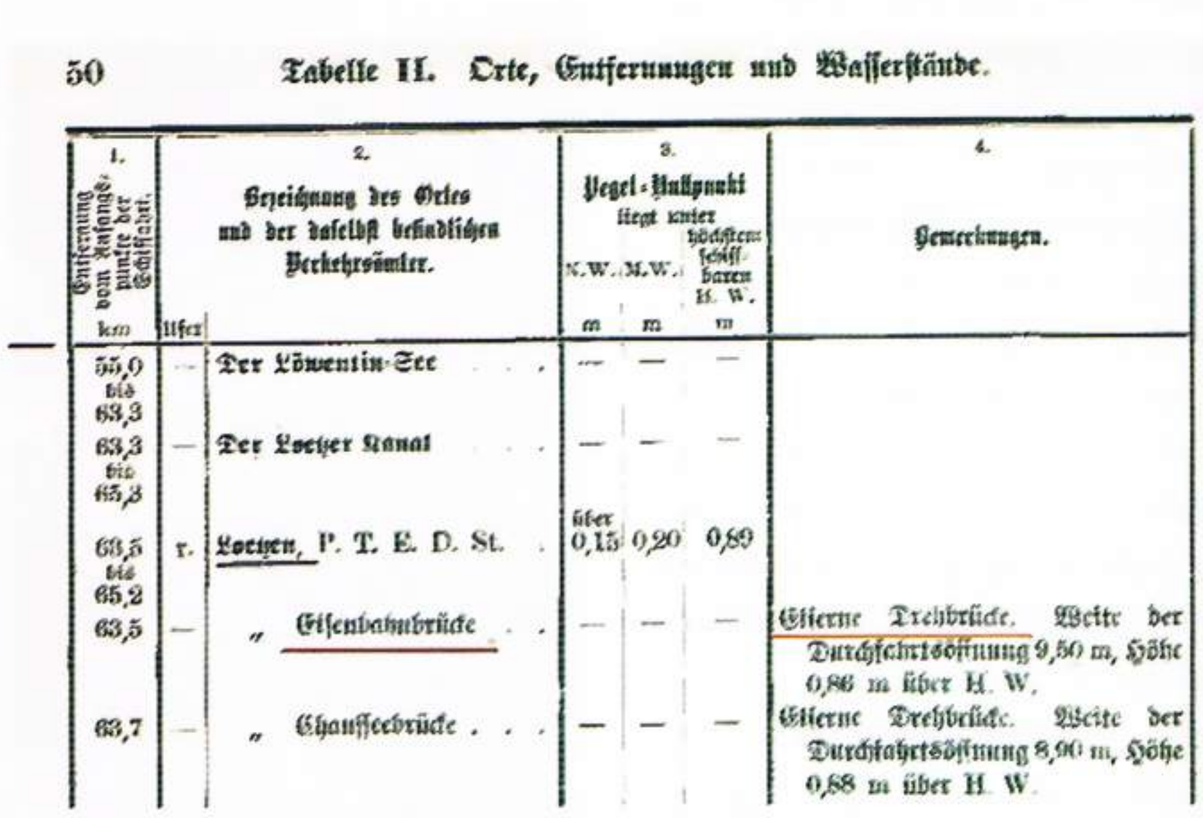

50 Tabelle II. Orte, Entfernungen und Wasserstände.

1. Entfernung vom Anfangspunkte der Schiffahrt. km	Ufer	2. Bezeichnung des Ortes und der daselbst befindlichen Verkehrsämter.	3. Pegel-Nullpunkt liegt unter N.W. m	M.W. m	höchstem schiffbaren H. W. m	4. Bemerkungen.
55,0 bis 63,3	—	Der Löwentin-See	—	—	—	
63,3 bis 63,8	—	Der Loetzer Kanal	—	—	—	
63,5 bis 65,2	r.	Loetzen, P. T. E. D. St.	über 0,13	0,20	0,89	
63,5	—	„ Eisenbahnbrücke	—	—	—	Eiserne Drehbrücke. Weite der Durchfahrtsöffnung 9,50 m, Höhe 0,86 m über H. W.
63,7	—	„ Chausseebrücke	—	—	—	Eiserne Drehbrücke. Weite der Durchfahrtsöffnung 8,90 m, Höhe 0,88 m über H. W.

Pismo z dnia 22 stycznia 1947 r. Zbiory archiwum dawnego PZW.

Lata 1868-1945

Kolejowy most obrotowy na Kanale Łuczańskim powstał w 1868 roku. Dwutorowy obiekt konstrukcji stalowej został oddany do użytku wraz z odcinkiem linii kolejowej Kętrzyn--Ełk 7 grudnia 1868 roku. Od samego początku stał się obiektem o znaczeniu militarnym. Dlatego m.in. w tym samym roku, w jego obrębie, wykonano otwarty w szyi trapezowy szaniec ziemny z murowaną, jednokondygnacyjną reditą. Zadaniem tej budowli była obrona mostu przed niespodziewanym atakiem nieprzyjaciela – stąd na koronie wału znajdowała się krata forteczna z bramą, a na stoku – kilka rzędów zapór przeciwpiechotnych. Nie bez powodu obiekt ten powstał po wschodniej stronie Kanału Łuczańskiego, bronił bowiem dostępu do mostu, jak również do zachodniej części miasta, sąsiadującej z twierdzą Boyen. Ponieważ most zaliczał się do obiektów strategicznych, obowiązywał zakaz jego fotografowania oraz opisywania w ogólnodostępnej literaturze. Do naszych czasów przetrwało kilka zdjęć ukazujących most kolejowy. Wykonano je niejako przy okazji uchwycenia kanału lub jednostek pływających, a sam most był tylko tłem fotografii.

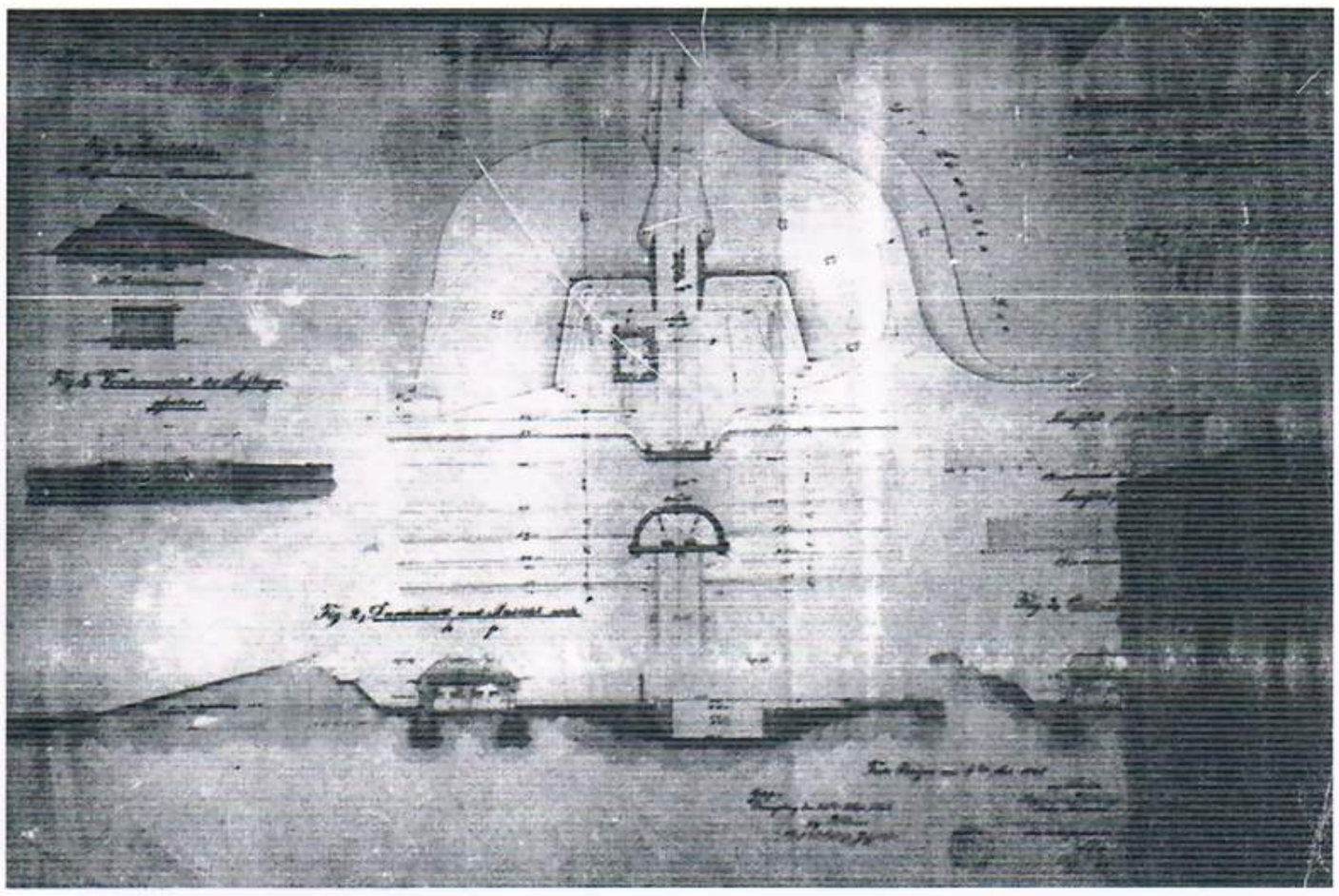

Rysunek projektowy szańca z reditą oraz przyczółków mostu kolejowego, 8 maja 1868 r. Zbiory Wojciecha Rużewicza.

Podstawowe dane (karta identyfikacyjna/ewidencyjna):
1. Linia: Królewiec-Korsze-Ełk.
2. Szlak międzystacyjny: Giżycko-Sterławki Wielkie.
3. Kilometr: 131,9
4. Przeszkoda: Kanał Łuczański.
5. Charakterystyka mostu: most stalowy, jednoprzęsłowy; blachownica stalowa, nitowana.
6. Długość przęsła: 21 m
7. Szerokość przęsła: 8 m
8. Rzędna spodu konstrukcji: 117,55 m n.p.m. NN
9. Światło mostu: 9,50 m
10. Prześwit: 0,86 m
11. Ilość torów na moście: 2
12. Przyczółki: betonowo-kamienne, w górnej części licowane cegłą.
13. Fundamenty przyczółków: betonowe.
14. Rok budowy: 1868

Konstrukcja mostu

Kolejowy, dwutorowy most obrotowy (Zweigleisige Eisenbahn drehbrücke) posiadał przęsło ruchome, obracalne wokół osi pionowej. W jednym położeniu, skrajnym, przęsło spoczywało na obu przyczółkach umożliwiając komunikację kolejową poprzecznie do kanału, w drugim przęsło ustawiało się równolegle do osi kanału otwierając drogę wodną, przerywając równocześnie komunikację kolejową. Oś obrotu w moście kolejowym stanowił kozieł żelazny z czopem, na którym spoczywał most, przy czym do mostu przytwierdzone były kółka biegnące na przyczółku po torze kolistym. Mechanizm do obracania przęsła składał się z korby, przekładni z kół zębatych, koła zazębionego i segmentu zębatego. Konstrukcję ustroju niosącego przeprawy kolejowej stanowiła belka kratownicowo-blachownicowa, w części zachodniej zaopatrzona w skrzynię balastową – przeciwwagę. Pokład przęsła (pomostu) ze stalowej blachownicy z torami kolejowymi został oparty na betonowo-kamiennych przyczółkach. Przy zachodnim przyczółku posadowiono sterówkę z mechanizmami windy.

Obsługa mostu

W sezonie żeglugowym most obrotowy wymagał stałej obsługi ze względu na nocną żeglugę towarową. Przed II wojną światową żegluga na szlaku jezior mazurskich odbywała się również nocą, dlatego most kolejowy wymagał ciągłej, 24-godzinnej obsługi.

Pod koniec II wojny celem utrudnienia natarcia Armii Radzieckiej zaczęto wysadzać lub unieruchamiać wszystkie ważniejsze mosty na drogach lądowych i kolejowych przecinających cieki wodne. Taki sam los spotkał most kolejowy. 22 stycznia 1945 r. przez most obrotowy przejechał ostatni pociąg, zabierając uciekinierów z Giżycka przed zbliżającą się Armią Czerwoną. 24 stycznia kolejowy most obrotowy został zaminowany, a 25 stycznia wysadzony, wraz z pozostałymi mostami na Kanale Łuczańskim. Rozbite przęsło mostu jeszcze przez dłuższy czas zalegało w korycie kanału. Zdjęcia z tego okresu można znaleźć w serwisie www.fotohistoria.pl

Lata 1945-1962

Po wojnie wysadzony most kolejowy został wkrótce zastąpiony prowizorycznym mostem tymczasowym wykonanym przez wojska radzieckie. Most posadowiono na palach wbitych pomiędzy zwalone do kanału dźwigary i beton wysadzonego podczas działań wojennych mo-

Widok na obrotowy most kolejowy od strony jeziora Niegocin. Zb. Kazimierza Pietrachowicza.

Kolejowy most obrotowy w fazie otwarcia. Zb. Kazimierza Pietrachowicza.

stu obrotowego. Ponieważ pale wbito w środek kanału most stanowił zaporę nie do przebycia dla jednostek pływających. Już w 1946 r. instytucje związane z utrzymaniem dróg wodnych i transportem śródlądowym informowały Ministerstwo Komunikacji o konieczności odbudowy obrotowego mostu kolejowego. Most ten bowiem rozdzielał jeziora północne od południowych, uniemożliwiał przejście jednostek przez Kanał Łuczański. Pod koniec 1947 r. pozostałości kolejowego mostu obrotowego wydobyto i całkowicie usunięto z kanału, poprawiając przy tym jego konstrukcje.

Niestety, i te zabiegi nic nie zmieniły.

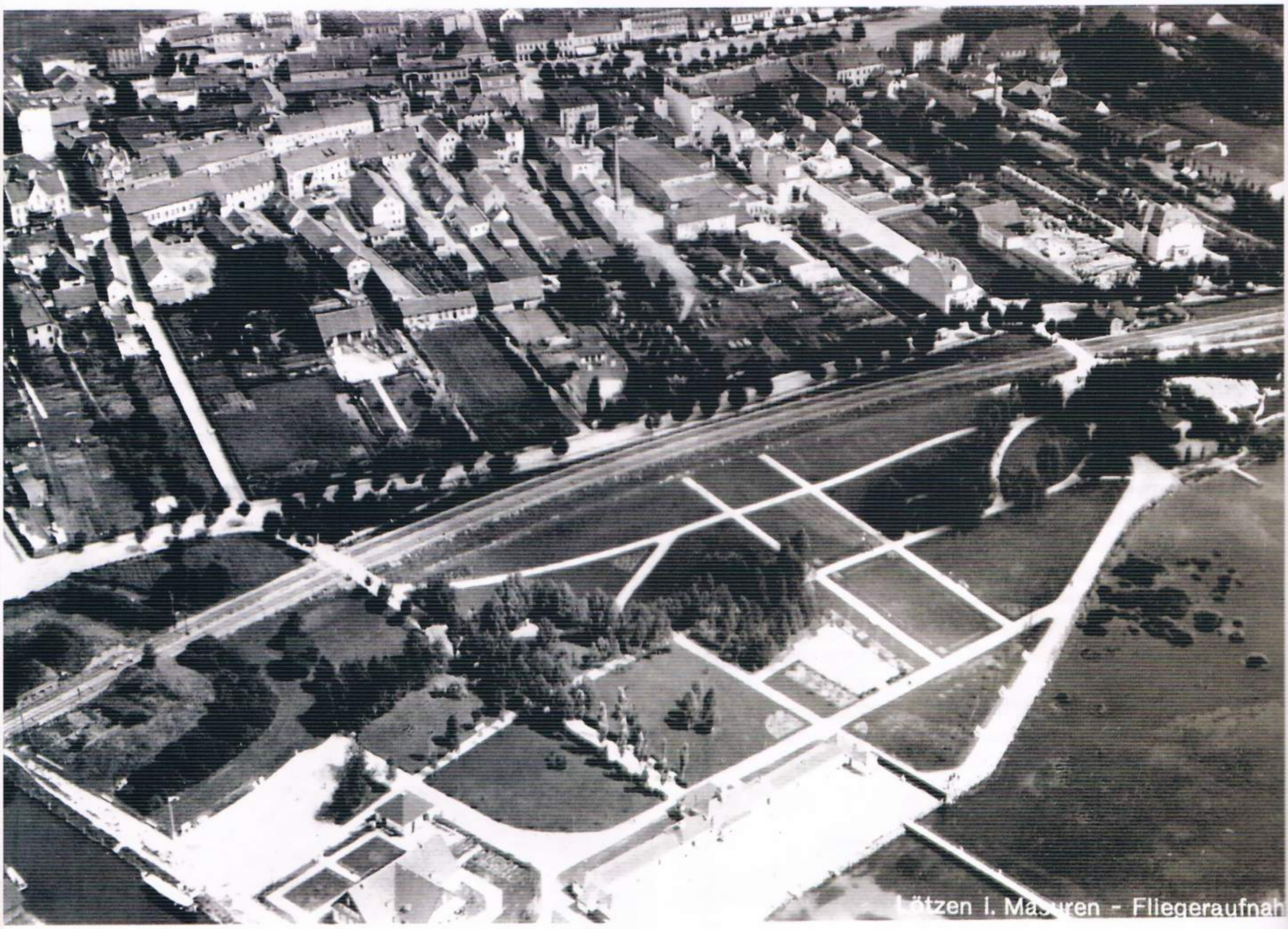

Widok z lotu ptaka. Po lewej stronie widoczna redita z szańcem przy obrotowym moście kolejowym oraz poziom na jakim znajdowały się nasypy kolejowe. Zb. Kazimierza Pietrachowicza.

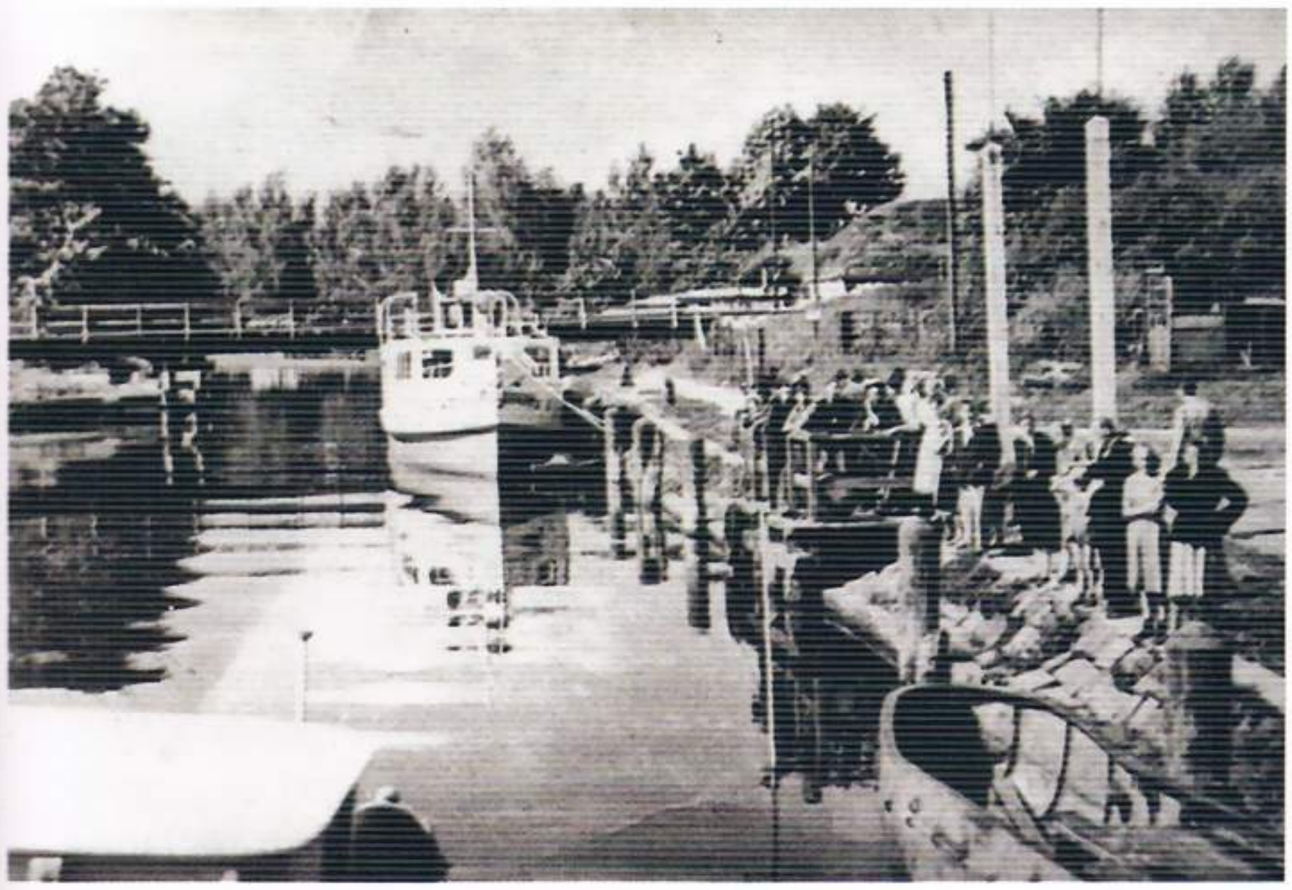

Most kolejowy – rok 1957. Zbiory własne.

Widok na most kolejowy – lata 50. Zbiory własne.

Wobec tego w 1954 r. powstał projekt nowego mostu kolejowego, który miał umożliwić żeglugę przez cały kanał. W 1955 r. rozebrano starą prowizoryczną konstrukcję i przystąpiono do budowy nowej, podnosząc przy tym nasypy kolejowe. Jednak i w tym wypadku nowa konstrukcja nie zapewniła swobodnego przejścia przez most jednostek o większych rozmiarach – przyczyną był nadal zbyt mały prześwit.

Problem ten miały rozwiązać urządzenia obrotowe lub podnoszone zamontowane bezpośrednio na moście. Projektowana konstrukcja ruchoma, posadowiona w miejscu mostu obrotowego, początkowo miała być jednotorowa, docelowo – dwutorowa. Niestety, mimo dobrych chęci i zapewnień, projekt nigdy nie został zrealizowany.

Ostatecznie, na przełomie 1960/61 roku kolej opracowała projekt stałego podniesienia mostu do rzędnej 120,80 m n.p.m. Kr (Kronsztadt – poziom odniesienia w metrach, nad poziomem morza), z budową mostu i prowizorycznego objazdu dla umożliwienia postawienia mostu stałego i utrzymania ciągłości ruchu pociągów.

Projekt z tego okresu zakładał:

1. Budowę mostu 2-przęsłowego opartego na dwóch przyczółkach betonowych i środkowym betonowym filarze. Na filarze oparto 2 przęsła, jedno nad nowo projektowaną ulicą (utworzenie nowego przejazdu do przystani Żeglugi Mazurskiej – przedłużenie ulicy Nadbrzeżnej), drugie nad Kanałem Łuczańskim.

2. Budowę prowizorycznego toru objazdowego – na czas wznoszenia mostu stałego.

3. Podniesienie nasypów kolejowych i mostu, celem zapewnienia odpowiedniego prześwitu pod mostem umożliwiającego przejścia statkom i barkom żeglugi handlowej. Dotychczas jednostki te musiały pokonywać drogę okrężną, która była znacznie dłuższa i powodowała spore koszty przewozowe dla żeglugi.

4. Likwidację przejazdu na przedłużeniu ul. Wodnej do przystani Żeglugi Mazurskiej – w zamian za przejazd pod projektowanym wiaduktem, jako drugie przęsło mostu kolejowego na Kanale Łuczańskim.

5. Utrzymanie przejazdu na przedłużeniu ul. Wyzwolenia na dotychczasowych zasadach.

Na koniec pragnę przedstawić jeszcze jeden dokument – fragment z literatury fachowej, „Monografii dróg wodnych śródlądowych w Polsce" wydanej w 1985 roku, a więc stosunkowo niedawno. Czytając go warto zadać sobie pytanie, dlaczego fakt istnienia przed wojną obrotowego mostu kolejowego w dziełach poświęconych Giżycku nie został nigdzie odnotowany? Chwalono się mostem obrotowym w ciągu ulic Olsztyńska-Moniuszki, a most kolejowy uznawano za stały, powielając ciągle te same błędy.

Czy świadczy to, że historia Twierdzy Boyen i Giżycka nadal jest nie do końca poznana?

Na Kanale Łuczańskim znajdują się dwie istotne przeszkody dla żeglugi. W km 62,00 szlaku głównego, względnie w km 0,20 Kanału Łuczańskiego znajduje się most kolejowy na trasie Kętrzyn—Giżycko, w niedużej odległości od stacji PKP w Giżycku. Z uwagi na zbyt małe dla żeglugi światło wysokościowe most ten był dawniej obrotowy. Został on zburzony w czasie działań wojennych w 1944 r. W 1945 r. most odbudowano prowizorycznie jako stały. Światło wysokościowe było tak małe, że tylko nieduże jednostki mogły pod nim przejechać. W latach sześćdziesiątych wybudowano nowy most stały. Dzięki staraniom Okrę-

„Monografia dróg wodnych śródlądowych w Polsce", praca zbiorowa, Warszawa 1985, str. 301 – fragment.

Krzysztof Stachowski

Od wielu lat interesuje się historią dawnych Prus Wschodnich. Ostatnio, w związku z pracą zawodową, zainteresowania przeniosły się w stronę dróg wodnych i wszystkiego, co z nimi związane. Historii wschodniopruskich dróg wodnych poświęca każdą wolną chwilę.

REKLAMA

Fårösund i jego fortyfikacje

JACEK JAROSZ

Położona w środkowej części Morza Bałtyckiego, należąca do Szwecji wyspa Gotlandia (nazwa szwedzka – Gotland), od wieków miała duże znaczenie militarne. Już w średniowieczu znajdujące się w jej zachodniej części portowe miasto Visby, zostało bardzo solidnie ufortyfikowane przy pomocy otaczających je murów miejskich oraz sąsiadującego z nimi zamku Visborg. Świetnie zachowane mury obronne stanowią obecnie dużą atrakcję turystyczną, natomiast pozostałości rozebranego zamku, rozczarowują.

Z czasem bardzo duże znaczenie militarne uzyskała cieśnina Fårösund, oddzielająca północną część Gotlandii od położonej dalej na północ niewielkiej wyspy Fårö. Szczególnie zaczęto interesować się umocnieniem cieśniny, wkrótce po zakończeniu wojny krymskiej (1853-1856) – z uwagi na rosyjskie zagrożenie. W celu zabezpieczenia przeprawy, w drugiej połowie lat 80. XIX wieku (1885-1886) na brzegu południowym wybudowano trzy niewielkie forty artyleryjskie (zwane także bateriami), których armaty pokrywały swoim ogniem wody cieśniny. Były to: Bateria I (Mellestra, czyli pośrednia), Bateria II (Norra – północna) i Bateria III (Södra – południowa).

Pierwsze dwie zostały uzbrojone w przestarzałe, ładowane od przodu armaty kalibru 120 mm M/85 (Model 1885), natomiast trzecia – w nowsze, ładowane od tyłu armaty kalibru 170 mm. Przed wybudowaniem wymienionych fortów artyleryjskich, cieśniny broniły ustawione na prowizorycznych stanowiskach jeszcze starsze armaty kalibru 120 mm M/73 (Model 1873).

Najbardziej na północ wybudowana została Bateria IIg, którą usytuowano w pobliżu północnego wejścia do cieśniny (Norra Gattet). Bateria III została ulokowana przy południowym wejściu do cieśniny (Södra Gattet), natomiast Bateria I – na północ od tej pierwszej. Razem z bateriami wykonano dwie pozycje minowe – w północnej części cieśniny (Minposition Fårösund Norra) i w jej części południowej (Minposition Fårösund Södra). Obie pozycje stanowiły system zamykających cieśninę od wschodu i zachodu zapór minowych, które były obserwowane i detonowane w razie potrzeby z usytuowanych na lądzie schronów – za pomocą przewodów elektrycznych. Znajdowały się one w czynnej służbie aż do lat 80. XX wieku, po czym ich schrony zostały zasypane albo rozebrane. Co ciekawe, w przydomowych ogródkach w rejonie miejscowości Fårösund można zobaczyć pojedyncze egzemplarze min morskich, które służą obecnie jako elementy dekoracyjne. W latach 1904-1914 siły broniące cieśniny zostały określone jako Pozycja Brzegowa i Oddział Artylerii Nadbrzeżnej Fårösund (Fårösund Kustposition och Fårösund Kustartilleridetachement).

Tuż przed wybuchem I wojny światowej postanowiono wycofać z czynnej służby Baterię III oraz zmodernizować dwie pozostałe baterie. Przestarzałe armaty Baterii I i II zdecydowano się wzmocnić nowszymi działami kalibru 57 mm SSK M/92 (Snabb Skjutande Kanon, czyli działo szybkostrzelne – Model 1892). Zmodernizowane baterie otoczono również fosami z zasiekami przeciwpiechotnymi, oraz wyposażono w stanowiska reflektorów i stanowiska obserwacyjne ze stalowymi półkopułami. Już rok po wybuchu Wielkiej Wojny, w roku 1915 siły broniące cieśniny Fårösund zostały określone jako Twierdza Fårösund i Oddział Artylerii Nadbrzeżnej (Fårösund Fästning och Fårösund Kustartilleridetachement).

Baterie I i II zostały wycofane z czynnej służby w roku

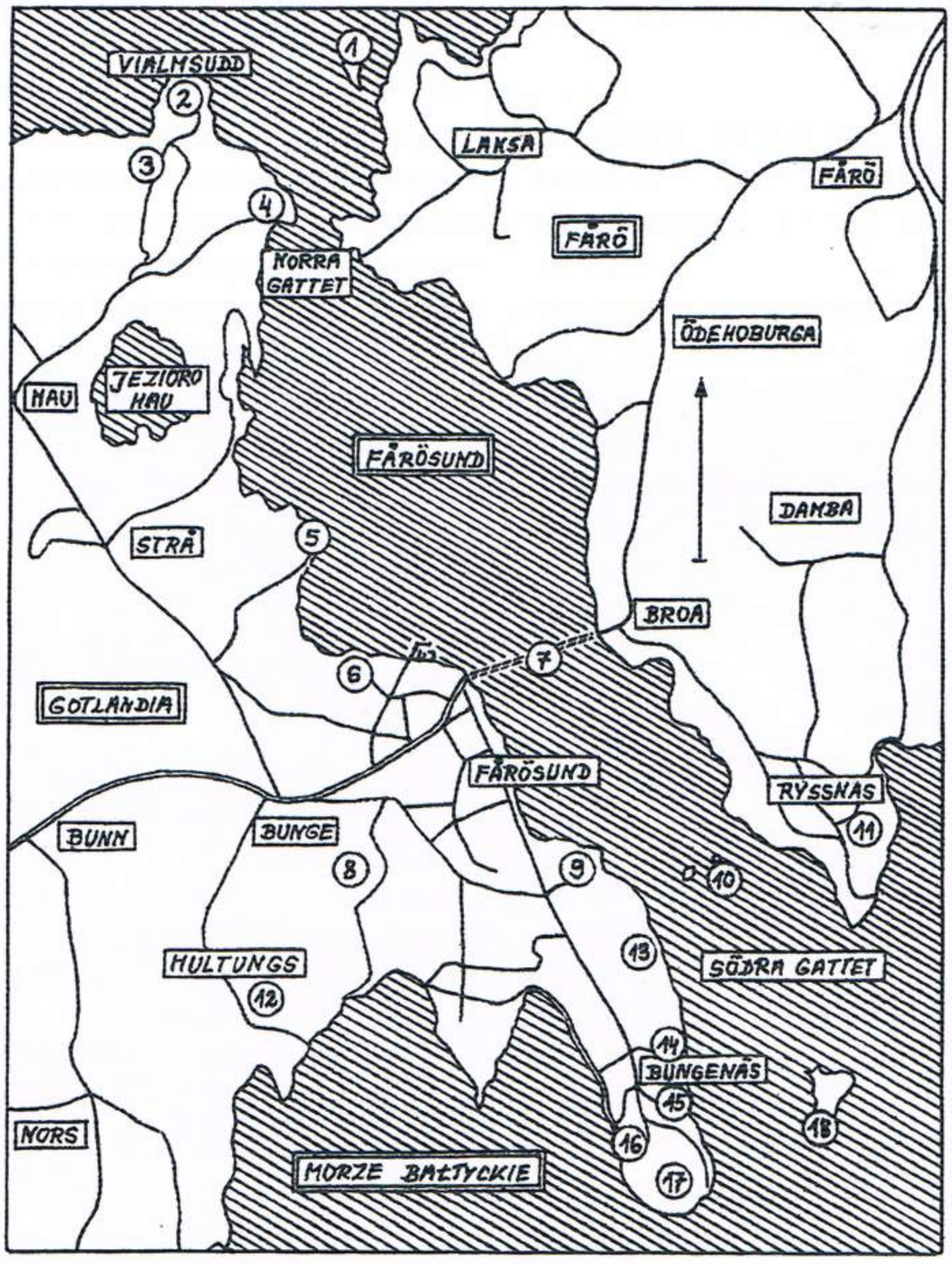

Mapa cieśniny Fårösund, legenda:

1. **Latarnia morska Aurgrunn.**
2. **Bateria VA (Vialms).**
3. **Bateria TG (Tregle).**
4. **Bateria II (Norra).**
5. **Latarnia morska Norra Nedre.**
6. **Muzeum KA 3.**
7. **Prom Fårösund-Broa.**
8. **Lotnisko wojskowe.**
9. **Bateria I (Mellestra).**
10. **Latarnia morska Skarva Grunn.**
11. **Bateria FÅ (Fårö).**
12. **Bateria HG (Hultungs).**
13. **Bateria III (Södra) .**
14. **Bateria HR (Hällrevet).**
15. **Bateria ÖK (Österklint).**
16. **Bateria KB (Kalkbruket).**
17. **Bateria BN (Bungenäs).**
18. **Latarnia morska Bungeör.**

Jedno ze stanowisk armat kalibru 57 mm Baterii I.

Przesuwana brama forteczna Baterii I.

Schron obserwacyjny Baterii II z kamuflażem w postaci ruiny budynku.

Stanowisko armaty kalibru 120 mm Baterii II.

1919, co było jednocześnie zakończeniem aktywnej działalności okolicznych jednostek wojskowych. Z czasem ze wszystkich trzech fortów artyleryjskich zdjęto armaty, a same obiekty zostały opuszczone. Od roku 1935 forty były traktowane przez Szwedów jako zabytki architektury militarnej.

Obecnie w przebudowanej Baterii I znajduje się luksusowy hotel i centrum konferencyjne, natomiast dwa pozostałe, dobrze zachowane forty, stanowią lokalną atrakcję turystyczną. Do wszystkich trzech obiektów można bez problemu podjechać samochodem i bezpiecznie go zaparkować.

Bateria III (Södra) uzbrojona była w osiem armat kalibru 170 mm, które zostały ustawione na odkrytych stanowiskach za betonowymi przedpiersiami. Cztery działa strzelały w kierunku północno-wschodnim, natomiast pozostałe cztery w kierunku południowo-wschodnim. Bateria posiadała także dwa schrony dla załogi oraz stanowisko dowodzenia. Uzbrojenie Baterii II (Norra) po modernizacji składało się z czterech armat kalibru 120 mm oraz z pięciu kalibru 57 mm. Ustawione parami na odkrytych stanowiskach za betonowymi przedpiersiami działa kalibru 120 mm, strzelały w kierunku wschodnim. Działa kalibru 57 mm znajdowały się w odkrytych wnękach rozstawionych dookoła fortu. Dwie armaty strzelały w kierunku południowym, dwie – w północnym, natomiast jedna – w zachodnim. Bateria miała dwa schrony dla załogi, stanowisko obserwacyjne ze stalową półkopułą oraz stanowisko dla reflektora z rampą wjazdową. Została otoczona kilkunastometrowej szerokości fosą, wypełnioną pionowo sterczącymi stalowymi prętami, pomiędzy którymi znajdował się drut kolczasty. Wejście do fortu zamykane było przesuwaną bramą forteczną.

Wprowadzona do służby w roku 1886 Bateria I (Mellestra), po modernizacji uzbrojona była w sześć armat kalibru 120 mm oraz w cztery działa kalibru 57 mm. Armaty kalibru 120 mm zostały ustawione na odkrytych stanowiskach za betonowymi przedpiersiami. Dwie armaty strzelały w kierunku północno-zachodnim, natomiast pozostałe cztery – w kierunku północno-wschodnim. Działa kalibru 57 mm ulokowano w odkrytych wnękach rozmieszczonych dookoła fortu. Jedno działo strzelało w kierunku południowo-zachodnim, dwa – w kierunku południowym, a jedno – w kierunku południowo-wschodnim. Obiekt posiadał dwa schrony dla załogi, stanowisko obserwacyjne ze stalową półkopułą oraz stanowisko dla reflektora. Podobnie jak Bateria II otoczony był fosą z przeszkodami przeciwpiechotnymi oraz wyposażony w przesuwaną bramę forteczną.

Drugi etap fortyfikowania cieśniny Fårösund rozpoczął się w drugiej połowie lat 30. XX wieku, szczególnie wobec

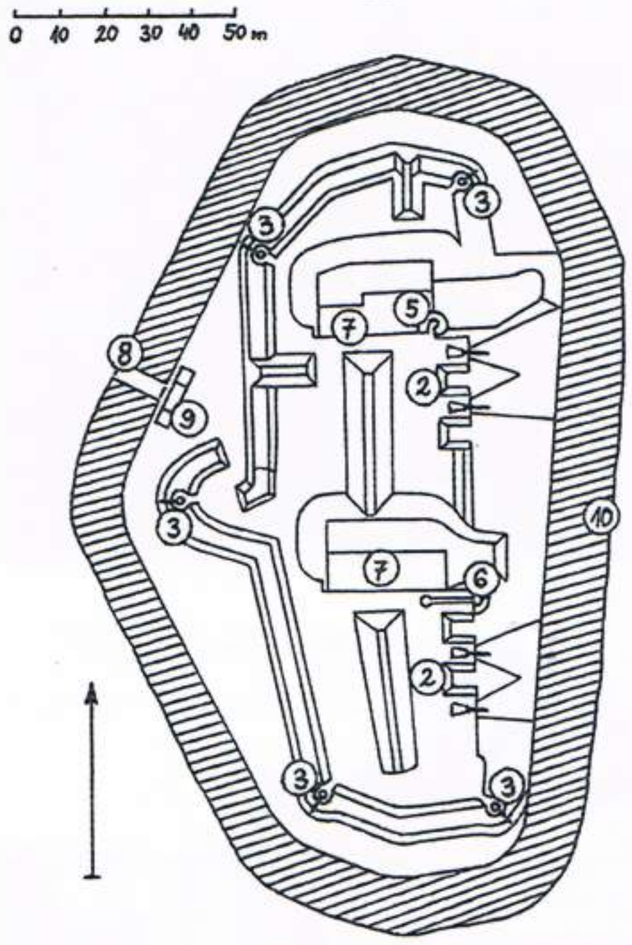

Bateria II Norra

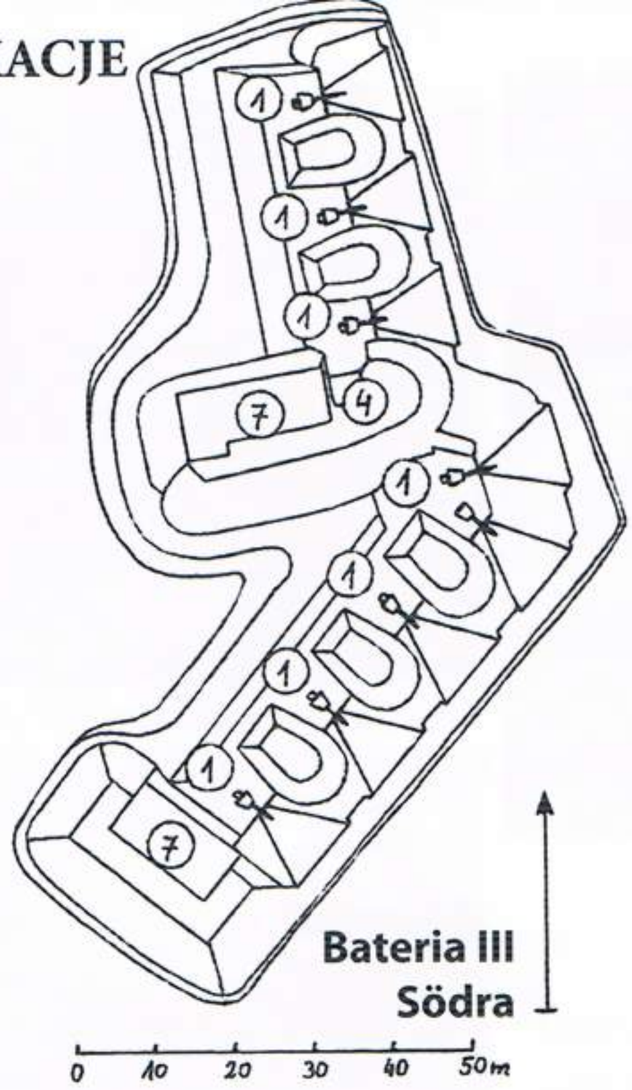

Bateria III Södra

1. Stanowiska armat kalibru 170 mm.
2. Stanowiska armat kalibru 120 mm.
3. Stanowiska armat kalibru 57 mm.
4. Stanowisko dowodzenia.
5. Stanowisko obserwacyjne.
6. Stanowisko reflektora
7. Schron załogi.
8. Wjazd do baterii.
9. Brama forteczna.
10. Fosa z zasiekami.

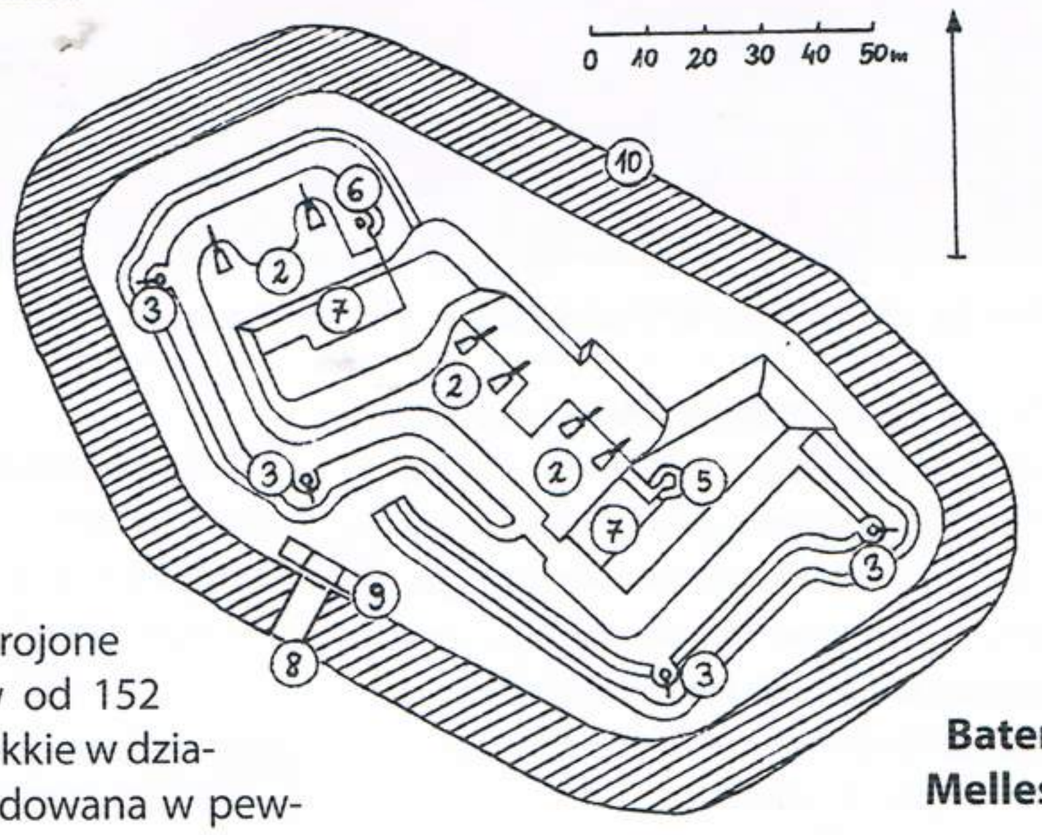

Bateria I Mellestra

zagrożenia niemieckiego. W tym też czasie rozpoczęło się umacnianie południowych brzegów Szwecji oraz Gotlandii, poprzez budowę żelbetowych schronów tak zwanej Per-Albin Linje oraz nowych baterii artylerii nadbrzeżnej. Do roku 1945 do obrony Fårösundu wybudowano trzy ciężkie i cztery lekkie baterie, które utworzyły dwie pozycje – Tregle (Spärren Tregle) i Bungenäs (Spärren Bungenäs). Baterie Pozycji Tregle zostały ustawione na wysokości Norra Gattet, na północ od Baterii II (Norra). Baterie Pozycji Bungenäs usytuowano generalnie na wysokości Södra Gattet, na południe od Baterii III (Södra). Pozycję Tregle tworzyły dwie baterie – ciężka TG (Tregle) i lekka VA (Vialms), natomiast Pozycję Bungenäs – pięć baterii: ciężkie – BN (Bungenäs) i HG (Hultungs) oraz lekkie – HR (Hällrevet), KB (Kalkbruket) i ÖK (Österklint).

Baterie ciężkie uzbrojone były w armaty kalibrów od 152 do 210 mm, natomiast lekkie w działa kalibru 57 mm. Wybudowana w pewnym oddaleniu od cieśniny (na południe od miejscowości Bunge) Bateria HG uzbrojona była w trzy działa kalibru 210 mm, natomiast baterie BN i TG posiadały po trzy kalibru 152 mm M/98 Bofors o zasięgu 20 tys. m (Model 1898; TG początkowo tylko dwa).

Uzbrojone w armaty kalibru 57 mm M/95 baterie lekkie miały ich następujące ilości: cztery (VA), trzy (HR i ÖK) oraz dwie (KB). Wszystkie baterie lekkie zostały wycofane ze służby wkrótce po zakończeniu II wojny światowej, a ich obiekty zostały rozebrane (do dzisiaj pozostały jedynie dwa schrony baterii KB). W latach 50. ze służby wycofano baterię HG, natomiast bateria BN została zmodernizowana (pojedyncze armaty kalibru 152 mm M/98 zamieniono na podwójne M/51 (Model 1951), co w sumie dawało sześć dział o szybkostrzelności 6-8 strzałów na minutę). Baterie TG i BN w służbie czynnej pozostawały do początku lat 90., po czym ich obiekty zostały w większości rozebrane (pojedyncze działo kalibru 152 mm M/98 z baterii TG oraz podwójne M/51 z baterii BN trafiły do Muzeum Wojskowego KA 3).

Na początku lat 70. XX w. po północnej stronie cieśniny Fårösund, w rejonie

Schron dowodzenia Baterii BN.

Stanowiska armat kalibru 170 mm Baterii III.

Schron reflektora Baterii BN.

Jeden ze schronów dla broni maszynowej broniących Baterii BN.

Żelbetowe okopy punktu oporu w rejonie Baterii BN.

Muzeum KA 3 – armata kalibru 120 mm M/73.

Armata kalibru 75 mm M/57 Baterii FÅ.

Wieża armat kalibru 152 mm M/51 Baterii BN.

miejscowości Ryssnäs, ustawiono baterię FÅ (Fårö) uzbrojoną w nowoczesną, pojedynczą, półautomatyczną armatę kalibru 75 mm Boforsa M/57 (Model 1957). Baterię wycofano ze służby pod koniec lat 90., a jej obiekty zostały rozebrane (armata trafiła do Muzeum KA 3).

W miasteczku portowym Fårösund już od połowy XIX wieku budowano koszary dla załogi broniącej cieśniny Fårösund. 1 czerwca 1937 r. na tym terenie utworzono Pułk Artylerii Nadbrzeżnej KA 3 (Kustartilleriregimentet KA 3), którego załoga w czasie pokoju składała się z 250-375 żołnierzy. Po mobilizacji przeprowadzonej w grudniu 1939 r., liczba ta wzrosła do około 1000 osób. KA 3 został zlikwidowany 31 października 2000 r., a jego obiekty przejęło Muzeum Wojskowe KA 3 (Gotlands Försvars Museum), przy organizacji którego prace rozpoczęto w 1988 roku.

Muzeum znajdujące się na północny-zachód od przeprawy promowej Fårösund-Broa, będące filią Muzeum Wojskowego w Tingstäde, jest otwarte dla zwiedzających od 16 czerwca do 31 sierpnia. Ekspozycja zewnętrzna zawiera m.in. szereg egzemplarzy armat stanowiących uzbrojenie baterii broniących cieśniny Fårösund (w tym ww. działa baterii BN, TG i FÅ). W dawnych koszarach i hangarach KA 3 znajduje się duża liczba różnego rodzaju szwedzkiego sprzętu bojowego, w tym czołgi, armaty, broń ręczna itd. Dużą atrakcję stanowi także zachowana do dziś składająca się z czterech armat kalibru 57 mm bateria salutacyjna.

W północnej części Gotlandii znajdują się również inne ciekawe obiekty militarne, w tym forty Twierdzy Tingstäde, lotnisko wojskowe w Bunge oraz szereg żelbetowych schronów Per-Albin Linje.

Jacek Jarosz

Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki. Badacz historii statków. Miłośnik historii i fortyfikacji.

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 7)

Kieszonkowa artyleria samurajów Boskiego Tenno

PIOTR GALIK

Cesarstwo Japonii było jednym z niewielu państw pozaeuropejskich, które uniknęły kolonialnej ekspansji mocarstw Starego Kontynentu. Pierwsi Europejczycy dotarli do Kraju Kwitnącej Wiśni dopiero w XVI wieku. W tym czasie Japonia pogrążona była w politycznym chaosie, trwał odpowiednik średniowiecznego rozdrobnienia feudalnego, a lokalni władcy uznawali jedynie tytularną zwierzchność cesarza.

Europejscy kupcy, głównie Hiszpanie, Portugalczycy i Holendrzy cieszyli się poparciem japońskich książąt, gdyż mieli do zaoferowania nieznany, a bardzo skuteczny oręż – broń palną, zarówno ręczną, jak i artyleryjską. Potęgę ognia prochowego wkrótce docenili władcy, aspirujący do roli zjednoczycieli Japonii. Zarówno tolerancyjny dla europejskich misjonarzy Oda Nobunaga, jak i chrystianofob Toyotomi Hideyoshi, tworzyli oddziały piechoty strzeleckiej uzbrojone w arkebuzy importowane z Europy. Dopiero rzeczywisty zwycięzca rywalizacji o dyktaturę wojskową (szogunat), Tokugawa Ieyasu, obawiając się rosnących wpływów obcej gospodarki, religii i kultury, postanowił wydalić z kraju Europejczyków, wyjąć spod prawa chrześcijan i ograniczyć skimi diabłami" jedynie do holenderskiej faktorii handlowej otwartej na sztucznej wyspie w pobliżu portu Nagasaki.

Izolacja Japonii od reszty świata trwała dwa wieki.

W połowie XIX w. presja ze strony mocarstw, poszukujących obszarów, które można byłoby podporządkować metropolii, stała się nazbyt silna, by Cesarstwo Wschodzącego Słońca mogło zachować „splendid isolation". Amerykanie jako pierwsi wymusili na Japończykach traktat handlowy, a w niedługim czasie floty brytyjska i francuska ostrzelały japońskie porty, by zmusić dwór cesarski do otwarcia kraju na kontakty z Europą. Kraj ogarnęły niepokoje społeczne, których stłumienie wymagało rządów twardej ręki. Po władzę sięgnął wówczas młody cesarz Mutsuhito, który dokonał zamachu stanu – odsunął od władzy szoguna i rozpoczął osobiste rządy. Za jego panowania Japonia dokonała gigantycznego skoku cywilizacyjnego, przechodząc w kilka dziesięcioleci od feudalnego ustroju społecznego i gospodarki rolnej do liberalnego kapitalizmu wielkoprzemysłowego. Panowanie cesarza Mutsuhito nazwano – zgodnie z odwieczną tradycją – specyficznym określeniem. W tym przypadku brzmiało ono Meiji („rządy oświecone").

Intensywna modernizacja dotknęła także siły zbrojne Cesarstwa Japonii, zreorganizowane na wzór armii pruskiej. Armia z poboru, która zastąpiła dotychczasowy zaciąg ochotniczy, poddana była surowej dyscyplinie i ciężkiemu, bezwzględnemu treningowi, skoncentrowanemu głównie na szkoleniu rekrutów tak, aby „wroga bali się mniej, niż swojego kaprala". W efekcie cesarska armia stała się doskonałym narzędziem agresywnej polityki państwa, które niemal cudem uniknęło kolonizacji, a wkrótce już samo zdobywało azjatyckie kolonie (w roku 1895 podbito chiński Tajwan). O mocarstwowej randze Kraju Kwitnącej Wiśni przesądziło zwycięstwo nad przeciwnikiem ze światowej ekstraklasy – Rosją, pobitą w latach 1904-1905. W wyniku tego triumfu kolonią Japonii stała się Korea (1910).

Mimo niedawnego konfliktu, na początku Wielkiej Wojny Japonia zdecydowała się stanąć u boku Rosji wśród mocarstw sprzymierzonych (Ententy), licząc na łatwe pozyskanie kolonii niemieckich w Chinach i na Pacyfiku. Rachuby te okazały się trafne. Dzięki szybkiej industrializacji kraju, wojska cesarskie kroczące od sukcesu do sukcesu, wyposażone były

Tradycje rusznikarskie w Japonii nie były zbyt silne ani długie, strzelcy ashigaru (lekka piechota) posługiwali się początkowo jedynie bronią importowaną...

... podczas gdy niekwestionowanym symbolem statusu wojownika pozostawała broń biała.

Rewolwer Meiji 26 nie wyróżniał się ani starannym wykonaniem, ani elegancją kształtu. Był za to rodzimej produkcji, co dawało Japończykom poczucie, że dorównują innym mocarstwom także w dziedzinie rusznikarskiej myśli technicznej…

Rewolwer Meiji 26 częściowo rozebrany i typowe oznakowanie broni.

w broń krajowej produkcji i krajowego projektu.

Sześciostrzałowe „rządy oświecone"

Pionierskim projektem japońskiej zbrojeniówki stał się rewolwer określany jako Meiji 26 (26 rok ery „rządów oświeconych") albo 26 Nenshiki Kenju. Autorstwo konstrukcji przypisywane jest przez niektóre opracowania Kumaso Hino, działającemu w końcu XIX wieku. Broń przyjęta przez armię w roku 1894 miała uniezależnić japońskie siły zbrojne od importu, gdyż dotąd krótką broń palną kupowano w USA. Były to przede wszystkim rewolwery Smith & Wesson Russian Model oraz S&W New Model (Frontier Pattern). Zastąpienie importu produkcją krajową było imperatywem tak silnym, że przyjęty został do produkcji oręż, którego jedyną, jak się wydaje, zaletą pozostawało rodzime pochodzenie. Opracowanie projektu trwało dość długo – od roku 1887 do 1893, kiedy uruchomiono produkcję. Matecznikiem japońskiego rewolweru stał się tokijski arsenał artyleryjski.

Dzieło rodzimej japońskiej myśli rusznikarskiej nie prezentuje się zbyt zachwycająco.

Rewolwer Meiji 26 ważył niespełna kilogram (973 g), a jego długość wynosiła 23 cm (długość lufy 12 cm). Na ogólny wygląd ujemnie rzutował specyficzny, „okaleczony" kurek. Bębenkowiec wyposażono w mechanizm podwójnego działania, lecz ze względu na układ kurka, którego nie można było napiąć osobno, gdyż pozbawiony był ostrogi, strzał wymagał pokonania dłuższej drogi języka spustowego, by odciągnąć kurek za pomocą samonapinacza. Broń miała służyć przede wszystkim kawalerzystom, dlatego przyjęto takie zaskakujące i niepraktyczne rozwiązanie konstrukcyjne, ponieważ zakładano, że jeździec powodujący koniem nie będzie miał czasu i możliwości, by ręcznie napinać kurek broni przed strzałem. W efekcie ogromnie ucierpiała celność broni, gdyż pokonanie oporu sprężyny wymagało sporego nakładu siły, a w efekcie skutkowało niestabilnością w momencie oddawania strzału.

Szkielet Meiji 26 był łamany, otwierał się ku przodowi. Bęben rewolweru „rządów oświeconych", wyposażony w mechaniczny, gwiazdkowy wyrzutnik łusek, mieścił 6 nabojów, przy czym wykorzystywano amunicję rodzimego projektu, stosowaną wyłącznie w tym typie broni.

Nabój Meiji 26 miał kal. 9×22R, przypominał typowe amerykańskie naboje Smith & Wesson '32, lecz nie był z nimi wymienny. W istocie podobieństwo ograniczało się do wyglądu, gdyż skromny ładunek miotający powodował, że siła rażenia pocisków Meiji 26 była niewielka, zwłaszcza że do roku 1900 wykorzystywano do ich wyrobu tradycyjny proch czarny. Jednak nawet wprowadzenie silniejszego prochu bezdymnego nie poprawiło walorów balistycznych rewolweru na tyle, by stał się bronią równorzędną ze swoimi euro-amerykańskimi odpowiednikami. Meiji 26 wydawano przede wszystkim kawalerzystom, także podoficerom innych rodzajów broni i załogom pojazdów pancernych, jednak z założenia nie była to broń oficerska.

Rewolwer trafił do służby niemal natychmiast po rozpoczęciu produkcji, używany był podczas konfliktu chińskiego, w czasie wojny z Rosją, I wojny światowej, a także – mimo zaprzestania produkcji w 1935 r. – podczas II wojny światowej. Ogółem wyprodukowano blisko 60 tys. egzemplarzy tej broni, z czego część trafiła do użytku w policji,

Skórzany futerał japońskiego rewolweru przypominał nieco kształtem rozwiązanie przyjęte we Francji. Wewnętrzna ładownica mieściła skórzane tuleje na naboje, rozmieszczone w dwóch rzędach.

„Dziadek" Nambu – pierwszy wariant japońskiego pistoletu samopowtarzalnego.

„Tata" Nambu – zmodyfikowana wersja broni i typowe oznaczenie producenta oraz podstawowe elementy i podzespoły po rozłożeniu pistoletu.

część egzemplarzy wycofanych z wojska została sprzedana na rynku cywilnym, a 4700 sztuk wyeksportowano do Syjamu (obecnie Tajlandia).

„Dziadek", „tata" i „wnuczek" majora Kijiro Nambu

Pilnie obserwujący kraje Zachodu Japończycy zauważyli, że na początku XX w. coraz częściej zastępowano tam klasyczne rewolwery pistoletami samopowtarzalnymi. Zatem postanowiono zadbać o opracowanie podobnej broni w kraju, by dać wyraz nowoczesności Kraju Kwitnącej Wiśni także i w tej dziedzinie. Poza tym pozostawała kwestia unifikacji broni krótkiej oficerów sił zbrojnych, którzy zgodnie z samurajską tradycją zobowiązani byli do nabywania oręża we własnym zakresie.

Jednym z pionierów nowego kierunku ewolucji broni krótkiej był w Japonii mjr Kijiro Nambu. Niezadowolony z miernych właściwości rewolweru Meiji 26, rozpoczął we własnym zakresie prace zmierzające do stworzenia nowoczesnego pistoletu na użytek cesarskich sił zbrojnych. Z pewnością na kierunek prac wpłynęły także doświadczenia wojny z Rosją w latach 1904-1905, kiedy japońskie bębenkowce okazały się mniej efektywne od swoich rosyjskich odpowiedników. Badania trwały od pierwszych studiów koncepcyjnych w 1897 r. do opracowania w 1902 „modelu A", nazywanego przez współczesnych kolekcjonerów „dziadkiem". Ten najstarszy wariant produkowany był w latach 1903-1906 (w liczbie ok. 2400 sztuk).

Nabój 8×22 mm do pistoletów Nambu: słaby ładunek + lekki pocisk = mierna balistyka...

Pistolet, który wyglądem – lecz nie konstrukcją – przypominał słynne Parabellum Lugera przystosowany został do oryginalnej, autorskiej amunicji kal. 8×22 mm, znacznie słabszej od zachodnich odpowiedników, porównywalnej z włoskim nabojem 9×19 Glisenti. Wsuwany od dołu rękojeści magazynek pudełkowy mieścił 8 nabojów. Do najpoważniejszych wad pistoletu zaliczyć

Futerały do pistoletów Nambu wykonywano ze skóry, ale także z surowców zastępczych. Było to jednak rozwiązanie typowe raczej dla okresu II, niż I wojny światowej.

Nambu typ B – „wnuczek", czyli pomniejszona wersja dla sztabowców.

Osobliwy z racji nie tylko wyglądu, ale i konstrukcji pistolet Hino – Komuro był najbardziej zbliżony do austro-węgierskich typów Schwarzlose 1908 i Mannlicher M 1894.

można (oprócz słabego naboju) także kabłąk spustowy o zbyt małej średnicy, utrudniający strzelanie użytkownikom noszącym rękawiczki, jak tego wymagał od oficera regulamin. Ponadto produkcja pistoletów okazała się bardzo kosztowna, materiałochłonna i wymagała starannej, długotrwałej obróbki skrawaniem. „Dziadek" Nambu wyróżniał się także drewnianym dnem magazynka i stałym, przyspawanym kabłąkiem na „smycz" polową, zabezpieczającą przed zgubieniem broni.

W 1906 .r rozpoczęto wyrób ulepszonej wersji „modelu A", nazywanej „tatą" Nambu. Wariant ten, zasadniczo podobny do przedniego, wyróżniał się aluminiowym denkiem magazynka i ruchomym pierścieniem do smyczy. Zakłady zbrojeniowe opuściło ok. 4600 egzemplarzy tej odmiany broni. W sierpniu 1909 r. konstruktor przedstawił pistolet swojego autorstwa ekspertom z Cesarskiej Akademii Wojskowej, oczekując zamówienia seryjnej produkcji na użytek sił lądowych Nipponu. Prezentacja zapewne nie wypadła tak dobrze, jak tego oczekiwał twórca pierwszego nowoczesnego japońskiego pistoletu. Armia nie wykazała zainteresowania tą bronią, jednocześnie jednak nie zabraniając oficerom nabywania na swój koszt własnych egzemplarzy na użytek służbowy. Natomiast marynarka wojenna wykazała się mniejszym konserwatyzmem, wprowadzając pistolet do uzbrojenia marynarzy, jako Nambu typ 04.

„Dziadek" lub „tata" Nambu ważył (niezaładowany) około 900 g, a jego długość wynosiła 23 cm (w tym lufa 117 mm). Co ciekawe, przy dość słabym naboju celownik wyskalowany był do zasięgu 500 m, co wydaje się grubym nieporozumieniem, podobnie jak możliwość wykorzystania dostawianej do rękojeści kolby-futerału, niczym w europejskich pistoletach Mausera czy Lugera…

Dla potrzeb starszych wiekiem i rangą oficerów został w 1909 r. opracowany pomniejszony pistolet Nambu „model B", który doczekał się kolekcjonerskiego określenia „wnuczek". Była to przeskalowana do 3/4 pierwotnych gabarytów kopia wariantu podstawowego. „Wnuczek" był zatem krótszy (171 mm, lufa 83 mm), lżejszy (650 g) i do tego wszystkiego słabszy od swoich „czcigodnych przodków", gdyż kal. został zredukowany do 7 mm, a nowy nabój 7×20 mm był jeszcze mizerniejszy od większego pierwowzoru. Magazynek mieścił 7 nabojów. Powstało ok. 6 tys. egzemplarzy „wnuczka", który ze względu na cenę, dwukrotnie przewyższającą lepsze importowane typy pistoletów rzeczywiście pozostawał w zasięgu jedynie wojskowej starszyzny.

Broń kosztowała bowiem 180 jenów, podczas gdy miesięczna gaża podporucznika wynosiła 70 jenów. Trudno zatem dziwić się, że nawet podczas Wielkiej Wojny faworyzowanym symbolem przynależności do post-samurajskiej kasty oficerskiej pozostał raczej tradycyjny oręż biały…

Hino – Komuro 1908, czyli zapomniany prototyp

Pistolety majora (później generała) Nambu to nie jedyne produkty japońskiej myśli rusznikarskiej. Inną próbą opracowania pistoletu samopowtarzalnego okazał się projekt autorstwa wynalazcy i pioniera japońskiego lotnictwa, Hino Kumazo. Broń jego pomysłu powstała w 1903 r., a do produkcji weszła w 1908 r. W ciągu kilku lat powstało około 1200 egzemplarzy broni wytwarzanej w kilku wariantach, różniących się zasadniczo kalibrem – oprócz „autochtonicznego" naboju 8×22 Nambu wykorzystywano także umiędzynarodowione sukcesem komercyjnym naboje amerykańskie: 0,25 cala ACP (6,35×16 mm) i 0,32 cala ACP (7,65×17 mm) Browninga. Pistolet Hino – Komuro nie odniósł sukcesu ani jako nowatorska a udana konstrukcja, ani jako masowo sprzedawany i wytwarzany produkt. W ręce oficerów japońskich sił zbrojnych trafiał w drodze prywatnych zakupów. Wyglądał raczej jak pistolet sportowy, niż oręż godny potomków samurajów. Obecnie pozostaje wielką rzadkością i kolekcjonerskim rarytasem.

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg, „Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

REKLAMA

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „HiSCO" S.C.

Książki, czasopisma i filmy o tematyce:

- poszukiwania zaginionych skarbów
- fortyfikacje, zamki, twierdze i ich podziemia
- nowa broń III Rzeszy, tajne badania naukowe
- podziemne fabryki, kwatery Hitlera
- eksploracja, survival, militaria, archeologia itp.

Mapy topograficzne – Dolny Śląsk!

- mapy archiwalne i współczesne
- skale map: 1: 10 000 / 25 000 / 50 000 / 100 000

Wykaz wydawnictw: **http://hisco.w.interia.pl** albo po otrzymaniu zaadresowanej koperty zwrotnej z naklejonym znaczkiem
„HiSCO" S.C., ul. Kościuszki 39/7i, 50-011 WROCŁAW,
tel. 71 / 344-65-93
e-mail: hisco@interia.pl
Nawiążemy współpracę z wydawcami oraz odbiorcami hurtowymi.

Na gruzach Rzeczypospolitej: Powstanie Sejneńskie

Pogoń przeciw Orłowi

PIOTR GALIK

Kilkusetletni związek Korony i Litwy, który jako Rzeczpospolita był największym państwem Europy i mocarstwem regionalnym, padł pod ciosami ościennych mocarstw u schyłku XVIII wieku. Jednak świadomość i poczucie wspólnoty dziejowej jego mieszkańców przetrwały klęskę polityczną i pozostały żywe, aż do drugiej połowy następnego stulecia.

Zarówno podczas Powstania Kościuszkowskiego, w epoce napoleońskiej, jak i podczas wojny polsko-rosyjskiej 1831 r. na dawnych Kresach, czyli Ziemiach Zabranych (przez Rosję) wybuchały powstania przeciwko wspólnemu wrogowi – Moskalom. Powstanie Styczniowe (1863-1865) było ostatnim przejawem tej ciągłości dziedzictwa Rzeczypospolitej. Bezwzględność rosyjskich represji i zmierzch nadziei, że Korona i Litwa mogą wybić się na niepodległość przyniosły stopniowy zmierzch idei jagiellońskiej. Realne przesłanki wskazywały, że w Imperium Rosyjskim nie warto być Polakiem. Inne grupy etniczne nie były poddane tak daleko idącej dyskryminacji, jak „Lachy prokliatyje", „zdrajcy Słowiańszczyzny" i „bezecni buntownicy przeciw świętej Rusi" – by zacytować jedynie najbardziej rozpowszechnione opinie ówczesnej publicystyki rosyjskiej na temat Polaków.

Dla jednostek ambitnych, poszukujących szans kariery w służbie państwowej, alternatywą – a i to prawdziwie szatańską – pozostawała dobrowolna rusyfikacja, której najważniejszym wyznacznikiem była zmiana wyznania z katolickiego na prawosławne lub protestanckie. „Obrusienie" i tak zresztą często traktowane było przez rosyjską opinię jako akt nieszczery, podstęp, by uzyskać prawa zarezerwowane jedynie dla „istinno-russkich" („prawdziwych Rosjan"). Stąd też etniczni Polacy, którzy wybrali taką życiową drogę, często demonstrowali gorliwie swoją antypolskość, by zyskać zaufanie i uznanie w swoim nowym środowisku.

Nietrudno zatem pojąć, dlaczego w 20 lat po ostatnim wspólnym, polsko-litewskim powstaniu, na ziemiach pierwotnej, rdzennej Litwy (Żmudź, Auksztota) zaczął przybierać formy zorganizowane nurt litewskiego odrodzenia narodowego. Wytworzenie odrębnej tożsamości narodowej, tolerowanej przez Rosjan, wydawało się sposobem na zapewnienie mieszkańcom Litwy możliwości normalnej egzystencji, pozbawionej „buntowniczego piętna" polskości. Aby odsunąć od siebie podejrzenia Rosjan, niechętnie patrzących na jakiekolwiek przejawy odrębności, miłośnicy litewskości – w znacznej mierze Litwini w znaczeniu przedrozbiorowym, czyli polskojęzyczni mieszkańcy Litwy – starali się odcinać od dziedzictwa Rzeczypospolitej. W oparciu o lokalną gwarę ludności wiejskiej skodyfikowany został literacki język litewski, odmienny od starolitewskiego, używanego w przedrozbiorowym Wielkim Księstwie Litewskim.

Wśród twórców nowoczesnego języka litewskiego wymienić można lekarza Jana Basanowicza, który jako Jonas Basanovicius wprowadził do litewskiej pisowni czeskie litery š i č zamiast używanych powszechnie, ale zbyt polskich „sz" i „cz" oraz filologa Jonasa Jablonskasa (Jana Jabłońskiego), który utworzył setki neologizmów, by zastąpić polsko brzmiące słowa litewskie. Trudno zatem dziwić się, że liczna wciąż, mimo rosyjskich prześladowań, polska ludność ziem litewskich traktowała litewskie procesy narodotwórcze w najlepszym przypadku jako dziwactwo, w najgorszym – jako perfidną manipulację zaborców. „Litwomanów", jak nazywano entuzjastów litewskiego odrodzenia narodowego, nie poważano więc w polskich dworach, choć wielu z nich właśnie stamtąd się wywodziło. Reakcje takie budziły z kolei – prawem wzajemności – niechęć, a nawet lęk przed polską dominacją kulturową. W takich uwarunkowaniach faktem w kręgach litewskich działaczy narodowych stało się – obserwowane nie bez satysfakcji w Rosji i w Niemczech – definiowanie własnej litewskości przez kontestację „obcej" polskości. Lepszego prezentu ani Moskwa, ani Berlin od litewskich nacjonalistów otrzymać nie mogły…

U progu niepodległości

Wybuch Wielkiej Wojny, a zwłaszcza niemieckie sukcesy na froncie północnym, które w roku 1915 przyniosły zajęcie większości ziem Litwy przez wojska Kaisera, przyczyniły się do pogłębienia politycznej przepaści pomiędzy Litwinami i Polakami. O ile dla większości litewskich Polaków kwestia połączenia Litwy z Koroną nie podlegała dyskusji, o tyle dla Lietuvisów (Lietuva – Litwa w języku litewskim), jak nazywano niekiedy zwolenników litewskiego separatyzmu, sprawa powołania odrębnego od Polski państwa litewskiego stała się priorytetem. Ich program odpowiadał niemieckiej koncepcji nowego ładu regionalnego.

W myśl koncepcji „Mitteleuropy" pomiędzy Cesarstwem Niemieckim a Rosją miał powstać szereg słabych, wzajemnie skonfliktowanych państewek etnicznych, pełniących rolę strefy buforowej i potencjalnego obszaru działań wojennych. Dla Polaków koncepcja ta pozostawała nie do przyjęcia, jednak dla litewskich kręgów narodowych wizja własnego państwa, choćby i zależnego od Niemiec, jawiła się zachęcająco, jako że za największe zagrożenie uznawały one niepodległościowe dążenia Polaków. Nie bez podstaw, gdyż litewskie żądania terytorialne obejmowały nie tylko etnicznie litewską Żmudź i ziemię kowieńską (w samym Kownie Polacy sta-

nowili wówczas ponad 1/3 ludności), lecz także Wilno, w którym etnicznych Litwinów zamieszkiwało niemal 3700, czyli zaledwie około 2,5% ogółu.

We wrześniu 1917 r. pod dyskretną opieką niemieckich władz okupacyjnych ukonstytuowała się litewska Rada Państwa – Taryba. Na jej czele stanął lider litewskiego ruchu narodowego, Antanas Smetona. Ten nowy byt polityczny, określany z lekceważeniem w polskich środowiskach jako „ta ryba w śmietanie", proklamował w lutym 1918 r. niepodległość królestwa Litwy, którego koronę w lipcu tego roku oddano niemieckiemu księciu Wilhelmowi von Urach. Mendog II, bo takie imię przyjął nowy władca litewski, nigdy nie dotarł na teren swojego królestwa. W listopadzie 1918 r. został zdetronizowany, gdyż Taryba proklamowała Republikę Litewską. Podczas, gdy w Warszawie powstawały zręby niepodległej Rzeczypospolitej, a Lwów walczył o przynależność do Polski z ukraińskimi nacjonalistami, Wilno (jak i pozostałe ziemie litewskie) pozostawało pod niemiecką okupacją.

W grudniu doszło do zmiany zaborcy na Wileńszczyźnie – ustępujących Niemców zastąpili bolszewicy, którzy dążyli do utworzenia Litewsko-Białoruskiej Republiki Sowieckiej. Polskie oddziały zbrojne – Samoobrona Kresowa – odeszły po krótkiej walce na Zachód, bądź przeszły do walki partyzanckiej, korzystając z pomocy przeszło ćwierćmilionowej ludności polskiej zamieszkującej region wileński. Działalność konspiracyjną kontynuowała także Polska Organizacja Wojskowa (POW), przygotowując się do wystąpienia zbrojnego, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Litewskie instytucje polityczne i zalążek armii wraz z sojuszniczymi wojskami niemieckimi osiadły w Kownie, które stało się później stolicą suwerennej Republiki Litewskiej.

Wiosną 1919 r. błyskotliwa operacja wileńska Wojska Polskiego wyparła oddziały bolszewickie z historycznej stolicy Wielkiego Księstwa i przyniosła *de facto* połączenie Wileńszczyzny z Polską. Tymczasem politycy litewscy, działający na terenach zajętych przez niemieckie siły Ober-Ost nieustannie apelowali do zachodnioeuropejskiej opinii publicznej o „ochronę przed polskim imperializmem", nie rezygnując z roszczeń do ziem litewskich o polskim obliczu etnicznym.

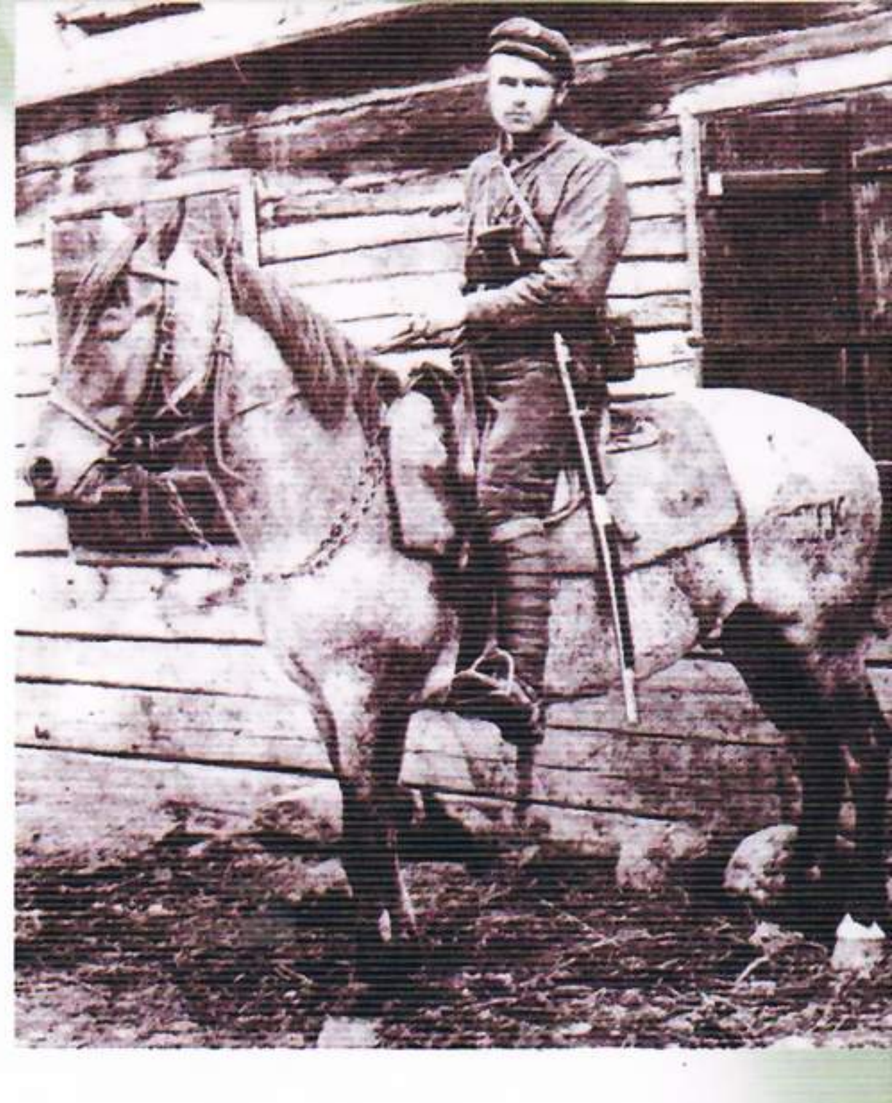

Litewski kawalerzysta. Mundur i wyposażenie wskazują na początkowy okres organizacji armii Republiki Litwy. Cywilne siodło „typu angielskiego", typowe dla piechura owijacze na nogach jeźdźca, kozacka szaszka u pasa i czapka niezwykle podobna do używanej przez Polaków maciejówki.

Jednym z takich spornych regionów pozostawała Suwalszczyzna, zamieszkiwana zarówno przez ludność polską, jak i litewską.

W maju 1919 r. oddziały niemieckie rozpoczęły ewakuację „nach Heimat". Do objęcia uwolnionego terytorium aspirowały zarówno Polska, jak i Litwa. O podziale ziemi suwalskiej pomiędzy skłócone państwa zadecydował występujący w roli arbitra francuski marszałek, naczelny wódz sił Ententy, Ferdinand Foch.

Linia Foche'a, przedstawiona 26 VII 1919 r. przewidywała oddanie Polsce południowej części regionu z miejscowościami Berżniki, Suwałki, Krasnopol i Sejny. Litwa miała otrzymać tereny pozostałe. Rozwiązanie miało cechy wyważonego kompromisu, pozostawiając po stronie polskiej niewielkie wysepki osadnictwa litewskiego (Puńsk, część powiatu sejneńskiego), a po litewskiej – skupiska polskie w okolicy Wisztyńca, Kopciowa i Lubowa. Litwini przyjęli to rozstrzygnięcie z rozgoryczeniem, gdyż oczekiwali korzystniejszego rezultatu francuskiego arbitrażu, nie chcąc pamiętać, że przecież pozostawali sojusznikami Niemiec aż do końca wojny, a nawet dłużej. Zdawali się także nie dostrzegać asymetrii rozwiązania, w myśl którego do państwa litewskiego powinny należeć wszystkie tereny, zamieszkane przez ludność litewską, nawet pozostającą w zdecydowanej mniejszości, podczas gdy Polsce odmawiano stanowczo praw do identycznego postawienia sprawy granic…

Mimo wiążącego charakteru decyzji Foche'a, litewskie wojska, za wiedzą i zgodą odchodzących do Prus Wschodnich oddziałów niemieckich, pozostały na terenach oddanych Polsce, okupując Sejny i okolice aż do rzeki Czarna Hańcza i jeziora Wigry. Jednocześnie Litwini podjęli energiczne działania polityczne, obejmujące nawet wizytę w Sejnach premiera rządu kowieńskiego, Mykolasa Sleževičiusa, który nawoływał litewską ludność powiatu do użycia siły przeciw Polakom. Protesty polskie wobec poczynań Litwy pozostawały bez odpowiedzi. W tej sytuacji rodakom skazanym na litewską okupację i jawnie dyskryminacyjną politykę władz Kowna, pozostawała jedynie walka zbrojna.

Powstanie Sejneńskie

W przygotowaniach do wyzwolenia powiatu sejneńskiego główną rolę odegrały konspiracyjne struktury POW. Okręg Suwalski tej organizacji dysponował dość pokaźną siłą, gromadząc po dowództwem ppor. Adama Rudnickiego około 1000 żołnierzy w 5 kompaniach i 1 szwadronie konnym. Litewskie oddziały w Sejnach i okolicy dysponowały niewielką przewagą liczebną, dysponując około 1200 piechurami (w tym ok. 900 żołnierzy z 1. batalionu rezerwowego wzmocnionych przez blisko 300 ochotników) i ponad setką kawalerzystów.

Komendantem wojsk litewskich w tym rejonie był kpt. Kazys Ladiga.

Wobec wyczerpania szans na kompromis w drodze negocjacji, w suwalskiej komendzie POW zapadła decyzja o wystąpieniu zbrojnym, którego celem było zajęcie terenów oddanych Polsce decyzją Ententy oraz przeniesienie działań wojskowych w głąb terytorium wyznaczonego Litwie, aby utrudnić przeciwnikowi odbicie utraconych terenów po polskiej stronie linii Foche'a.

Termin powstania wyznaczono na czas tuż po odejściu niemieckiego garnizonu z Suwałk, co nastąpiło 22 VIII 1919 r.

Nocą z 22 na 23 VIII peowiacy z kompanii pchor. Łankiewicza opanowali Krasnopol, podczas gdy zgrupowanie „Su-

mowo" (3 kompanie) ruszyło na Sejny. Pozostałe oddziały powstańcze stoczyły walki z garnizonami litewskimi w mniejszych miejscowościach, przekraczając Linię Foche'a i zajmując Kopciowo, Wiejsieje i Łoździeje. Litwini po opanowaniu wywołanej zaskoczeniem dezorganizacji rozpoczęli zdecydowane działania, wypierając oddział polski z Łoździejów. Tymczasem większość sił powstańczych zgromadziła się w stolicy regionu – Sejnach.

23 sierpnia powstał tam polski, tymczasowy Zarząd Miasta, który uwolnił z miejscowego aresztu więźniów politycznych – Polaków zatrzymanych za „działalność antylitewską".

Powstańcy oczekiwali na nadejście odsieczy – zahartowanego w bojach z bolszewikami 41. Suwalskiego Pułku Piechoty, który wyruszył z Augustowa do Suwałk. Warto dodać, że Pułk Suwalski pochodził z Dywizji Litewsko-Białoruskiej, powstałej z ochotniczych formacji Samoobrony Wileńskiej. 24 sierpnia 41. pp wkroczył do Suwałk i rozpoczął marsz ku Linii Foche'a. Oddziały litewskie cofnęły się ku Kalwarii, gdzie nastąpiła koncentracja ich sił.

26 sierpnia Litwini uderzyli na Sejny i odbili miasto mimo zaciętej obrony (poległ dowódca garnizonu, ppor. Zawadzki) sił powstańczych. W opanowanych przez nieprzyjaciół Sejnach doszło do licznych aktów przemocy wobec Polaków. Po kilku godzinach peowiacy, wsparci przez pododdziały Pułku Suwalskiego, odbili miasto. Na fali oburzenia niedawnymi wydarzeniami aresztowano kilku sejneńskich działaczy litewskich. Pogrzeb poległych Polaków przerodził się w demonstrację patriotyczną, której uczestnicy domagali się przynależności miasta do Rzeczypospolitej. Do 28 sierpnia polska załoga Sejn została wzmocniona przez II batalion 41. pp, licząc razem ok. 1300 ludzi. Rankiem tego dnia Litwini siłami blisko 650 żołnierzy rozpoczęli natarcie na miasto. Po wielogodzinnym boju zostało ono ostatecznie odparte. Porażka zmusiła wojska litewskie do odwrotu za Linię Foche'a, a zatem cel polskiego powstania został zrealizowany. Litwini nie chcieli pogodzić się z niepowodzeniem.

Powstanie sejneńskie było aktem oporu przeciwko bezprawnej okupacji litewskiej. Ten drobny z pozoru epizod militarny, jakim były walki o Sejny, oznaczał jednak doniosły fakt – wrogość pomiędzy spadkobiercami tradycji Rzeczypospolitej osiągnęła poziom tak wysoki, że doszło do wzajemnego przelewu krwi… Trudno o smutniejsze podsumowanie kresu państwowego związku Korony i Litwy. Tak więc doraźny, taktyczny sukces Polaków okazał się długofalową, strategiczną porażką, gdyż skazał na niepowodzenie jedyne rozwiązanie, korzystne i dla Litwinów, i dla Polaków – federację obu krajów z wzajemnym poszanowaniem praw mniejszości narodowych.

Ostatnim akordem losów suwalskich oddziałów powstańczych było wcielenie ich do 41. pp, dzięki czemu kompanie i bataliony oddziału zbliżyły się do etatowej liczebności. Wkrótce pułk przeszedł do działań na froncie bolszewickim.

Litewskie wojska wróciły do Sejn latem 1920 r., kiedy Wojsko Polskie cofało się ku Wiśle, a Litwa i sowiecka Rosja zawarły separatystyczny traktat pokojowy, w myśl którego powiat sejneński przekazany został przez oddziały bolszewickie Republice Litewskiej. Decyzji tej oczywiście nie uznała Rzeczpospolita, a po zwycięskim zakończeniu bitwy nad Niemnem, we wrześniu 1920 r. Suwalszczyzna aż do linii Foche'a została obsadzona przez oddziały Wojska Polskiego. Alianckie rozgraniczenie Polski i Litwy okazało się rozwiązaniem słusznym i trwałym, stając się podstawą współczesnej granicy między tymi państwami.

Literatura i ilustracje:
1. P. Łossowski, „Konflikt polsko-litewski 1918-1920", Warszawa 1996
2. M. Kosman, „Orzeł i Pogoń", Warszawa 1992
3. J. Ochmański, „Historia Litwy", Warszawa-Wrocław-Kraków 1982
4. A. Dieriabin, R. Palafox-Fernandez,„Graždanskaja wojna w Rosiji. Nacjonalnyje Armii 1917-1922", Moskwa 1998

REKLAMA

NOWOŚCI WYDAWNICTWA VESPER

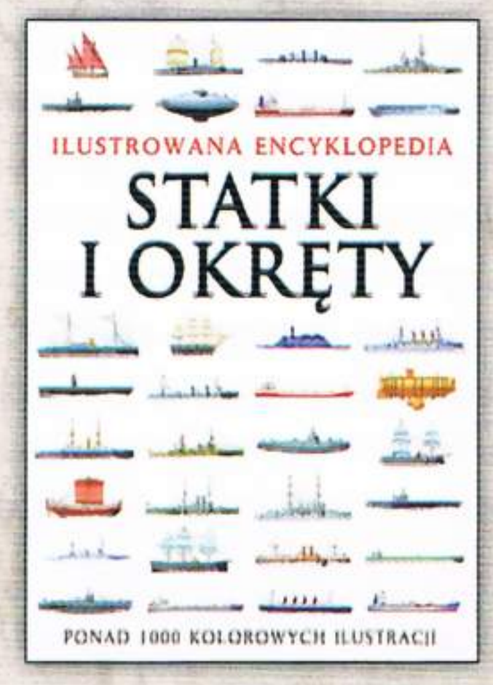

Wydawnictwo Vesper
ul. Gdyńska 30 A
62-004 Czerwonak
tel. 61 86 86 506
e-mail: sklep@vesper.pl
www.vesper.pl

Nasze publikacje znajdziecie na aukcjach allegro.pl, nasz nick: vesper_pl
facebook: Wydawnictwo In Rock / Wydawnictwo Vesper
youtube: inrockvesper

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

„1 Dywizja Pancerna w walce", opr. miękka, str. 516, wyd. Mireki. Cena: 34,90 zł

Książka opracowana na podstawie wydania dywizyjnego z Brukseli z 1947 roku. Praca nie jest żadnym studium operacyjnym czy taktycznym, nie jest nawet historią dywizji. Choć przygotowana została przez komitet redakcyjny, to tak naprawdę napisali ją sami żołnierze. I to ich wspomnienia są główną treścią tej książki. Publikacja opowiada, w jaki sposób żołnierze 1. Dywizji Pancernej, będąc poza granicami kraju, starali się uczciwie wypełnić swój obowiązek względem ojczyzny. Ich relacje zebrane w pracy pozwoliły odtworzyć cały szlak bojowy 1. DP. Opisano go w następujących rozdziałach: Wstęp; Normandia; Pościg; Od Skaldy do Mozy; Nad Mozą; Od Bredy do Wilhelmshaven.

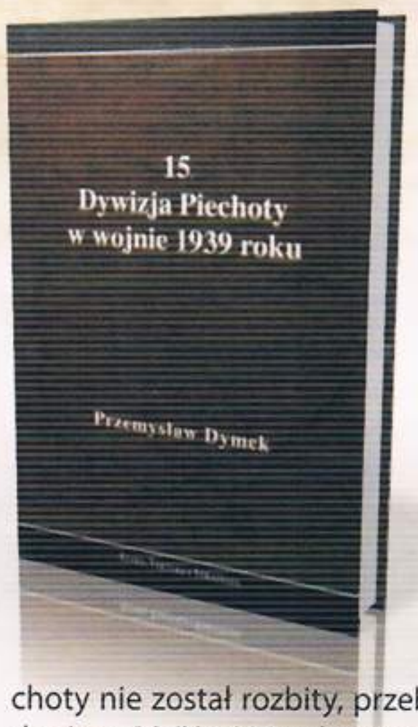

Przemysław Dymek „15 Dywizja Piechoty w wojnie 1939 roku", opr. twarda, str. 304, wyd. Ajaks, Taktyka i Strategia. Cena: 55 zł

Praca ta jest pierwszą monografią 15. DP. Omówiono to kolejne etapy w historii dywizji, począwszy od jej udziału w walkach o niepodległość Polski w latach 1919-1920, pracy pokojowej w okresie dwudziestolecia międzywojennego, aż po udział w kampanii wrześniowej. W czasie wrześniowych zmagań z niemieckim agresorem 15. DP odegrała ważną rolę. Dywizja przeszła cały wrześniowy szlak bojowy z Kujaw do Warszawy, znacząco uczestnicząc w bitwie nad Bzurą. Poniosła dotkliwe straty, lecz żaden z jej pułków piechoty nie został rozbity, przebiła się do oblężonej stolicy i skapitulowała dopiero 28 IX 1939 roku razem z całą Armią „Warszawa". Poza treścią zasadniczą, duża zaletą pracy są liczne mapy ukazujące szlak bojowy 15. DP.

Urlic of England „Alllgemeine SS 1925-1945", opr. twarda, str. 440, wyd. Vesper. Cena: 150 zł

Głównym celem tej monumentalnej publikacji jest stworzenie czytelnikom możliwości gruntownego zrozumienia estetycznej koncepcji mundurów, tzw. Czarnego Korpusu i związanych z nim akcesoriów. Dzięki wspólnym staraniom Towarzystwa „Ulric of England" i Wydawnictwa Andrea Press powstała wyczerpująca praca o kulturze materialnej SS. Przygotowując książkę zebrano imponujący zbiór oryginalnych obiektów odnoszących się do tej organizacji i zaprezentowano go w klarowny sposób. Znalazło się tutaj niemal 2000, często po raz pierwszy publikowanych zdjęć. Praca dzieli się na dwie części. Pierwsza objaśnia rytuały odprawiane w SS, metody szkolenia, dowodzenia i infiltrowania różnych sfer niemieckiego społeczeństwa. W drugiej zaprezentowano bogaty zbiór mundurów SS, honorową i symboliczną broń, akcesoria, oznaki i odznaczenia, sztandary i inne ważne utensylia.

Sean Longden „1945 Polowanie na niemieckich naukowców", opr. miękka, str. 376, Wydawnictwo RM. Cena: 39,90 zł

Autor w fascynujący sposób opisał w tej książce historię T-Force – tajnej jednostki armii brytyjskiej do zadań specjalnych podczas ostatnich miesięcy II wojny światowej. Longden, który dotarł do utajnionych dokumentów i coraz mniej licznych świadków tamtych wydarzeń, relacjonuje operacje, dzięki którym zachodni alianci zdobyli tajemnice przemysłowe i wojskowe III Rzeszy, a także przechwycili wybitnych niemieckich naukowców, np. Helmuta Waltera, Maksa Kramera, czy Ottona Hahna.
W publikacji przedstawiono także wiele niezwykłych historii m.in. o tym, jak brytyjski bohater spod Arnhem mimo zakazu dowódców przemierza bez broni wrogi kraj, aby w przemoczonym mundurze i z nogą w gipsie stanąć przed akademią marynarki wojennej w Kilonii i zażądać poddania się miasta, w którym stacjonuje 40 tysięcy niemieckich żołnierzy. Co najdziwniejsze, udaje mu się to.

Jan Czop „Barwa wojska Rzeczypospolitej Obojga Narodów w XVIII wieku oraz Legionów Polskich 1797-1807", opr. twarda, str. 132, wyd. Libra PL. Cena: 59,40 zł

Kilka lat temu ukazała się publikacja „Barwa wojska Rzeczypospolitej Obojga Narodów w XVIII wieku". Dostęp do nowych materiałów i źródeł skłonił autora do przygotowania nowego wydania albumu. W niniejszej publikacji, poszerzonej o tematyką Legionów Polskich z lat 1797-1807, zamieszczono obszerniejszy tekst, nowe, a także poprawione i uzupełnione plansze mundurowe (570 sylwetek żołnierzy) oraz aneks zawierający kopie lub odpisy regulaminów, ordynansów i przepisów mundurowych.

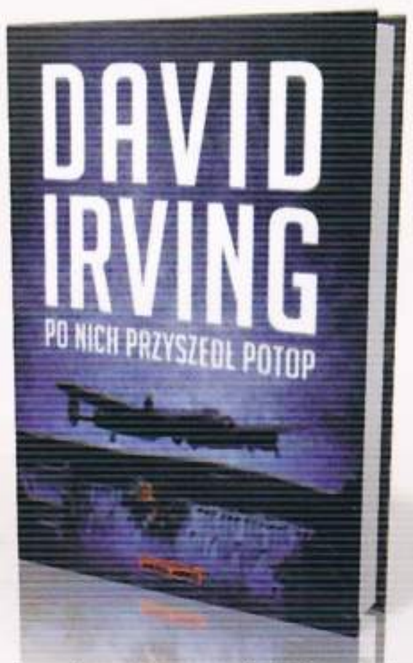

David Irving „Po nich przyszedł potop", opr. miękka, str. 132, wyd. Zona Zero. Cena: 32,30 zł

Książka opowiada o wydarzeniach z maja 1943 roku. Wtedy to należące do Dywizjonu Nr 617 trzy formacje brytyjskich bombowców dalekiego zasięgu Lancaster, dowodzone przez Guya Gibsona wystartowały do heroicznej i niezwykle ryzykownej operacji o kryptonimie „Chastise". Jej celem było zniszczenie zapór wodnych w Zagłębiu Ruhry, które dostarczały energię elektryczną wielkim zakładom zbrojeniowym III Rzeszy. Były one również źródłem wody pitnej i zapewniały transport na rzekach i kanałach regionu. Specjalna „bomba skacząca", która miała eksplodować pod wodą, dawała szanse powodzenia akcji. Prezentowana książka, ukazująca się po raz pierwszy w polskim przekładzie, stała się bestsellerem w wielu krajach.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

odkrywaj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

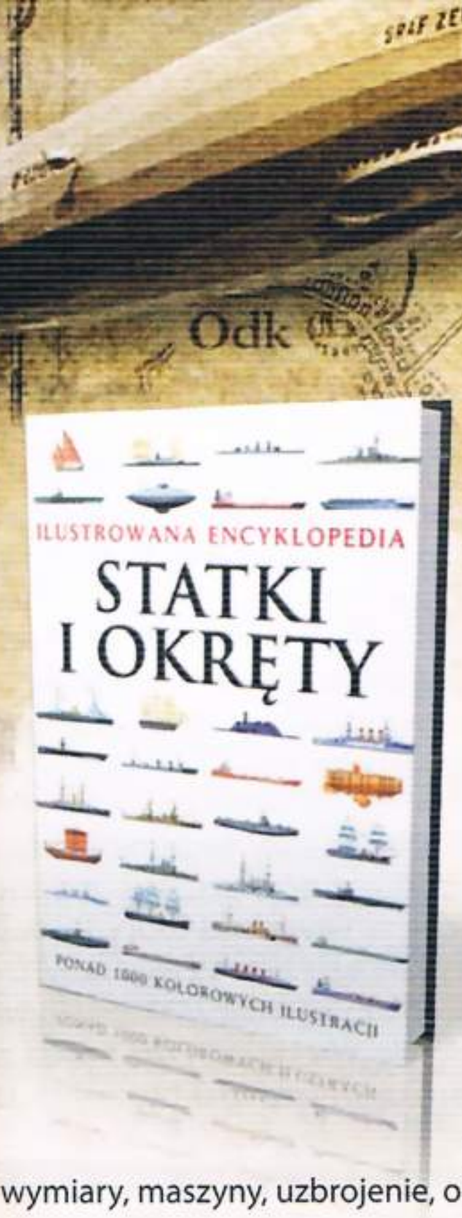

David Ross „Ilustrowana encyklopedia statki i okręty", opr. twarda, str. 448, wyd. Vesper. Cena: 117 zł

Prezentowana książka to wydana z wielką starannością i bogato ilustrowana encyklopedia cywilnych i wojskowych jednostek pływających, od czasów starożytnych po współczesność. Zawiera setki rysunków statków i okrętów różnych typów. Kolorowe ilustracje pokazują jednostki w profilu oraz wybrane statki i okręty w przekrojach. Encyklopedia przedstawia wszystkie najbardziej znane jednostki pływające, m.in. „Titanic", „Cutty Sark", USS „Enterprise", „Viking" oraz wiele innych. Pod każdym rysunkiem znajduje się szczegółowy podpis oraz dane techniczne: określenie rodzaju jednostki, wyporność, wymiary, maszyny, uzbrojenie, opancerzenie oraz data wodowania.

Andrzej Celarek „Morski Dywizjon Lotniczy", opr. miękka, str. 156, wyd. Oskar. Cena: 29,90 zł

Nowe, poprawione i uzupełnione, wydanie publikacji, która poprzednio ukazała się w 2002 roku. W książce zawarto wspomnienia lotników służących w Morskim Dywizjonie Lotniczym w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Odzyskanie przez Polskę dostępu do morza postawiło przed wojskiem nowe, nieznane dotąd zadania, do wykonania których powołano niniejszą jednostkę. Jak wynika z zawartych w pracy wspomnień, z powierzonymi zadaniami jednostka ta radziła sobie znakomicie.

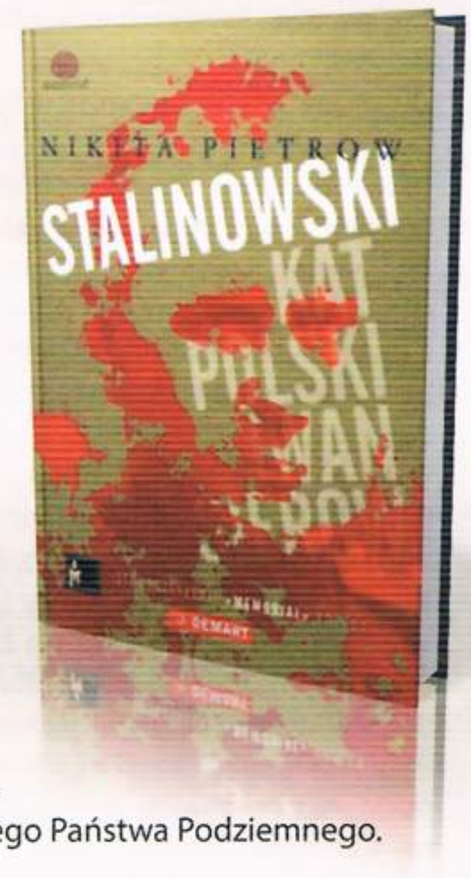

Nikita Pietrow „Stalinowski kat Polski Iwan Sierow", opr. twarda, str. 416, wyd. Demart. Cena: 37,40 zł

Nikita Pietrow tym razem demaskuje zbrodnicze działania Iwana Sierowa – jednego z największych katów Polaków w czasie II wojny światowej i w latach powojennych. Mianowany 6 marca 1945 roku głównym doradcą NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) osobiście, jako gen. Iwanow, przeprowadził 27 i 28 III 1945 roku aresztowanie 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, postawionych następnie przed sądem w Moskwie (tzw. proces szesnastu). Kierował działaniami NKWD na ziemiach polskich i nadzorował masowe aresztowania byłych AK-owców. Wydatnie przyczynił się do rozbicia struktur AK i Polskiego Państwa Podziemnego.

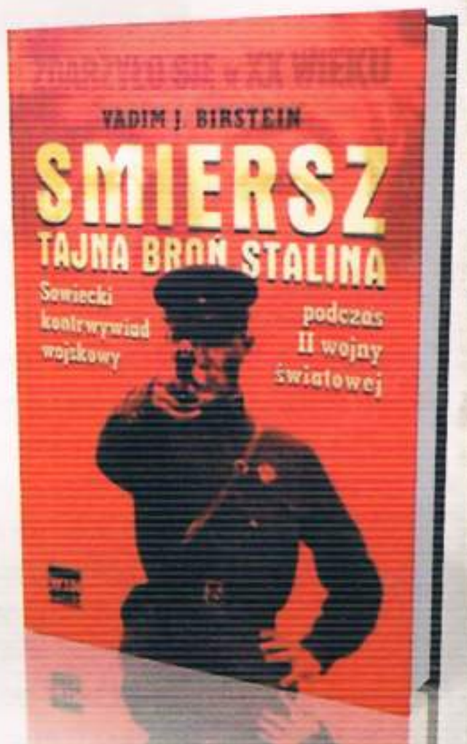

Vadim J. Birstein „Smiersz Tajna broń Stalina", opr. twarda, str. 592, wyd. Arkadiusz Wingert. Cena: 49,99 zł

Książka ta stanowi efekt dziesięcioletnich badań autora i bazuje na ogromnej liczbie dokumentów oraz wspomnień dostępnych wyłącznie po rosyjsku. Chociaż Smiersz formalnie istniał od wiosny 1943 roku do wiosny 1946 roku, autor nie ogranicza się wyłącznie do tego okresu, lecz przedstawia dzieje sowieckiego kontrwywiadu wojskowego od jego początków w roku 1917, ze szczególnym uwzględnieniem lat 1939-1941 oraz pierwszego okresu zmagań niemiecko-sowieckich na froncie wschodnim (1941-1943), których wynik wpłynął wprost na decyzję o utworzeniu Smiersza. Autor często odwołuje się do wspomnień, relacji oraz dokumentów ukazujących losy konkretnych ludzi, najczęściej tragiczne: czerwonoarmistów wziętych do niewoli, uznanych wg prawa sowieckiego za „zdrajców ojczyzny" oraz ich represjonowanych bliskich.

Łukasz Łydżba „IV/1 Dywizjon Myśliwski", opr. miękka, str. 288, wyd. Vesper. Cena: 27,60 zł

Książka prezentuje dzieje IV/1 Dywizjonu Myśliwskiego z 1. Pułku Lotniczego w Warszawie. Pierwsza część książki to zarys historii jednostki w okresie międzywojennym w latach 1933-1939. Z tym okresem czytelnik będzie mógł się zapoznać dzięki opisom różnorodnych zdarzeń lotniczych – wypadków, śmiertelnych kraks, ćwiczeń lotniczych i dzięki relacjom pilotów. Przygotowania mobilizacyjne ukazane zostały natomiast w „Sprawozdaniu… dowódcy IV/1 Dywizjonu oraz wspomnieniach Tadeusza Szumowskiego i Benedykta Dąbrowskiego. Przebieg powietrznych bojów od porannych starć z Henklami He 111 z 1 września po walkę z sowieckimi myśliwcami Polikarpow z 17 września przybliżają relacje i przekazy pośrednie kilkunastu pilotów.

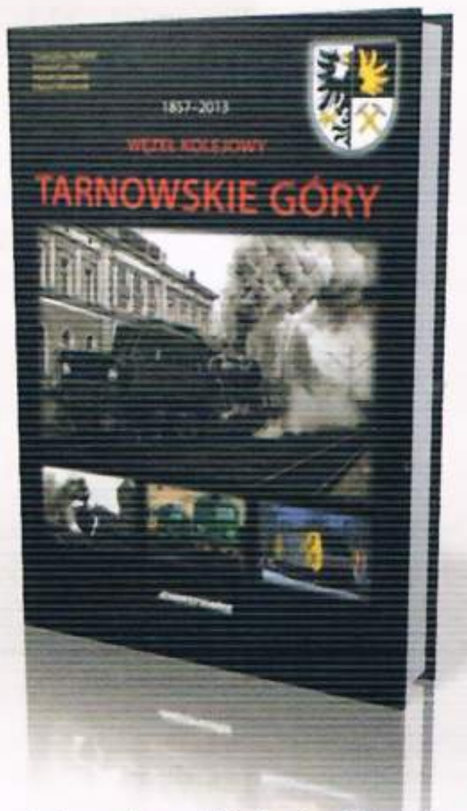

Przemysław Nadolski, Krzysztof Soida, Henryk Dąbrowski, Edward Wieczorek „Węzeł kolejowy Tarnowskie Góry 1857-2013", opr. twarda, str. 264, wyd. Eurosprinter. Cena: 89 zł

Z poszczególnych rozdziałów tej monografii czytelnik dowie się w jakich okolicznościach w Tarnowskich Górach pojawiła się kolej żelazna i jak następnie przez lata związała się w nierozerwalny sposób z o wiele starszym od siebie miastem. Pozna także początki pierwszej stacji i zlokalizowanej przy niej parowozowni. Będzie mógł także zapoznać się z przyczynami i efektami ciągłego powiększania węzła aż do rozmiarów, które od osiemdziesięciu lat pozwalają Tarnowskim Górom zajmować czołowe miejsce wśród największych polskich stacji kolejowych. W monografii omówiono też kolej wąskotorową, która przez 150 lat towarzyszy stacji normalnotorowej. Niewątpliwą zaletą publikacji są reprodukcje oryginalnych XIX-wiecznych rysunków przedstawiających ważniejsze obiekty stacji i lokomotywowni, a także liczne fotografie zarówno archiwalne, jak i współczesne.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne w kolorze granatowym i zielonym w rozmiarze L.

przód
tył

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 12/179

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

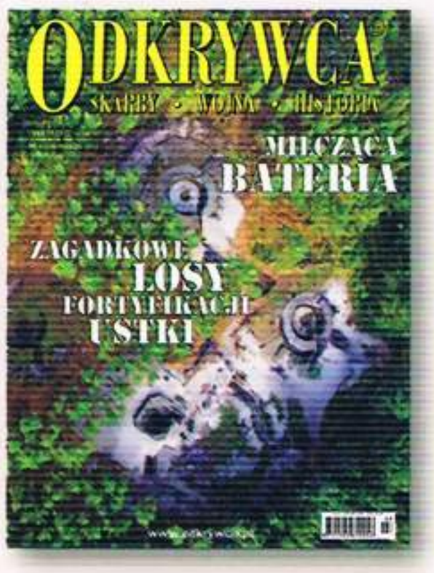

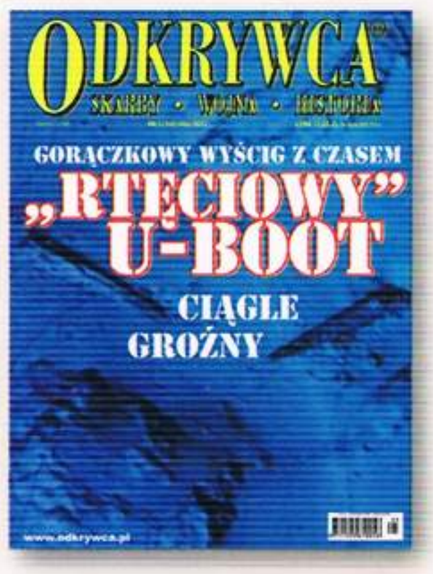

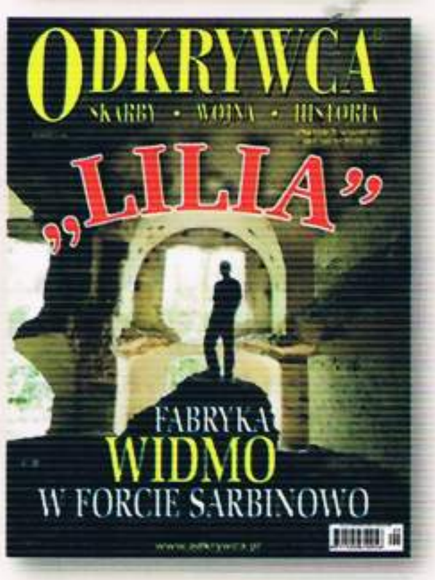

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – 147 zł; półroczna – 73,50 zł
- ► zagraniczna półroczna: 107,5 zł – list zwykły, 137,50 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71